



Henryk Maziejuk • „Urodzony w czepku?” • Tom I



# Urodzony w czepku?

Henryk Maziejuk

ISBN 83-923458-1-9

# URODZONY W CZEPKU?

Wspomnienia

Tom I



Henryk Maziejuk

# URODZONY W CZEPKU?

Wspomnienia

Tom I

Jagodnica 2007



Wydano nakładem autora

**Tekst**

HENRYK MAZIEJUK

**Zdjęcia i reprodukcje**

JAN MAZIEJUK

HENRYK MAZIEJUK

Archiwum rodzinne

**Projekt okładki**

**Skład komputerowy**

ARTUR WRÓBLEWSKI

**Wydanie I**

Nakład 100 egz.

Copyright by Henryk Maziejuk

**ISBN 83-923458-1-9**

Jagodnica 2007

**Druk**

„BOXPOL”, ul. Wiejska 28

76-200 Słupsk

*Kochanym wnuczkom  
Irence i Mikołajowi*



## ZAMIAST WSTĘPU

To, że miałem trudne życie, a takim było ono przez długie lata, nie stanowi niczego oryginalnego i nadzwyczajnego. Tego doświadczyli bardzo liczni. Było ono jednakże także ciekawe i pouczające. A na uwagę, jak sądzę, zasługuje głównie to, że potrafiłem przeciwstawić się trudnościom i wygrywać z niełaskawym losem.

Zastanawiając się nad etapami swego życia, trwającego zdecydowanie dłużej od żywota członków mojej rodziny, dochodzę do wniosku, iż najwięcej rozegrało się w nim wtedy, kiedy byłem dzieckiem i



*Przystąpiłem do pisania tych wspomnień i refleksji, kiedy skończyłem 70. rok życia. A tak przedstawiały się wtedy nasze - żony i moje - kochane wnuczęta, Mikołaj i Irena.*

nastolatkiem. Jednak już na tyle doświadczonym, jak też sprawdzonym, bym mógł zastanawiać się nad sobą - i jednocześnie nazbyt młodym, abym był w stanie ogarnąć wyobraźnią każdą sytuację, jaka się pojawiała i mogła zaistnieć.



Miałem sześć lat, gdy zmarł na tyfus mój ojciec Franciszek, a prawie piętnaście, kiedy śmierć zabrała mamę Bronisławę; wcześniej maltretowaną przez hitlerowców. Zostałem tym samym całkowitym sierotą w tak młodym wieku.

Z mamą byłem związany szczególnie mocno, mając w niej oparcie, toteż jej odejście odczułem bardzo boleśnie. A że nieszczęścia chodzą parami, niemalże w tym samym czasie doświadczyłem innego dotkliwego niepowodzenia. Zawaliłem egzamin wstępny do Liceum Pedagogicznego. Dwa życiowe niepowodzenia, dwie porażki, w tak młodym wieku mogły mnie załamać. Lecz na szczęście nie załamały.

Od tego właśnie nieszczęścia zaczęło się moje wkraczanie w samodzielność. Dopiero później przyszły zwycięstwa i sukcesy. Odniesione z moim udziałem, ale i ku memu zaskoczeniu.

Nie ukrywam bynajmniej, chociaż może to być odebrane dwuznacznie, że kiedy było mi bardzo źle, prosiłem Boga, by zechciał zabrać mnie do siebie. Lecz to właśnie dzięki Jego Opatrzności, co uświadomiłem sobie po latach, odmienił się zasadniczo mój los. Bo jak wytłumaczyć inaczej, iż następujące po sobie wypadki potoczyły się w moim życiu dużo pomyślniej, niż mogłem się tego spodziewać? W najśmielszych nawet marzeniach nie byłbym w stanie oczekiwać tego, co się stało. Jakkolwiek zaznaczę, chcąc uniknąć nieporozumień, iż niczego nadzwyczajnego nie dokonałem.

Myślę też, jakby na przekór rozumowaniu wielu łżepolityków, że źródeł mego powodzenia - jak zresztą milionów ludzi z mego pokolenia - upatrywać należy, nie bagatelizując zdolności i pracowitości - w ustroju społecznym dawnej PRL. Poza ewidentnymi błędami i bezsprzecznym złem, jak też okrutnymi zbrodniami, PRL dostarczyła niemało również autentycznego dobra.

# I. ODLEGŁE LATA

## *Pod znakiem skorpiona*

Kim byłem, kim jestem, a kim mógłbym być, gdyby los okazał się dla mnie w swej konsekwencji mniej łaskawy? Czy też gdyby wypadki, jakich doświadczyłem, potoczyły się inaczej?

Na tak postawione pytania, proste i oczywiste, brakuje łatwych odpowiedzi. I wcale nie dlatego, iżbym zamierzał ukryć cokolwiek, bo to wynika z przebiegu mego życia i warunków, w jakich się ono kształtowało. Tę współzależność, na ile tylko potrafię, postaram się wyjaśnić.

Pojawiłem się na tym świecie 6 listopada 1935 roku. W czasie zupełnie niepodobnym do tego, w którym piszę obecnie te słowa. Jakkolwiek - to także chcę podkreślić - w przypadku wsi ten okres jest niemalże równie trudny.

Skończyłem 70 lat. Poza ciocią Pauliną, starszą siostrą mamy, która umarła mając 96 lat, nikt w rodzinie nie osiągnął wieku tak dojrzałego, jakiego ja doświadczam, bardzo poważnie obciążony chorobą serca, co mam prawo uznać za łaskę Pana Boga i szczęśliwy uśmiech Losu.

Doprawdy nie wiem czy urodziłem się za wcześnie, bądź za późno, czy też w sam raz? To oczywiście ode mnie nie zależało. Pojawiłem się wtedy - tak to sobie tłumaczę - kiedy przyszedł na to czas.

Czyli wtedy, aby moje dzieciństwo mogło przypaść na okres wojny i okupacji, które zaciążyły mocno na moim losie i moim życiu, odciskając się na nim trwałym śladem. Młodość przypadła natomiast na okres odbudowy kraju i lata stalinizmu, popisów ZMP i terroru, bezprawia, zaś wiek dojrzały, męski, na lata PRL-owskich błędów i wypaczeń, eksperymentów i niepokornych zrywów społecznych. Z kolei lata życiowego schyłku - na trudną adaptację do dziwnego kapitalizmu w polskim wydaniu. Na okres deklaratywnego wzgardzenia tym wszystkim, co naród zbudował i osiągnął wielkim wysiłkiem i poświęcenie; także zresztą i moim. Po 1989 roku zostało to zlekceważone i wyszydzone. Zmarnotrawione i rozkradzione. Całkowicie bezkarnie. Lecz z wielką stratą ekonomiczną i szkodą w zakresie mentalności

społeczeństwa i jego stosunku do nowego państwa.

To lata oczekiwań, zawodu i straconych złudzeń milionów ludzi. Lata, oczywiście, korzystnych zmian, ale i absurdów, jak też wirtualnej rzeczywistości; to jest takiej, która nie mogła się pokrywać z ludzkimi odczuciami. A więc lata narastania rażących dysproporcji materialnych i cywilizacyjnych, nie uzasadnionych pracą umysłu i wysiłkiem mięśni, a wynikających z wszelkich przekrętów, złodziejstw, fałszerstw, korupcji i układów. Zwykle łapówkarstwo zyskało wtedy - dla zamydlenia oczu - miano enigmatycznej korupcji.

Lata rozpasanej konsumpcji i bogacenia się za wszelką cenę jednych, a poszerzającego się kręgu ubóstwa i nędzy drugich. Degradacji całych rodzin i regionów, bezrobocia i bezsensu. Wypaczania moralności i wprowadzania do życia relatywizmu w stosunku do wszelkich dziedzin i zagadnień. Lata, niestety, ciągłego zaprzepaszczania wspólnotowych szans i interesów.

Dumna zazwyczaj Polska skazała się dobrowolnie na obcą łaskę i uśmiech politowania. Wprowadzano zmiany wbrew woli większości, która nie była w stanie wyartykułować i zabezpieczyć swoich interesów. Pod dyktando uprzywilejowanej i zwykle nieprawnie bogacącej się mniejszości. Kraj upodabniał się łudzaco do łacińskich oligarchii, a nie do zachodnioeuropejskich demokracji.

Należało tego się męczyć i gymnastykować, aby – zachowując twarz - pozostać sobą i być wiernym zasadom moralnym. I zarazem nie dać się zepchnąć na margines, zdegradować, ani wejść na śliską drogę złudzeń oraz wykroczeń. Już byłem za stary, żeby w tej nieustannej przepychance coś znaczyć, a chociażby aktywnie uczestniczyć, toteż często przybierałem postać zbuntowanego obserwatora i bezradnego krytyka.

Niech osądzą inni, jak udało mi się przetrwać ów okres. Zaprezentuję jedynie niektóre zdarzenia, wybrane, jakie wypełniały w tym czasie moje życie.

Gdy większość ludzi zna szczegóły dotyczące swoich narodzin, ja ich nie znam, a bardzo chciałem poznać. Moja wiedza na ten temat była i pozostała znikoma. To tak, jakbym został zawieszony w próżni, czy też ograbiony z czegoś bardzo istotnego, szczególnie własnego, toteż poczułem się uboższy. Gdy w pełni zdałem sobie z tego sprawę,

poszukując rodowodu i pragnąc odnaleźć swoją tożsamość, za późno już było, żeby możliwe stało się wypełnienie tej pustki.

Rodzice umarli stanowczo zbyt wcześnie, zaś najbliższych krewnych, jacy chociażby w części mogliby mi pomóc, także już zabrakło. Odszedł na zawsze z rodziny brat Antoni, którego wiedza na te i podobne tematy była zdecydowanie szersza i głębsza od mojej. Zostałem sam. Z tajemniczą pustką, gdy idzie o przeszłość.

Skąd mogłem zatem znać godzinę czy też porę dnia bądź nocy, w której się urodziłem? Po upływie lat wertując stare kalendarze, zorientowałem się, iż stało się to w środę. Gdyby więc przyszło mi udać się do astrologa lub wróżki, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o sobie, nie mógłbym podać potrzebnych po temu podstawowych informacji. Jakaż wobec tego byłaby diagnoza dotycząca mego przeznaczenia?

Nigdy zresztą, poza jednym przypadkiem, nie korzystałem z usług ludzi tego rodzaju. Uważałem, że lepiej - wybiegając wyobraźnią do przodu - żyć z nieświadomością tego, co człowieka naprawdę czeka, niż pozostawać ze złudzeniami i uprzedzeniami do swego losu, drżąc na samą myśl o możliwości spełnienia się ich. Bo nawet oczekiwanie na coś dobrego, co zapowiadają wróżbici, może stać się kłopotliwe. Na pewno zaś demobilizujące.

Jestem z natury sceptykiem. Gdy byłem młody i już jako początkujący dziennikarz, siedziałem na skwerze mazurskiego miasteczka Ryn, czekając na spotkanie z prezesem spółdzielni mleczarskiej. Podeszła wtedy do mnie Cyganka. Proponowała, żebym zgodził się powrócić sobie z kart. Odmówiłem. A że była nieustępliwa i natarczywa, sprzeciw zdał się na niewiele. Ustąpiłem, kiedy powiedziała, że nie ma za co kupić dziecku - które trzymała w ramionach - śniadania w pobliskim barze. Wręczyłem jej bez słowa banknot. Cyganka stwierdziła wówczas stanowczo, iż wprawdzie patrzy mi dobrze z oczu, lecz ona nie chce żebrać, a jedynie uczciwie zarobić pieniądze.

Poprosiła, bym podał jej swoją dłoń. Zgodziłem się, nie chcąc podważać dobrych intencji Cyganki. Wzięła do ręki najpierw moją lewą, a potem prawą dłoń. Popatrzyła uważnie na żyły i wyrazistą linię mego życia. Rzekła, kręcąc głową: - Czekasz długie życie, dostatnie i szczęśliwe, ale też spotka coś bardzo niedobrego. Jakaś ciężka choroba czy może trudna operacja, albo coś podobnego, lecz - dodała

Na tle wiosek mego dzieciństwa, Jagodnicy, Witulina czy Terebeli, Leśna Podlaska - stara osada - jawiła się mi intrygującym miasteczkiem. Odwiedzałem ją podczas świąt i odpustów, odbywanych parokrotnie w roku. Obraz współczesny Leśnej Podlaskiej, jaki tutaj prezentuję, odbiega od tego sprzed lat.

O randze tej miejscowości decyduje przede wszystkim barokowa świątynia i klasztor ojców paulinów. W kościele, przekształconym w okresie rusyfikacji w cerkiew, który jest teraz bazyliką mniejszą - znajduje się cudowny obraz Matki Boskiej Leśniańskiej. Osada jest też siedzibą urzędu gminy, spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, Szkoły Podstawowej im. Stefana Wyszyńskiego i Zespołu Szkół Rolniczych im. Wincentego Witosa, filii Banku Spółdzielczego, sklepów oraz zakładów usługowych.

Leśna Podlaska, mająca obiekty zabytkowe, starą i nową zabudowę, jest ważnym na Podlasiu - i nie tylko! - ośrodkiem kultu maryjnego. W okresie zaboru Polski carski dwór w Petersburgu robił bardzo wiele, żaby wykrzewić tutaj wiarę rzymsko - katolicką i rozwinąć na szeroką skalę prawosławie. W osadzie ulokowano prawosławny zakon żeński, wspierany przez carskie władze, prowadzący rozległą działalność oświatową i religijną oraz gospodarczą. Z tego właśnie okresu pochodzą niektóre budynki.







- nie martw się, bo to przeminie i będziesz z siebie zadowolony...

Zbagatelizowałem tę wróżbę. Uznałem, mówiąc szczerze, że dobra zapowiedź mojej przyszłości wynika nie tyle z żył, co z mego dobrego serca, które okazałem Cygance. Potem wróciła mi w pamięci owa wróżba z 1961 roku. Przekroczyłem teraz już 70., a to - jak na mnie - bardzo wiele. Jak długo jeszcze potrwa ta moja ziemską wędrówka? Odpowiedzi na to nigdy nie próbowałem szukać w gwiazdach czy też kartach. Lepiej, myślę sobie, żyć w nieświadomości swego kresu.

Urodziłem się w Jagodnicy, wsi odległej o siedem kilometrów od Białej Podlaskiej. Pochodzę z ojca Franciszka, po którym odziedziczyłem nazwisko rodowe, i matki Bronisławy z domu Ceniuk. Jestem podlasiakiem z podlasiaków. Chrzest przyjąłem 19 listopada 1935 roku w okazałym kościele barokowym pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny i św. Apostołów Piotra i Pawła w Leśnej Podlaskiej.

Posługę duszpasterską pełnią tam ojcowie paulini, sprowadzeni w wieku XVII z Częstochowy. Zaledwie w kilka lat po zjawieniu się na polnej gruszy - pod postacią kamiennej płaskorzeźby - Madonny Leśniańskiej, która potem uznana została za Opiekunkę Podlasia. Słyszana szeroko z łask, czczona i uwielbiana, ściąga do siebie rzesze wiernych i jest znanym ośrodkiem kultu maryjnego. Przybiera nazwę Matki Boskiej Leśniańskiej. Odegrała w przeszłości ważną historycznie rolę. Przede wszystkim w podtrzymywaniu i krzewieniu wiary katolickiej. We wspieraniu unitów podlaskich i przeciwstawianiu się wzmożonej presji prawosławia oraz natężonej rusyfikacji.

Leśna Podlaska stanowi miejsce szczególne, z którym czuję się związany i które wpłynęło na mnie bardzo pozytywnie. Cenię sobie, że właśnie tutaj i w tej bardzo bliskiej mi części Podlasia spędziłem dzieciństwo i część młodości, a „Kamienna Madonna” obdarza nieustannie mnie i moją rodzinę swoimi łaskami, sprawując nad nami niebiańską opiekę.

Dbałem zawsze o bliski kontakt z rodzinną ziemią i - jeżeli to możliwe - bywam tam nadal często, regenerując siły i wzmacniając ducha. Jeżdżę na „swoje” Podlasie, by z szacunkiem, wiarą i nadzieją uklęknąć przed świętym obliczem Matki Boskiej Leśniańskiej. Aby odwiedzić rodzinę i znajomych, pogawędzić. Zajrzeć w ulubione zakamarki łąkowe i leśne. Przejść się śródpolnymi drózkami i ścieżkami,

już od dawna pozarastanymi, którymi chodziłem w dzieciństwie. Nasyć wzrok urokliwym, choć poniekąd melancholijnym krajobrazem i pooddychać świeżym powietrzem. Jeżeli z jakiegoś powodu utrzymuje się dłuższa rozłąka z rodzimą wsią i okolicą - tęsknię za nią szczerze.

Na chrzcie nadano mi imię Henryk. Nawet nie domyślałam się skąd się ono wzięło, jak się to stało, że na patrona wybrano mi imię tego właśnie świętego. Imię o brzmieniu nie słowiańskim, a germańskim. Moim ojcem chrzestnym był wujek z sąsiedniej Terebeli, Stanisław Maziejuk, syn stryja Stanisława, a matką chrzestną starsza siostra mamy, ciocia Paulina Misiejuk, zamieszkała w Jagodnicy.

Pierwszą Komunię Świętą przyjąłem w Witulinie. To duża i stara wieś, przedzielona od Jagodnicy bagnem i rzeką Klukówką, w której dotąd stoi ów zabytkowy drewniany kościółek. Zbudowany bardzo dawno temu jako cerkiew prawosławna, zamieniona potem na unicką.

Chodziłem tam do szkoły i tamtejszy proboszcz ks. Paweł Zubko, pochodzący z Grodna, uczył mnie religii i przygotował do tego sakramentu. Na bierzmowaniu przyjąłem natomiast, jako trzecie, imię - na cześć ojca - Franciszek. Uroczystość ta, którą zapamiętałem we fragmentach, odbyła się w leśniańskim kościele. Wówczas surowym, pozbawionym nadmiaru ozdób, gdzie dotąd sprawują posługę religijną ojcowe paulini. Z czasem świątynia ta podniesiona została do rangi bazyliki mniejszej. Wnętrze jej zdobią obecnie, wykonane w końcu XX wieku, piękne freski.

Drugie imię, którym posługuję się często, wybrałem sam, rodząc się w dniu imienin świętego Leonarda. Żałuję bardzo, że w swoich zbiorach archiwalnych nie posiadam ani jednego zdjęcia, chociażby zbiorowego, które by dokumentowało to wydarzenie. Nie mam też, ponieważ rodziców nie stać było na taki wydatek, ani wcześniejszych, ani późniejszych fotografii z dzieciństwa. Jedyne zdjęcie z lat dziecięcych, jakie przechowuję niczym relikw, trzymając na ścianie oprawione w ramkę, zostało zrobione podczas odpustu na św. Michała Archanioła w Witulinie.

Mama zabrała na odpust nas dwóch braci, starszego Antka i mnie, podczas gdy Janek, najmłodszy z grona, pozostał w domu, gdyż



Stary sztych stojącego dotąd w Witulinie XVII-wiecznego kościoła, będącego w przeszłości unicką cerkwią, w którym przyjmowałem Pierwszą Komunię Świętą. I jedyne zdjęcie z lat mego dzieciństwa, jakie szczęśliwie zachowało się dotąd. Stojąc przed mamą, która - jakby asekurując mnie rękami - czuwa nade mną, a obok stoi Antek, mój starszy brat.

wyprawa byłaby dla niego zbyt uciążliwa. Ja miałem już prawie cztery lata. Na odpuszcie, jak zwykle, pojawił się wędrowny fotograf, wykonujący zdjęcia na zlecenie.

Poszliśmy wtedy, co dobrze zapamiętałem, poza kościół i plebanię, nad rzekę, gdzie rosła rozłożysta stara wierzba, która posłużyła za tło do zdjęcia. Stoję naburmuszony, sztywny, z buzią w dziób, jakbym obawiał się czegoś złego. Antek, wyższy ode mnie, w rubasznej białej koszuli-bluzce, spogląda - tak jak ja - spod oka. Mama ma na głowie, zwyczajem poleskim, białą chustkę upiętą z tyłu. Za moimi plecami, jakby - w razie czego - zamierzała mnie przytrzymać, mama stoi z opuszczonymi rękami. Obaj, Antek i ja, jesteśmy ubrani w krótkie samodzielne porcięta, a na nogach mamy sfatygowane buciki. Nie wydaje mi się, iżby ktokolwiek patrząc na mnie i tę fotografię potrafił stwierdzić, że chodzi o tę samą osobę. Sam siebie rozpoznaję z trudem.

Jestem zodiakalnym Skorpionem. Niemalże jego podręcznikowym egzemplarzem. Agresja nie stanowi o mojej naturze. Przymuszony jednakże do obrony, nie atakuję na oślepi, lecz podstępnie i bezpardonowo. Zdarzało mi się w dzieciństwie staczać walki z chłopakami, wtedy wykazywałem się odwagą, uporem i wytrwałością. Tę moją postawę uznał nauczyciel wobec mamy, po jednej z bijatyk, jako przejaw tego, iż nie należę do tych, którzy pozwolą dmuchać sobie w kaszę. Urażony dotkliwie przez drąga osobę, nawet bliską, nie daję tego poznać po sobie, Bywam jednak długo pamiętliwy, choć nie dążę do rewanżu. Wybaczam łatwo, jednak utrzymuję długo w pamięci wyrządzoną mi krzywdę.

Jak to zazwyczaj u skorpiona, woda nie była nigdy i nie jest moim żywiołem. Lubię ciepło, piasek i kamienie. Lubię dalekie piesze wędrówki, samotne wyprawy na grzyby. Nie lubię zimna i chłodu, znoszę źle zaduch i stęchłe powietrze. Newralgiczną częścią mego ciała są plecy. Wrażliwe na chłód i wiatr, podatne na wszelkie urazy. Siadam i stoję intuicyjnie tak, aby poza mną była ściana. Reaguję zdecydowanie na działanie księżycy. Jeżeli zajrzy on nocą w moją twarz, śpię bardzo niespokojnie i wybudzam się łatwo, zasypiając ponownie z trudem.

Łatwo domniemuję, bo przecież nie znam tego z opowieści, w jakich okolicznościach przyszedłem na ten świat.

Pozostając ze mną w ciąży, jak to na wsi, mama pracowała ciężko niemalże do chwili rozwiązania, gdyż nie mogła pozwolić sobie na wypoczynek czy też krótką ulgę. Była zmuszona wypełniać ciężące na niej obowiązki domowe i gospodarskie, ponieważ na zatrudnienie parobka bądź niańki rodzice nie mogli sobie pozwolić. A jesień, podobnie jak wiosna i lato, była wtedy dla kobiet wiejskich szczególnie uciążliwa.

Zwłaszcza wykopki ziemniaków okazywały się żmudne i ciężkie. Była to robota zwyczajowo kobieca, toteż mama pomimo ciąży brała do ręki motykę i wiklinowy koszyk, wyplatany zimą przez ojca, żeby co dnia wyjść w pole na wykopki; wtedy, kiedy świeciło słońce, gdy wiał wiatr i zacinął deszcz. Kartofli uprawiało się wówczas dużo, były bowiem podstawą kuchni i karmienia świń.

Kiedy już podrosłem, sam doświadczyłem tego trudu, toteż dobrze wiem jak niemile i wyczerpujące było to zajęcie – obecnie zupełnie nieznane - któremu mama musiała podołać. Brała do ręki metalową motykę, o dwóch lub trzech zębach, którą należało wbijać w glebę, krzak po krzaku, tak aby wydobyć stamtąd bulwy. Każdą z nich, nie kalecząc przy tym, wybrać z ziemi i otrzepać, jeżeli były mokre i oblepione błotem, a następnie wrzucić do koszyka, zaś lęty odrzucić na bok. Gdy kosz zapełnił się po brzegi ziemniakami, trzeba było odnieść go do worka i wysypać do niego bulwy.

Będąc w zaawansowanej ciąży, mama odczuwała tym bardziej trud tej pracy. Po upływie kilku dni bolały ją plecy, wyginane nieustannie w kabłąk. Ręce, często zabrudzone, o skórze popękanej wskutek wilgoci, też bolały i drętwiały. Jeśli w skulonej pozycji nie szło już wytrzymać, a odprężanie pleców na niewiele się zdawało, można było przyklęknąć i próbować kopać kartofle na kolanach. Jednakże po niedługim czasie i ta pozycja dawała się we znaki. Kolana bolały i puchły, zaś praca traciła na tempie.

Co począć tedy? Trzeba było zaciskać zęby i dalej - a to przy wygiętych plecach, a to na kolanach - kontynuować wykopki, martwiąc się ciągle, iż tak dużo jest do zrobienia, podczas gdy czas upływa szybko. A tu przynaglają terminy, bo przecież trzeba pole zaorać i obsiać żytem, aby uniknąć klęski. Dni stają się krótsze, słońce pojawia się rzadko, zacina chłodny wiatr i pada deszcz...

Brzuch staje się ciężki i duży, utrudnia ruchy. Pęcnieje i pobo-



lewa. Gdy poruszałem się w łonie mamy, wierzgając nóżkami i rączkami, ona doskonale to odczuwała. Śpieszyła z robotą, aby zdążyć na czas. Im bardziej była zmęczona, tym ja stawałem się bardziej dokuczliwy. Czyżbym dawał znać, że jestem zdrowy, ale też niecierpliwy, gdyż bliższy tego, żeby wydostać się na zewnątrz?

Pracy było jednak ciągle dużo. Brzuch podszedł najpierw w górę, aby następnie przesunąć się do przodu i opaść w dół. Mama, być może, pragnęła mieć córkę, a nie drugiego z kolei syna, ponieważ nieustannie tęskniła za zmarłą Lodzią. Teraz aparat USG pozwala już wcześniej ustalić płeć oczekiwanego dziecka, wtedy oczywiście takiej możliwości nie było. Czy wobec tego okazałem się dla rodziców mniej miłym zaskoczeniem? Mogę jedynie domyślać się, iż tak nie było.

### *Jeden z trzech*

Podczas porodu przyjmowała mnie wiejska „babka”, którą by można nazwać znachorką, Marianna Wróbel. W istocie była swego rodzaju instytucją. Spełniała w Jagodnicy, odbierając szczęśliwie porody co najmniej dwóch pokoleń, funkcję akuszerki. Pierwsza ujęła mnie w dłonie. Uderzyła lekko ręką w pupcię, skłaniając mnie tym sposobem do wydania okrzyku. Obwieściłem głośno, jak tylko potrafiłem, swe przybycie na ziemski padół.

Będąc już podrostkiem, usłyszałem od Wróblowej, iż powinienem być zadowolony, bo będę szczęśliwy w swoim życiu.

- Ja szczęśliwy? A niby dlaczego? - dopytywałem zaskoczony.

- Bo ty - mówiła spokojnie - urodziłeś się w czepku...

Diagnoza ta, przyznając szczerze, bardzo mnie podbudowała, gdyż - jak moi bracia - klepałem wtedy autentyczną biedę, nie mogąc uwierzyć, iż kiedykolwiek miałoby być inaczej.

- A co to urodzić się w czepku? - zapytałem kiedyś sąsiadkę Mariannę Koszołkową, kobietę uczynną i mądrą.

- To tyle - wyjaśniała - co w chwili narodzin mieć na główce błonę porodową, ułożoną na kształt czepka...

Medycyna, jak zorientowałem się później, nie podziela ludowego przesądu.



Jan Kawecki, który przez długie lata był Kawką, opowiadał mi, iż Antek, mój starszy brat, z którym on się kolegował, informował go z radością, że pojawił się w rodzinie chłopczyk. Zaciągnął Janka do chałupy, aby pokazać mu niemowlę owinięte w lniane pieluchy.

- Był szczerze dumny, że ma brata - podkreślał Kawecki, gdyśmy spotkali się po latach w Jagodnicy. To jeden z moich starszych kolegów, który zrobił w PRL karierę, kończąc wyższe studia w Poznaniu. Został doktorem, wyuczył się języka francuskiego i nauczał w nim przez wiele lat - będąc stypendystą ONZ -afrykańskie dzieci na „czarnym lądzie”. Nasz ojczulek, Antka i mój oraz Janka, był jego ojcem chrzestnym. On też, jak my, wcześniej utracił swego rodzica. Pomimo kariery, co zasługiwało na pochwałę, Jan Kawecki kolegował się niezmiennie z moim bratem, znajdując zawsze wspólny temat do długich rozmów.

Antoni, o którym więcej napiszę potem, nigdy nie bywał daleko od Jagodnicy, podczas gdy Jan Kawecki objeżdżył pół świata. Antoni był co prawda w Olsztynie, gdzie mieszkałem z żoną Haliną, jak też w Warszawie, gdyśmy przenieśli się do niej; będąc m.in. ojcem chrzestnym naszej córki Elżbiety. Córkę chrzciliśmy w olsztyńskiej katedrze na starówce, a obok Antka stała podczas tej ceremonii, będąc matką chrzestną, Irka Kropiwnicka, nasza bliska koleżanka.

Podróżował pociągiem do Słupska i bardziej odległego Miastka na Pomorzu Środkowym, gdzie mieszkał Janek z żoną Aliną. Odwiedzał ich trzykrotnie. Za każdym razem starał się jak najwięcej zobaczyć i poznać. Do gustu przypadł mu mocno pofałdowany krajobraz okolic Miastka, po których spacerował. Zastanawiał się - relacjonował mi Janek - jak radzą sobie rolnicy z uprawą i zbiorem ziemiopłodów na stromych pagórkach? Podziwiał lasy nadające się doskonale - tak oceniał - do grzybobrania.

Gdy ujrzał Bałtyk, był zdumiony i zaskoczony. Zobaczył po raz pierwszy w życiu bezkresne morze w pełnej krasie. Zaszokowało go, że w jednym miejscu może być aż tak dużo wody, która nieustannie pieni się i szumi, kołysząc falami, a mróz ścina ją zaledwie w niektórych miejscach. Zapewniał, iż zupełnie inaczej wyobrażał sobie nasz Bałtyk.

Zauroczył go Słupsk. A gdy znalazł się nad rzeką Słupią, odezwała się w nim wędkarska żyłka. Gdyby mógł, chętnie zarzuciłby tam

wędkę, by zmierzyć się z rybą. Zafrapowany występowaniem w rzece wielkich i bardzo żywotnych ryb łososiowatych, zastanawiał się jakby zachował się, gdyby taka sztuka połknęła przynętę. W jego Klukówce nigdy tak dużych ryb nie było.

Jeździłem też z Antkiem do Krakowa na przysięgę jego syna Zbigniewa. Cierpiący już na dolegliwość serca, był on w sanatorium w Nałęczowie i Augustowie. Lubił podróżować, interesowało go wszystko, na świat był otwarty i łakomy, lecz na wiele nie mógł sobie pozwolić. Nigdy nie zdarzyło mu się przekroczyć granicy Polski.

Brat mój umarł w kwietniu 1993 roku, mając 62 lata. Udar serca powalił go w lasku, kiedy wracał wieczorem z wędkowania na zalewie w Terebeli. Trzymał w ręku parcianą torbę, w której znajdowało się kilka dorodnych płoci i okoni.

Śmierć spotkała go w ulubionym lasku, nazywanym przez nas „Kuranowo”, rosnącym po drugiej stronie rzeczki Klukówki, która



*Krajobrazowe uroki okolic Jagodnicy. Staw, utworzony po wydobyciu torfu, przy rzece Klukówka, a dalej wzgórek, na którym w moim dzieciństwie była poręba i rosły poziomki, następnie las „Kuranowo”, dokąd chodziliśmy na grzyby, maliny oraz dzikie porzeczki, w którym śmierć powaliła Antka.*

*Klukówka - nazywana wtedy Białką, zdecydowanie większa i obfitsza w wodę od obecnej - była w krótkim czasie rzeką graniczną między Litwą a Koroną.*

po osuszeniu rozległych bagien, mogących dziś być rezerwatem, stała się nieledwie rowem melioracyjnym. W czasach dzieciństwa, ale też potem, brodziliśmy w tej rzece z kłomlą, łowiąc ryby, w które ona obfitowała, zaś do lasu chodziliśmy jak tylko czas pozwalał na grzyby i maliny. Antek znał doskonale każdy zakątek „Kuranowa”.

Jeszcze przed śmiercią, doznawszy złamania ręki, a następnie pierwszego zawału, zdał gospodarkę córce i zięciowi, Mariannie i Bronisławowi Piwniczukom, którzy porzucili pracę w śląskiej kopalni węgla i powrócili do Jagodnicy. Ich córka Sylwia, wnuczka Antka i jego żony Franciszki, baraszkowała z lubością po brzuchu dziadka, który nigdy nie miał jej tego za złe.

Mocno bolał, iż nie jest w stanie prowadzić dalej gospodarstwa, któremu poświęcił całe swe pracowite życie i które wywindował do pozycji najlepszego we wsi. Rwał się do roboty, która była dla niego wszystkim, lecz chore serce nie pozwalało na to. Pogodziwszy się w końcu z losem, co łatwo mu nie przyszło, szukał szczęścia i uspokojenia nad wodą i w lesie. Zajął się z oddaniem, bo takim był zawsze, pasji grzybobrania i łowienia ryb.

Idąc wieczorem na dancing w witułińskim „Skansenie”, młodzi mieszkańcy Terebeli natrafili na martwego Antoniego, leżącego tuż przy leśnym dukcie. Poznali go bez trudu, był bowiem postacią znaną i cenioną. Powiadomili rodzinę w Jagodnicy i policję w Białej Podlaskiej. Wieść o jego śmierci rozniosła się szybko, powodując żal i współczucie wśród sąsiadów i bliskich. Zjawili się policjanci. Lekarze uznali, iż przyczyną nagłej śmierci był zawał.

Bronisław Piwniczuk, poprosiwszy kolegów o pomoc, doczepił do traktora drabiniasty wóz i pojechał nim do lasu po teścia. Kiedy mężczyźni wnieśli nieboszczyka do mieszkania, które on przed laty sam zbudował, pokonując rozliczne kłopoty, jego córka, a moja chrześniaczka, Marianna dopatrzyła się na twarzy martwego ojca dyskretnego uśmiechu, Czyżby wywołało go udane wędkowanie? A może ów zastygły uśmiech wywołała jakaś miła myśl? Tego nie sposób wyjaśnić. Na pewno zaś Antoni umierał bez męki.

Pierworodnym dzieckiem moich rodziców była córka Lodzia, która - ku ich rozpaczycy - umarła za młodu. Pamiętam, że mama długo nie mogła pogodzić się z jej przedwczesną utratą.

Gdy byłem z nią na leśniańskim cmentarzu, umieszczonym na wzgórku w otoczeniu lasu i pól, na którym spoczywa obecnie cała bez mała moja rodzina, dopytywałem ją, dlaczego Łodzią umarła? Na co nie była w stanie odpowiedzieć, gdyż rodzice nie mogli pozwolić sobie na opiekę lekarską dla córki, toteż umarła - jak mówiła mama - „bo Bóg tak chciał”. Powtarzała niezmiennie, gdy z dziecięcą naiwnością dopytywałem, gdzie jest jej dusza, że „znajduje się wśród aniołków”. A to całkowicie mnie satysfakcjonowało, bo przecież - tłumaczyłem sobie - była chrzczona i jeszcze zbyt młoda, aby nagrzeszyć i dlatego jej dusza trafiła do nieba i pod postacią aniołka spogląda na nas z niebiańskiej wysokości, strzegąc przed złem.

Zatopiona w modlitwie, zasepiona, popłakiwała często nad jej mogiłką. Chciała bardzo, tego nie ukrywała, mieć córeczkę, bo kiedyś byłaby dla niej pomocną, a ona jej powiernicą. Lecz nigdy nie dawała nam odczuć, iż strata ta w jakikolwiek sposób przekłada się na nas, jej synów. Ona bardzo nas kochała. Ubolewała mocno, iż nie jest w stanie zapewnić nam szczęśliwego dzieciństwa i dobrobytu, a tylko ciągle zapęda nas do ciężkiej roboty.

Urodzonego w styczniu 1932 roku Antka, rodzice i dziadkowie ze strony mamy, Zofia i Andrzej Ceniukowie, doglądali ze wzmożoną uwagą i troskliwością. Przewrażliwieni śmiercią Łodzi, zapewniali bratu warunki najlepsze z możliwych, na jakie było ich stać. Trwał ostry kryzys w rolnictwie, odczuwalny dotkliwie przez mieszkańców wsi, którzy musieli się w tym czasie wszystkiego dorabiać.

Antek był chłopcem zdrowym i silnym, dobrze się rozwijał, zawsze pełny energii i zapału, zarazem jednak uparty i skory do wybrzków. Wchodził tam, gdzie nie należało, był ogromnie ciekawy otaczającego go świata, co wymagało wzmożonej opieki nad nim. Jego aktywność przyprawiała rodziców o zakłopotanie. Na jego tle ja byłem, gdy spędzałem dzieciństwo, chłopcem ostrożnym i bardzo posłusznym.

Gdy zaś idzie o wiek, byłem synem średnim, młodszym od Antka, starszym zaś od Janka, a warunki bytowania, jakie mi przypadły, też miałem średnie. Żyli jeszcze wówczas moi dziadkowie ze strony mamy, na barki których - jak mogę przypuszczać - spadło niemało obowiązków związanych z opieką nad wnukami. W sytuacji zdecydo-

wanie gorszej znalazł się Janek, najmłodszy z grona trzech braci Maziejuków. Pojawił się w rodzinie w maju 1938 roku. Tego samego akurat dnia, w którym umarła babcia Zofia. Nastąpiła więc tym samym, wymowna i symboliczna, złączona łzami radości i smutku, wymiana pokoleń.

## *Z rodziny unitów*

Byłem wypytywany często o pochodzenie klasowe i społeczne. Odpowiadałem niezmiennie, że wywodzę się z chłopów. Z chłopów średniorolnych. Wyraźnie i z dumą ujawniałem to w życiorysie i różnego rodzaju ankietach, jak też kwestionariuszach oraz dokumentach wymaganych w związku z wyjazdem za granicę czy też wstępowaniem do organizacji społecznych i politycznych. Ujawnianie tych faktów było w PRL bardzo ważne. Podkreślałem, zresztą zgodnie z prawdą, iż identyfikuję się w pełni ze swoim chłopskim rodowodem. Nawet wtedy, a był taki czas, kiedy ukrywanie pochodzenia chłopskiego czy robotniczego było modne. Szczególnie w okresie studiów. Ja nie uważałem nigdy swego pochodzenia za coś wstydliwego.

Zastanawiam się czasem, oceniając swój los, czy ja - tak naprawdę - nie pozostałem na zawsze chłopem? Czy nie byłem nim - i nie jestem nadal - przez całe długie swoje życie? Jeśli wziąć pod uwagę moją ustawiczną więź ze środowiskiem wiejskim i chłopskim, szacunek, jakim obdarzałem chłopów, stosunek do ziemi i przyrody, tematykę publicystyki i reportaży, zaangażowanie społeczne i polityczne, nie mówiąc już o dziennikarskim, w obronę interesów wsi i rolnictwa, czy też umiłowanie kultury ludowej - to wypada stwierdzić, że paść powinna odpowiedź twierdząca. I ani nie uważam tego za złe, czego mógłbym się wstydzić, ani za powód do chwały. Zostałem wierny swoim korzeniom - i tyle!

Byłem i pozostałem z krwi i kości tak samo podlasiakiem, jak też chłopem. Podlasie jest moją „małą ojczyzną”, częścią Ojczyzny Wielkiej, jaką jest Polska. I dobrze było mi i ciągle jest z tym...

Mama była córką fornała, dopiero po wyjściu za mąż została chłopką. Jej rodzice, Zofia i Andrzej, stali się moimi dziadkami. An-

drzej Ceniuk, figurujący w dawnych dokumentach także jako Cieniuk, pochodził ze wsi Swory. Urodził się we dworze. Był kowalem w majątku ziemskim Woroniec, należącym od pokoleń do książąt Woronieczkich, który w całej okolicy był uznany za wzorowy. Chodził tam do roboty piechotą ze Swór, pokonując kawał drogi.

Babcia Zofia, z domu Lubańska, była włościanką z gospodarstwa rolnego w Grabanowie koło Białej. W sezonie jeździła na zarobek do okolicznych dworów. Pracując w Woroncu poznała Andrzeja Ceniuka. Polubili się i założyli rodzinę. Z „dworusów”, jak się mówiło, wywodził się także mój pradziadek ze strony mamy.

Swory stanowią wieś dużą i rozległą, położoną kilkanaście kilometrów od Jagodnicy. Można by spytać, skąd ta nazwa? Otóż w odległych czasach, gdy Podlasie porastała przepastna puszcza, możnawładcy utrzymywali w tym miejscu dużą sforę psów myśliwskich, potrzebnych im do polowań na dziczyznę. I tak z czasem sfora stała się Sworami.

Skazując ich na wędrówkę, dziedzice wymieniali często służbę dworską. Niedługo po ślubie moi dziadkowie przenieśli się dlatego z majątku w Woroncu do Jagodnicy, gdzie znajdował się folwark należący do majątku ziemskiego w Worgulach, którego właścicielami byli wówczas Szeliscy. Pałac rodowy Szeliskich, klasycyście polski, kryty gontem, stał w Ludwinowie, wsi sąsiadującej z Jagodnicą, skąd rozciąga się urokliwy widok na wieże kościelne i stare mury klasztorne ojców paulinów w Leśnej Podlaskiej.



*Zrekonstruowany pałac dworski Szeliskich w Ludwinowie, właściciele majątku ziemskiego Worgule i folwarku Jagodnica*

Po 1945 roku, a tutaj nawet wcześniej, gdy władza ludowa przeprowadziła reformę rolną, ów murowany pałac - będący początkowo w dobrym stanie - popadał z każdym rokiem w ruinę. Pozbawiony troski i opieki niszczał, aż w końcu zniknął całkowicie. Na podstawie



zachowanej w archiwach starej dokumentacji architektonicznej i starych zdjęć został po roku 1989 odbudowany, stając się wierną repliką pierwowzoru.

Nowy właściciel pałacu, także resztek pięknego ongiś parku dworskiego, Marek Karp z Warszawy skorzystał z poparcia rządu Tadeusza Mazowieckiego i finansowej pomocy wojewody białkopodlaskiego Stanisława Rapy, uzyskując pieniądze przeznaczone na konserwację zabytków.

Marek Karp zrekonstruował ogrodzenie pałacowej posesji i parku oraz wznosił budynki towarzyszące pałacowi, jak wozownię i stajnię, a przede wszystkim zbudował od fundamentów nowoczesną oborę dla krów mlecznych.

Na początku XXI wieku jego samochód dostał się koło Białej Podlaskiej pod koła potężnego białoruskiego TIR-a. W wyniku tej katastrofy wkrótce zmarł. Nagła śmierć zaciążyła na losie obory, która po wyprzedaży ponad 200 dorodnych krów całkowicie opustoszała.



*W czworaku podobnym do tego, jaki stał w jagodnickim folwarku jeszcze na początku XX wieku, urodziła się i wychowała - wraz z siostrą Pauliną i bratem Aleksandrem - moja mama Bronisława Ceniuk, której rodzice, Andrzej i Zofia, stali się moimi dziadkami. Nie posiadali, niestety, swoich zdjęć, jakie mógłbym tu zaprezentować.*

Bronisława Ceniuk, moja mama, urodziła się w Jagodnicy w 1908 roku. Przyszła na świat w dworskim czworaku, przysługującym do zamieszkiwania fornalskim rodzinom, gdyż Andrzej Ceniuk był tutaj właśnie fornalem. Był to budynek drewniany, po części zbudowany z cegieł, niski i szeroki, długi. W okresie mego dzieciństwa nie było już po nim śladu. Czworak pokrywała cementowa dachówka.

Poza ekonomem, a ostatnim był tutaj Stanisław Tąkiel, któremu przysługiwały dwie odrębne izby, inne folwarczne rodziny gnieździły się - wprawdzie dużym - w jednym pomieszczeniu, do którego przylegała kuchnia. Zamiast podłogi z drewna czy cegieł - była tutaj gliniana polepa. Stał piec, okna były niewielkie.

W izbie stały dwa lub trzy łóżka zbite z desek, wychodek był wspólny i ulokowany na zewnątrz, zaś ubikację zastępowało nocą wiadro. W takich warunkach urodziło się i wychowało u Ceniuków troje dzieci.

Babcia Zofia uzyskała, wychodząc za dziadka, spłatę z gospodarstwa rodzinnego w Grabanowie. Jednak nie były to pieniądze na tyle duże, żeby można było za nie kupić kawałek ziemi i myśleć o samodzielnym gospodarowaniu. Były one wprawdzie w złocie i zostały zdeponowane w banku, ale przepadły bezpowrotnie, gdy wybuchła pierwsza wojna światowa.

Mama była najmłodszym dzieckiem Zofii i Andrzeja Ceniuków. Najpierw - dokładnie na przełomie wieków - urodziła się Paulina, moja przyszła ciocia i chrzestna. Potem urodził się Aleksander, mój wujek, którego nie zapamiętałem, gdyż wcześniej zmarł. Będąc młodzieńcem wstąpił do legionów Józefa Piłsudskiego. Przeszedł z nimi długi szlak bojowy. Życie wprawdzie zachował, jednakże nabawił się gruźlicy.

Wujek Aleksander ożenił się z Julią Misiejuk, której brat Stanisław wziął sobie za żonę Paulinę; córkę Ceniuków, a moją ciotkę. Nastąpiło w ten sposób podwójne związanie obu rodzin. Aleksander i Julia mieszkali w Brześciu nad Bugiem. Kiedy hitlerowcy dogadali się z sowietami co do podziału Polski, dokonując piątego jej rozbioru, Polacy mogli przez krótki czas przenosić się na drugi brzeg rzeki, to jest do Generalnej Guberni, podległej Rzeszy. Prawobrzeżne tereny nadbużańskie włączone zostały bowiem w skład ZSRR.

Wtedy rodzina Aleksandra przeniosła się z Brześcia do Białej

Podlaskiej. Wraz z dwoma synami, starszym Stanisławem, zwanym „Kibicem” gdyż, uprawiał boks, i młodszym Marianem, ciotka Julia zamieszkała na parterze w ciasnym mieszkanku przy Szkolnym Dworze.

Mieszkając ciągle w tym samym mieście, z czasem młodzi Ceniukowie, Stach i Marian, pozakładali swoje rodziny. Wdowa Julia wyszła ponownie za mąż za Radzikowskiego. Ciotkę Julię, jak mówiliśmy Julkę, odwiedzałem często. Stacho i Marian byli przecież moimi wujecznymi braćmi. Jeździłem tam z mamą, będąc dzieckiem, a potem z Antkiem.

Była to kobieta dobrotliwa i życzliwa. Okazywała dla nas dużo serca i zrozumienia. Częstowała czym mogła, ciepłą strawą, ciastem i napitkiem. Później, kiedy opuściłem Jagodnicę, moje więzy z Ceniukami osłabły i zanikły całkiem, czego po latach bardzo żałowałem. Zrozumiałem, zresztą nie tylko w tym przypadku, że z osobami sobie bliskimi trzeba utrzymywać stałe kontakty, gdyż nie wiadomo kiedy mogą urwać się one na zawsze.

O babci Zofii mówiło się wyłącznie dobrze. Była niezwykle pracowita, pogodna i uczynna, ustępliwa. Natomiast dziadek Andrzej, jak wynikało z opowieści, był władczy, lecz także pracowity, a do tego równie pobożny, jeśli nie bardziej, jak babcia Zofia.

Pierwszy zmarł dziadek Andrzej. Niedługo potem powędrowała za nim - na chłopskiej furmance - na leśniański cmentarz babcia. Spoczęła obok niego, ale nie w jednym grobie. Już wcześniej nakazała rodzinie, aby ta po jej śmierci posadziła przy mogile jeden z dwóch kasztanowców, jakie rosły na podwórku, które ona wyprowadziła ze zdobytych gdzieś kasztanów. I tak się stało, ale po latach drzewko to, niestety, uschło. Może z „tęsknoty” za drugim, które pozostało na rodzinnym podwórku i rośnie dotąd?

Byłem za mały, abym mógł zapamiętać dziadków. Zaledwie jedna klatka zachowała się na mglistym filmie moich wspomnień. Gdy dziadek Andrzej, a był wysoki i krępy, idzie z wiadrem od stodoły do studni, obok której rosły małe kasztanowce. Być może, bo nie jestem tego pewny, jedynie we śnie takim go zapamiętałem?

Gdyby zachowały się stare fotografie, ale ich nie było, utrwaliłoby się w mojej pamięci dużo więcej szczegółów. Nic bowiem tak nie

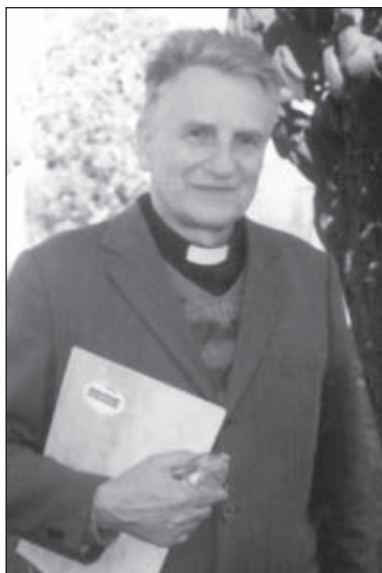
konserwuje pamięci, jak właśnie to, co przedstawiają stare fotografie. Jeżeli jednak doskwierała w rodzinie nędza, to skąd miałyby się wziąć zdjęcia? Nie mam więc, bo jak i skąd, zielonego pojęcia jak wyglądali moi dziadowie. Zarówno ze strony ojca, jak i mamy.

Im stawałem się starszy i bardziej świadomy, tym dotkliwiej odczuwałem niedostatek wiedzy o swojej rodzinie. Są tacy, którzy szczycą się nie bez racji znajomością swoich rodów sięgającą pokoleń, podczas gdy ja zadowolilić się muszę jedynie skromną wiedzą o moich najbliższych przodkach. Jest mi przykro z tego powodu. Czuję się uboższy o brakujące ogniwa rodowej samoświadomości. Cóż, że chłopskiej, ale własnej, swojej...

Nie nazbyt konsekwentnie i energicznie próbowałem - gdy była jeszcze po temu pora - odtwarzać przeszłość swojej rodziny. Gdybym zajął się tym wcześniej, kiedy żyła jeszcze mama, a nawet później, gdy żyła ciocia Paulina, byłbym dużo bogatszy o tę wiedzę. Ale głęboko, jak mi się wydaje, też bym nie mógł sięgnąć, gdyż chłopci, a tym bardziej służba folwarczna, nie zasługiwali przecież na to, żeby zapisać się imieniem w historii. Stanowili bowiem zaledwie wątle jej tło. Jeżeli zachowały się gdzieś ślady ich pobytu, wieści z życia, to wyłącznie w księgach parafialnych. Księgach narodzin, chrzestów, ślubów i zgonów. I to pod warunkiem, że takie dokumenty uniknęły ognia, wojny, wody czy też innego nieszczęścia.

Za sprawą starań ks. mgr Czesława Maziejuka, krewniaka rodem z Terzeli, syna Stanisława i Janiny, który po przejściu na emeryturę - zgłębiając swe zainteresowania regionalne - zajął się badaniami przeszłości dowiedziałem się czegoś więcej o swojej, a po części również jego rodzinie.

Ks. Czesław, którego rodzic był moim ojcem chrzestnym, zaś mój stryj jego dziadkiem, porządkował archiwum kościelne bialskie-



*Ks. mgr Czesław Maziejuk*

go dekanatu. Napisał pracę magisterską o ekumenizmie i stosunkach kościoła prawosławnego oraz unickiego i katolickiego na terenie bliższego nam obu Podlasia. Penetrując stare księgi, trafił na nazwiska naszych wspólnych przodków.

Księga jest opatrzona tytułem: „Lider Conversorum”, co oznacza listę nawróconych. A chodzi o unitów, wiernych zasadom ustanowionym w 1596 roku podczas Unii Brzeskiej. Na mocy tamtych postanowień ludność zamieszkująca tereny Podlasia i Polesia, dwóch graniczących ze sobą - poprzez rzekę Bug - regionów geograficznych, pod wieloma względami podobnych do siebie, mogła zachować tradycję i wiarę oraz związać się z Polską. Odnosi się to również do innych wschodnich terenów dawnej Rzeczypospolitej, jak Wołyń czy też dawne grody Czerwieńskie, a przede wszystkim Chełmszczyzna.



*Przykryte na poleską modę białymi chustami - kobiety zgromadziły się w latach 30. ubiegłego wieku wokół przeora leśniańskich paulinów, obok swego kościoła. Wśród nich znajduje się także moja mama.*

Będąc wcześniej wyznania prawosławnego, ludność ta - na mocy brzeskich postanowień - mogła dobrowolnie przechodzić z prawosławia na wiarę uznaną za unicką, zespoloną z katolicyzmem. Za zgodą

biskupów prawosławnych, papież uznał nowe poddaństwo, gdyż unicy czuli się związani z Watykanem, a nie z Moskwą. Pozostawiono im jednak, gdyż tego chcieli, dotychczasową liturgię, cerkiewne śpiewy i wschodnie obrzędy, kryjące w sobie wiele wzniosłości, powabu i tajemnic, co pozwalało utrzymywać nabożeństwa w dawnym stylu.

Był to więc kościół w treści zachodni, łaćniński, lecz wschodni w formie. Księża unicy, jak w prawosławiu, mogli się żenić i zakładać rodziny, ponieważ byli zwolnieni z celibatu.

Prawosławie w wydaniu moskiewskim uważało jednak, iż ustanowione w Brześciu Litewskim ustępstwo zostało na nim wymuszone, wobec czego nigdy nie zrezygnowało - uciekając się do przemocy i ucisku - z siłowego przeciągania unitów na swoją stronę. Głównie dlatego, jak się wydaje, że wiara unicka związała silnie wyznawców z Polską i Rzymem, sprzyjając tym samym polonizacji Rusinów.

Wykazując się zapałem i poświęceniem, przywiązaniem do polskości, unicy trwali z wielkim trudem i uporem przy swojej wierze, nie poddając się wpływom prawosławia. Nie było to łatwe, wymagało dużo poświęcenia i hartu ducha, ponieważ Rosja, szczególnie po przegranej przez Polaków powstaniu styczniowym, które cieszyło się na Podlasiu szerokim poparciem i doprowadziło do wielu bitew i potyczek z wojskiem rosyjskim, zaostrzyła sprzeciw wobec Unii. Na terenach podlaskich Królestwa Polskiego doszło - szczególnie po przyjęciu w 1874 roku dekretu, czyli ukazie, o likwidacji Unii - do gorszących i brutalnych, siłowych i krwawych, sposobów i metod zmuszania unitów do przyjęcia prawosławia, co doprowadziło w konsekwencji do oficjalnego rozwiązania tego problemu. W rzeczywistości było to jednak pyrrusowe zwycięstwo caratu i prawosławia - wspieranego otwarcie przez władze administracyjne, żandarmów i wojsko - nad unitami, którzy, jak się okazało, w większości przypadków nie zaakceptowali wiary prawosławnej, pozostając ukradkiem przy swojej, chociaż odebrane im świątynie zamieniono na cerkwie prawosławne.

Walka o zachowanie w wierze tej odrębności, utrwalona w wielu przekazach, przyjmująca postać dramatycznych i bohaterkich zmagających, musiała odgrywać ważną rolę, skoro car Aleksander II, żeby uspokoić w cesarstwie niepokoje społeczne, groźne w obliczu nadciągającej wojny w Europie i trwających już zmagających zbrojnych Rosji z



Japonią, wydał w kwietniu 1905 roku dekret o wolności religijnej. Na jego mocy ludność unicka mogła dokonywać swobodnego wyboru religii: przejść dobrowolnie do kościoła rzymsko - katolickiego albo prawosławnego czy też - co spotkało się później ze zdecydowanym przeciwdziałaniem - pozostać przy dotychczasowej wierze unickiej.

Więcej napisałem na ten temat - poszerzając i wzbogacając temat w książce wydanej wspólnie z bratem Janem Maziejukiem zatytułowanej „Cmentarz unicki w Terebeli”.

W tej części Podlasia, dla mnie rodzinnej, doszło w efekcie owego ukazu carskiego do masowego nawracania się dawnych unitów i ich rodzin, czyli przechodzenia, na wiarę rzymsko-katolicką. Liczne rodziny unickie, idąc często do kościołów w charakterze pielgrzymek i procesji, masowo potwierdzały dokonanie tego właśnie wyboru.

I oto w tomie III wspomnianej księgi „Liber Conversorum” na stronie 239 znajduje się zapis stwierdzający, iż unicy ze wsi Terebela, a mieszkały tam wówczas 53 takie rodziny, przybyli licznie do kościoła pod wezwaniem św. Anny w Białej, aby się tam nawrócić. Wśród tych rodzin byli także moi przodkowie ze strony ojca Franciszka. Zapis ów pozwolił mi ustalić rodowód moich pradziadków i dziadków.

## *Nawróceni*

Zaczął się to - ale nie udało się mi dotrzeć głębiej w przeszłość rodu - od Maksyma Maziejuka, którego żoną była Juchymia. Jednakże nie wiadomo ani kiedy i gdzie urodzili się moi pradziadkowie, ani jakie rodowe nazwisko nosiła Juchymia. Byli oni, to pewne, unitami. Mieszkali w Terebeli, gdzie - całkowicie już zapomniana - znajdowała się przedtem unicka cerkiewka parafialna.

Maksym i Juchymia Maziejuk, moi pradziadkowie, dochowali się trzech synów. Pawła, urodzonego w 1850 roku urodzonego w 1862 roku Leonami Emiliana - urodzonego w 1867 roku. Żoną Pawła została Anna z domu Panasiuk, a Leona - Anastazja, córka Józefata i Anny Laszuk. Emilian ożenił się z Marianną, córką Klemensa i Eudoksji z domu Czyżewska.

Leon Maziejuk, mój dziadek ze strony ojca, mieszkał w Terebeli i

był włościaninem. Wtedy, w kwietniu 1905 roku, zjawił się w bialskim kościele św. Anny ze swoją żoną, a więc moją babcią Anastazją, wraz z całą rodziną, ażeby - poddając się nawróceniu - przyjąć wiarę rzymsko-katolicką.

Najstarszy syn Leona i Anastazji, Stanisław, który stał się z czasem moim stryjem, a dziadkiem ks. Czesława Maziejuka, mieszkał ciągle w Terebeli. Kiedy odbywało się uroczyste nawracanie, Stanisław miał już 18 lat. Córka moich dziadków, Leontyna, miała wówczas lat 17, syn Władysław lat 15, kolejna córka Marianna lat 11, zaś Franciszek, przyszły mój ojciec, liczył ich sobie zaledwie 7. Potwierdzenie wieku mego ojca znalazłem w dawnej urzędowej adnotacji, jaka zachowała się szczęśliwie w rodzinnych szpargałach. Napisano, iż Franciszek Maziejuk urodził się w Terebeli w 1898 roku.

Najmłodszym dzieckiem moich dziadków była Feliksa, którą pamiętam z dzieciństwa. Podczas wakacji przez tydzień byłem na jej utrzymaniu, gdy mieszkała z Walenciakiem w Komarnie. W czasie nawracania miała jedynie dwa lata. Po ożenku z mamą, mój ojciec procesował się z Feliksą - jakby inaczej - o ziemię, co zaciążyło negatywnie na naszych stosunkach rodzinnych.

Ciotka Felka, jak ją nazywaliśmy, uzyskała spłatę w toku podziału rodzinnej ziemi, zakupując za uzyskane pieniądze działkę pod zabudowę w Białej Podlaskiej. A że małżeństwo miała nieudane, poszukiwała rozwiązań zastępczych. Nie zapamiętałem, aby w domu kiedykolwiek mówiło się o niej bez sarkazmu.

Nie udało mi się poznać całej rodziny ojca. Leontyna, jak też jego druga siostra, Marianna zmarła. Wujek Władek, brat ojca, zawieruszył się gdzieś w Rosji, a wichry wojny wciągnęły go podobno w szeregi bolszewików. Brał udział w Rewolucji Październikowej, ale już na Ukrainie. Ponieważ, uznano go za zaginionego, jego ojciec, a mój dziadek Stanisław, pominął go przy podziale majątku. Jednakże mój ojciec Franciszek, brat Władysława, odnalazł go i ściągnął do Terebeli.

Władek przyjechał z żoną, z pochodzenia Litwinką, wtedy kiedy już było po podziale majątku. Jednakże wyrobił sobie w urzędzie stan ubóstwa i wypowiedział memu ojcu proces sądowy o spłatę z odziedziczonego przez niego majątku. Chcąc pomniejszyć wielkość spłaty,

prawnicy poradzili ojcu, żeby przystąpił do ponownego podziału ojcowizny. I tak się też stało.

Władysław poczuł się jednak oszukany i obrażony. Zagniewał się w pierwszym rzędzie na mego ojca Franciszka, rozpoczynając z nim wojnę podjazdową. Podlewał z zemsty wrzątkiem jego drzewa owocowe w sadku, aby uschły, psuł ogrodzenia i dewastował ogród.

Gdy wykleła go rodzina, wyjechał z żoną do Burwina, kilkadziesiąt kilometrów dalej, gdzie osiadł na stałe. Z tego małżeństwa zrodził się jedyny syn Bernard, który - gdy dorósł - ożenił się z wdową Świerbińską, dochowując się dwu córek. Jego słabością, jakiej nabawił się za młodu, był alkohol. Gdy umarł w Terebeli stryj Stanisław, pojawił się tam Bernard z przekonaniem, iż odzyska spłatę, jaka należała się kiedyś jego ojcu. Lecz z prawnego punktu widzenia nie było to możliwe do przeprowadzenia.

Na gospodarce był już wówczas Władysław Maziejuk, nasz szwagier, mąż naszej siostry stryjecznej Marianny, którego przepisy nie zobowiązywały do regulowania tego rodzaju rachunków. Wrażliwy jednakże na ludzką niedolę, ponieważ od wczesnego dzieciństwa chował się bez ojca, Władek wręczył mu z dobrej woli okrągłą sumę pieniędzy, co Bernarda zadowoliło.

Zmarł on w Burwinie w 1960 roku. Los tych krewniaków, tak odzukanego przez ojca wujka Władysława, jak też jego syna Bernarda, mógłby sam w sobie posłużyć za temat do osobnej opowieści.

Utkwił mi na zawsze w pamięci obraz starej wsi Terebela, w której znajdowało się rodzinne gospodarstwo dziadka, a potem stryja Stanisława Maziejuka. Zabudowania, wyłącznie z drewnianych bierwion, stały - w środkowej części wsi - frontem do głównej ulicy. Siedlisko było wąskie, toteż podwórko mocno rozciągnięte i gęsto zabudowane. Tędy, poprzez to podwórko, przeciskając się między dwiema stodołami, stryja i jego sąsiada, stykającymi się u góry strzechami, przechodziliśmy do stryja. Szło się - z powrotem - wąskim ogrodem do kładki na rowie obfitującym w wodę, a dalej ścieżką łąkową do Jagodnicy. Była to najkrótsza droga łącząca obie wioski.

U stryja rósł niewielki sad owocowy. Zapamiętałem przede wszystkim stare wiśnie, które tuląc się do płotu powyrastały wysoko ponad nim. I wcale niełatwo było się na nie wdrapać. Jednakże drzew-

ka te miały na tyle smakowite owoce, że było warto ryzykować, aby dostać się na nie i urwać chociażby garstkę wisienek.

Na ojcowskiej działce, która znajdowała się po drugiej stronie drogi, po dawnym sadku pozostała zaledwie jedna grusza. Rodziła dorodne i bardzo smaczne owoce, które czasami udawało się nam w porę urwać, uprzędając innych smakoszy.

W Terebeli mieszkano wówczas, tak zresztą jest nadal, kilka rodzin o nazwisku Maziejuk. Dla potrzeby ich rozróżniania, gdyż powtarzały się nie tylko imiona, ale i imiona ojców, stosowano pseudonimy; także dziedziczone z pokolenia na pokolenie. Do mego ojca, a potem również i jego synów, a więc i do mnie, przyłgnęło przezwisko „Krekodaj”; w Jagodnicy nic nieznaczące, którego pochodzenia nie udało mi się wyjaśnić. Zupełnie nie wiem skąd się wzięło i co oznaczało. Być może wywodziło się już od dziadków, jeśli nie pradziadków.

Mama, jak wspominałem, była córką fornala i od młodu pracowała na dworskim folwarku. Kiedy zabrakło pracy na miejscu, ponieważ po jego spaleniu i splądrowaniu przez bolszewików idących w 1920 roku na Warszawę, mama wynajmowała się do roboty we dworze Wężyków w sąsiednim Witulinie, dokąd dochodziła codziennie z Jagodnicy. Ojciec zaś, jak wynika z rodowodu, wywodził się z włościan, ale pradziadek mój Maksym Maziejuk był jeszcze chłopem pańszczyźnianym. Natomiast dziadek Leon Maziejuk, chociaż urodził się w rodzinie pańszczyźnianej, zdążył pod koniec życia gospodarować na własnej ziemi, nadanej jego rodzinie carskim ukazem w 1864 roku.

## *Za krowim ogonem*

Grunty rodzinne były całkiem okazałe, jednakże w miarę podziałów stały się wąskimi działkami, które określaliśmy mianem poletków. Mój ojciec odziedziczył 5 ha bez mała. Gdyby grunty te leżały w jednym kawałku, czy nawet dwóch, byłyby znaczącym „kąskiem”. Znajdowały tymczasem się w trzech odległych od siebie parcelach, w formie wąskich pasków, ciągnących się na przestrzeni przekraczającej kilometr. Stwarzało to wielkie kłopoty - które później poznałem - związane z ich uprawą i eksploatacją. Na domiar złego były to ubogie,

mało urodzajne pola. Już jako chłopak zraszałem je obficie potem, tak samo jak brat Antek, a potem także Janek, gdy przyszło nam pracować ponad wiek i siły.

Komasacja terebelskiej szachownicy odbyła się z urzędu w latach 60. ub. wieku. Jakkolwiek zniknęły miedze i śródpolne dróżki, to jednak dotąd rozpoznaję łatwo miejsca, gdzie znajdowały się „nasze poletka”. Jakże były, gdzie się zaczynały i kończyły, co je przedzielało...

Nawet ja, małaolat, kosząc ręcznie zboże - potrzebowałem trzech pokosów, aby „zagarnąć” kosą szerokość takiego „poletka”.

Kiedy przyszło rozrzucać obornik, a tym bardziej sypki sztuczny nawóz, a było wietrznie, należało bardzo uważać, by wiatr nie przynosił nawozu na sąsiednie działki. Gdy lis - żartowali ludzie - położy się w poprzek poletka, to głowę ma na jednej miedzy, a rudą kitę na drugiej...

Najbliższe nam „poletko” znajdowało się w odległości przeszło 3 km od naszego podwórka w Jagodnicy. A najbardziej odległe leżało jeszcze o półtora kilometra dalej. Ile czasu trzeba było zmitrzyć, żeby dotrzeć tam furmanką? Jak uciążliwa i długotrwała musiała być wywózka stamtąd snopów zboża, worków ziemniaków, kuczek seradeli i gryki? Jak kłopotliwe i czasochłonne było nawożenie tego pola?

„Poletka” składały się z kilkudziesięciu dłuższych i krótszych działek. Przedzielały je polne dróżki, biały gościniec, drogi dojazdowe, zakrzaczone doliny, łąki i bagna, różnego rodzaju polodowcowe zastoiny. Ciągnęły się one w każdym przypadku od wsi Terebela i doliny Klukówki aż do odległego horyzontu, sięgając niemalże Cicibora Dużego i Rakowisk; dawnej wioski, która rozrosła się w międzyczasie do wielkości kilkutysięcznego podmiejskiego osiedla.

Stąd blisko do lasu „Bagonica”, w którym hitlerowcy dokonywali masowych rozstrzeliwań, będącego skromną resztówką średniowiecznej puszczy podlaskiej. Na północ i wschód od „Bagonicy” rozciągała się rozległa dolina, określana mianem „Bagno”, spełniająca rolę pastwiska. W okresie roztopów i intensywnych deszczów, łąka mocno nasiąkała wodą, ponieważ jest to torfowisko, a nogi bydła i koni zapadały głęboko, kalecząc darń. Od czasów feudalnych „Bagno”, podobnie jak „Kruhowina”, stanowiło wspólnotę pastwiskową. Z uwagi na dziedziczenie, zezwalało również nam na korzystanie z niego.

Jak inni gospodarze, również my mieliśmy tutaj swoją „kopalnię” torfu. Znajdowała się na bardziej suchej części „Bagna”. Torfowisko było też podzielone na wąskie paski, przypadające poszczególnym rolnikom, aby każdy z nich miał do niego dostęp. Kopaliśmy torf, by było czym palić w piecu.

Wspólnotowa trzoda bydła, licząca czasem 80 i więcej krów oraz cielaków, znajdowała się pod opieką pastucha, którego gospodarze wynagradzali zbożem i ziemniakami. Pastuchowi, gdyż nie poradziłby inaczej z wielkim stadem, przysługiwała pomoc dyżurnych potrzódkowych, wyznaczanych - po jednym od krowy - na kilka dni naprzód. Bywałem i ja potrzódkowym. Na cały długi dzień zabierałem do lnia-nej torby dwa albo trzy ugotowane na twardo kurze jajka, czasem -gdy była - kawałek słoniny, a najczęściej jedynie kawał postnego chleba i do tego kankę wody lub kompotu, aby nie zaznać głodu i pragnienia.

Krowy, które uważam po koniach za najważniejsze ze zwierząt w gospodarstwach, potrafią być nieposłuszne i złośliwe. Musiałem solidnie uganiać się z nimi. Nawet pies, jaki służył pastuchowi, nie był w stanie poradzić sobie z nimi.

Najpierw Antek, później ja, a potem również Janek, gdy podrósł, pędziliśmy naszą „czerwoną” i „łaciątą” na wspólnotowe pastwiska. Krowy należało wypędzać z domu wczesnym rankiem, a zabierać z pastwiska zaraz po zachodzie słońca, bądź nawet już podczas zmierzchu. W trakcie wakacji, jak też w niedziele i święta, pozwalaliśmy sobie na większy luz.

Natomiast w okresie trwania nauki szkolnej trzeba było jak najwcześniej wyjść z krowami, aby po ich zapędzeniu do stada wrócić do domu, zjeść cokolwiek - albo i nie - by zdążyć na lekcje do szkoły w Witulinie. Przeliczając na kilometry, wypada, iż droga na pastwisko przekraczała 3 km, tyle samo z powrotem, a z Jagodnicy do szkoły w Witulinie było jeszcze dodatkowo 2 km. Nie dało się więc drałować „lelum po lelum”, wracać trzeba było biegiem.

Byłem zaprawiony w bieganiu, że aż zrodziła się we mnie myśl, czy by nie próbować uprawiać długodystansowe bieganie sportowe, ale zamiast tego chętnie grałem później piłkę nożną i siatkówkę. Skłonność do szybkiego chodzenia pozostała mi dotąd we krwi. Żona ciągle narzekała, iż nie jest w stanie nadążyć za mną.



Przez długie lata pastuchem w Terebeli był Aleksander Sidorczuk z Ludwinowa. Człowiek zacny i rzetelny, który traktował nas z wyrozumiałością, gdy przyszło nam pełnić funkcję pomocników podczas pasionki krów. Wiedząc, iż jesteśmy pozbawieni ojca i kłopotujemy się z biedą, oszczędzał nas, jak mógł, zezwalając nawet na sen podczas południowego wypoczynku stada krów.

Ilekcio jestem na leśniańskim cmentarzu, chcąc odwiedzić mogiły krewnych, których ciągle tam przybywa, spoglądam też na grób Sidorczuka. Patrząc na jego - widoczną na fotografii - pogodną twarz, opatrzoną wąsami, przypominam sobie odległe lata i jego pogodne usposobienie. Mogiła Sidorczuka przylega do muru, leżąc zaraz za cmentarną bramą, skąd tylko kilka kroków do pomnika moich rodziców.

### *Pożegnanie z ojcowizną*

Kopanie torfu stanowiło swego rodzaju rytuał. Odbywało się wiosną, gdy woda była już w miarę ciepła, gdyż nie dałoby się inaczej taplać się w niej. A dzień był już na tyle długi, że pozwalał „wyrobić” zamierzoną odkrywkę. Pozostawienie jej na noc z częścią urobku, dwóch czy choćby trzech sztychów, zagrażało zalaniem wodą całego wyrobiska. Należało więc tego samego dnia dokopać się aż do dna.

Uważałem to za zajęcie ciekawe, a nawet frapujące. Intrygowało mnie zwłaszcza to, w jaki sposób powstał ów torf? Co ukrywa w sobie wyrobisko? Zdarzało się przecież często, iż tkwiły w nim nadpalone, lecz nie przegniłe do końca grube pnie drzew, głównie sosen, chociaż nie tylko, które były na tyle smolne, że po wysuszeniu służyły jeszcze za łuczywo i podpałkę. Odnajdywałem szyszki, zgniłe resztki jakichś drzew i krzewów, karpinę, także skruszałe muszle i dziwne szczypany oraz tęgoskóre, żywe stworzenia przypominające stawonogi.

Na spodzie leżał przeważnie bieluški piasek, lekki i drobniutki, jakiego gdzie indziej się nie spotyka. To wszystko rozpałało moją wyobraźnię. Ile lat - zastanawiałem się - musiało upłynąć, zanim roślinność przemieniła się w torf i jaką ona była? Jak wyglądała? Jeżeli rosły tam drzewa, to zapewne wpierw było sucho, stąd zresztą ów piasek, a

dopiero potem jakiś kataklizm spowodował, że las został zalany wodą. Potop? Lodowiec? Czy może co innego?

Jeżeli lodowiec był sprawcą zalania tego terenu, to dlaczego nie spotyka się tam kamieni, które często występują na polach? Ogień, to pewne, wywołały pioruny, gdy jeszcze rósł tam las. Skąd jednak żywe szczypawy, których gdzie indziej brakowało? Dziesiątki pytań, na które sam nie byłem w stanie odpowiedzieć.

Kiedyś złapałem szczypawę i wtłoczyłem ją do butelki, którą zalałem bimbrem, aby znaleźć owe przedstawić nauczycielowi. Zawiodłem się na nim srodze, ponieważ w ogóle nie zainteresował się moim odkryciem. Z czasem bimber wywietrzył, a butelka się rozbiła...

Lubiłem pracować przy kopaniu torfu, jakkolwiek robota to ciężka i uciążliwa. Zajmowali się nią w tym samym czasie także nasi sąsiedzi. W jednym miejscu spotykało się więc dużo ludzi i było raźnie. Można było rozmawiać ze sobą i dowiedzieć się o wielu ciekawych sprawach.

Za żelaznym sztychem, przypominającym łopatę, stawał Antek. Ja łapałem wyrzucane przez niego w powietrze mokre „cegiełki” torfu, a mama - potem również Janek - odbierała je ode mnie i układała w kozły, aby torf mógł wyschnąć ogrzewany słońcem i chłostany wiatrem. Ponadto lubiłem być z mamą.

Dochodziło nieraz do żartobliwych scen. Nikt z nas, ani my, ani sąsiedzi, nie miał zegarka. Orientowaliśmy się wedle żołądków i słońca, kiedy pora przystąpić do posiłku. Jeśli w powietrzu była cisza, albo gdy wiatr wiał od wschodu, docierał do nas wyraźnie południowy sygnał fabryki sztyftów i kopyt Raabego w Białej Podlaskiej. Czasem jednak ów sygnał było trudno usłyszeć.

- Szczepanie, czy u was już huczało? - dopytuje sąsiad sąsiada, mając na uwadze dźwięk syreny.

- U nas jeszcze nie huczało, bo też nie było po czym - odpowiadał tamten żartobliwie, myśląc zupełnie o czymś innym. - Myśmy jeszcze nie zdążyli obiadować, nam zahuczy potem...

Zmaganie z odległą ziemią, jak wspomniałem, trwało aż do komasacji gruntów. W jej wyniku brat Antoni otrzymał w zamian za pozostawioną w Terebeli ojcowiznę, gdy tamte grunty przeszły w inne ręce, ekwiwalentną ziemię w Jagodnicy. Było jej co prawda mniej, biorąc pod uwagę obszar, jednak odznaczała się ona lepszą bonitacją

gleby. A do tego znajdowała się w jednym kawałku. Stała się więc bliższa, bardziej urodzajna i dużo łatwiejsza w uprawie. Lecz rozstanie z ojcowizną nie było łatwe.

Gdy przyszło zebrać z terebelskiego pola ostatni plon i pożegnać się z polem wykopując ostatnie redliny ziemniaków, Antek zaprosił żonę Halinę i mnie, abyśmy wzięli udział w tej ceremonii. Upiekliśmy w popiele kartofle, była sól i było masło, coś „na ząb” i oczywiście, jakby inaczej, tradycyjna ćwiartka, jaką przywieźliśmy z Warszawy.

Powspominaliśmy z westchnieniem żmudne kontakty z ziemią, ale też weselsze chwile. Spadające z fury snopy zboża, wywrotki, gdy trzęsło niemiłosiernie wozem na wertepach. Późne powroty do domu, przygodę ojca z bolszewickimi jeńcami, która zakończyła się jego śmiercią. Jak również posiłki spożywane pod rosnącą na miedzy rozłożystą dziką gruszą. Antek resztką alkoholu polał glebę opuszczaną na zawsze. W którą wcześniej wleliśmy wiele swego potu.

Kiedy poczciwy „Siwek”, wygięty od wysiłku w kabłąk, wyciągnął z trudem wóz zapełniony workami ziemniaków na bialsko - łosicki gościniec, Antek spojrzął jeszcze raz na opuszczone poletko, rękawem marynarki przetarł ukradkiem twarz, którą popłynęły łzy. Zakręciły się one również w moim oku, gdyż i dla mnie nie była to chwila obojętna. Koń człapał powolutku, nieświadom, iż także on nie będzie musiał tutaj przyciągać wóz, a myśmy dłuższą chwilę pozostawali w całkowitym milczeniu.

### *Skąd nasz ród?*

Moi przodkowie byli więc Unitami z obu stron. Także Zofia i Andrzej, rodzice mamy, a moi dziadkowie, jak też unitami byli pradiadkowie. Jedni i drudzy, Maziejukowie i Ceniukowie nawracali się na katolicyzm w 1905 roku, gdy pojawiła się po temu możliwość. Pradiadkowie z rodu Ceniuków spoczęli na unickim cmentarzu w Sworach. We wsi znajdowała się unicka cerkiew, potem rozebrana, obok której był unicki cmentarz. Na współczesnym cmentarzu w Sworach nazwisko Ceniuk pojawia się często.

Paweł Ceniuk, rodzony brat dziadka Andrzeja, ożeniony z Anną



U góry: Rodzina Werbińskich ze Swór. Stoją od lewej: Regina z domu Maziejuk, jej mąż Bronisław i jego rodzice, a moi wujostwo, Bronisława i Władysław.



Na zdjęciu po środku: Z wizytą u Stasi Bieleckiej w Worgulach. Od lewej: Stasia, Alina, żona brata Jana, ja i wnuczek Aliny Pawełek Maziejuk oraz Sylwia Piwniczuk, córka Marianny i Bronisława Piwniczuków z Jagodnicy.



Aliny Pawełek Maziejuk oraz Sylwia Piwniczuk, córka Marianny i Bronisława Piwniczuków z Jagodnicy. U dołu: Stanisława Bielecka, córka Werbińskich ze Swór.

z domu Michalak, pochodzącą z pobliskiej wioski Koszeliki, też nawrócił się z całą rodziną, zaś po śmierci spoczął na miejscowym cmentarzu, który wtedy był już katolicki.

Wiedzę o tej części rodziny zawdzięczam Stanisławie Bieleckiej, bliskiej krewnej, która zamieszkała w Worgulach, osiadając na gospodarce męża. Jej mąż Stanisław Bielecki zmarł przedwcześnie. Stasia pochodzi ze Swór. Jej mama Bronisława Werbińska, moja ciotka była z rodu Ceniuków, a ojciec Władysław Werbiński, mój wujek, przywędrował na Podlasie aż spod Konina. Pisał wiersze, wznosił toasty mową wierszowaną, dowcipne, był radosny i pogodny. Oboje zmarli w podeszłym wieku i pogrzebani zostali w Sworach. Ciotkę i wujka wspominam bardzo ciepło, serdecznie i z dużym uznaniem.

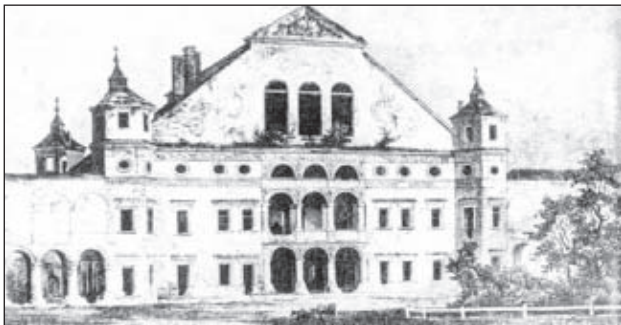
Zastanawiałem się wielokroć, skąd wzięła się ludność na tych terenach? Byli to Rusini, a może tubylcy? Przywędrowali na tę część Podlasia, żeby uniknąć prawosławia, czy może by związać się lepiej z Rzeczypospolitą? W tej sprawie brakuje jednoznacznej odpowiedzi. Dużo przemawia za tym, iż dalecy ich przodkowie byli z pochodzenia Rusinami.

Na tereny Południowego Podlasia napływała ludność z sąsiedniego Polesia, leżącego po prawej stronie Bugu. Lecz nie tylko ona, bo także ludność z Wołynia i Ukrainy, która osiedlała się chętnie wzdłuż brzegów tej rzeki. Od zachodu napierała ludność Mazowska, od południa „naciskała” natomiast osadnicza ludność Lubelszczyzny, zaś od północy wdzierali się na te tereny Litwini i Jaćwingowie, a nawet Krzyżacy.

Obcy napływali głównie po to, by poszerzyć swe wpływy i zdobyć źródła utrzymania. Ale także po to, żeby łupić tych, którzy już się tutaj osiedlili i czegoś dorobili. Bardzo długo, bo jeszcze w wiekach średnich, rosły tutaj przepastne bory. Były liczne bagna i moczary. Przyciągało więc łowiectwo i zbieractwo zasobów leśnych, jak też rybołówstwo. Najczęściej chodziło jednak o zdobycie gruntów ornych. Napór przybyszów przybierał nierzadko formę napadów i podjazdów. Tak czy inaczej w konsekwencji owych ruchów ludność mieszała się ze sobą.

Były też, by tak określić, ucywilizowane sposoby zaludniania pustych terenów. Proces taki nasilił się szczególnie w wiekach XVI i

XVII. W tym na zasadzie sprowadzania i osadzania przez możnowładców ludności pochodzącej z zewnątrz. Magnaci, mający na Podlasiu wielkie posiadłości, majątki i fortuny, rozległe tereny, potrzebowali do roboty wielu ludzi. W okrasie feudalizmu, zgodnie z prawem i obyczajem, traktowali mieszkańców wsi jako poddanych sobie. Bez ich zgody - czy też za ich aprobatą - przesiedlali ludność rusińską z Polesia na Podlasie. Nierzadko nadawali oni również tym ludziom nazwiska, wywodzące się zwykle od imion ojców albo przezwisk, nadając typowe dla Podlasia końcówki „uk”.



Potężny ród Radziwiłłów odcisnął trwałe ślady na Rzeczypospolitej Obojga Narodów, jak też na Podlasiu, które było w części ich własnością. Dla obrony swoich interesów i wygody wzniesli zamki, pałace i magnackie rezydencje oraz kościoły. U góry: Fragment rezydencji w Nieświeżu na Białorusi, będącym stolicą Radziwiłłów. Niżej: Potężna warownia w Mirze (też obecnie Białoruś). U dołu: Nieistniejący już zamek książąt Radziwiłłów w Białej.



Szczególną rolę, jak się wydaje, odegrali w kolonizacji Podlasia książęta Radziwiłłowie i Sapiehowie. Posiadali na tych terenach ogromne przestrzenie pól i lasów, które wymagały do zagospodarowania bardzo wiele rąk. Stąd przecież niedaleko do głównej siedziby rodowej Radziwiłłów znajdującej się w Nieświeżu, jak i potężnej warowni w Mirze. Sapiehowie zlokalizowali w nadbużańskim Kodniu jedną z podstawowych swych siedzib rodowych.

Książęta Radziwiłłowie stali się w roku 1558 właścicielami miasteczka Biała, zwanego także Białą Książęcą lub Radziwiłłowską, które wchodziło w skład utworzonej przez Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła wielkiej ordynacji. Nad Krzną zbudowali okazałe zamczysko, zaś w Roskoszy nad Klukówką piękną, usytuowaną w bogatym parku, letnią rezydencję, w której przyjmowali, gości i myśliwych z całej Europy. Przez ponad dwa wieki potężny ród dziedziczył tę część Podlasia.

Zamek bialski imponował przepychem. Radziwiłłowie założyli w miasteczku w 1628 roku filię słynnej Akademii Krakowskiej, zwaną Akademią Podlaską, która przyczyniła się walnie do jego rozwoju i przysporzyła mu wiele sławy i chwały. Obok zamku wzniesli wspaniałą kościół pod wezwaniem św. Anny. Na życzenie księżnej Katarzyny Radziwiłłowej, osoby nabożnej i miłującej prostych ludzi, sprowadzeni zostali do Białej ojcowie bazylianie, którym nakazała objeżdżać „lud unicki bliski i daleki”.

Zadaniem bazylikańskich zakonników było nauczyć lud świętej wiary i ją umacniać. Będąc żywym ośrodkiem unitów na Podlasiu, zakon bazylikański odegrał wielką rolę w krzewieniu i kształtowaniu ducha Unii. Zapewne także moi przodkowie korzystali z ich posługi.

Unicka parafia w Białej powstała już w 1596 roku, a więc zaraz po zawiązaniu Unii w pobliskim Brześciu Litewskim. Przedtem była to parafia prawosławna. Unia ogarnęła w krótkim czasie całe Podlasie Południowe. Sprzyjało temu również to, że ówczesny właściciel dóbr bialskich książę Mikołaj Krzysztof Radziwiłł wystąpił na Synodzie Zjednoczeniowym w Brześciu, przesądzającym o powstaniu Unii, w roli posła królewskiego. Dał się poznać jako szczery katolik, życzliwy unitom.

Parafia unicka w Białej obejmowała swoim zasięgiem także pobliskie wioski. Liczyła ponad 1050 dusz. Była to w ponad połowie lud-

ność rusińska. Pozostałą część wiernych stanowiła ludność polska.

Terebela też miała swoją cerkiew i parafię. Patronką cerkwi była św. Prakseda. Natomiast w głównym ołtarzu widniał - namalowany na płótnie - duży obraz Najświętszej Panny Żyrowickiej, słynącej szeroko z łask, której Radziwiłłowie adorowali od dawna. Sugerowałyby to, a nawet potwierdzało, że Radziwiłłowie nie tylko wspierali unitów, lecz także angażowali się czynnie w sprowadzanie Rusinów z Polesia na Podlasie.

Zapewne moi przodkowie, zarówno z linii ojca, jak i matki, kiedyś byli także Rusinami, którzy - jak inni - po wielu latach spolszczyli się na Podlasiu. Pamiętam z dzieciństwa, że starzy mieszkańcy Jagodnicy, podobnie jak innych wiosek, chętnie posługiwali się mową chachłacką, chociaż najczęściej polską, w której występowało bardzo wiele zwrotów, słów i określeń rusińskich. Zachowały się tutaj także poleskie sposoby łowienia ryb, przy użyciu tak zwanej kłomli, zwyczaj układania na palach, tam gdzie łąki były bagienne, stogów z sianem. Podobnie rzecz można o zaprzęgnięciu koni w tak zwaną dugę, nie mówiąc o strojach, zwłaszcza kobiecych. Jak poleska, tak również ludność podlaska ubierała się zimą nagminnie w kozuchy, baranice, baranie serdaczki i tak zwane „szuby”.

Nazwisko, jakie noszę, związane jest ściśle z okolicami Białej Podlaskiej. Szczególnie z Terebelą. Nadal występuje ono także na Polesiu. Tam, być może przed wiekami znajdowało się gdzieś gniazdo rodowe Maziejuków. Na to stosunkowo rzadkie nazwisko natknąłem się m.in. w spisie bialskich unitów. Maziejuk o imieniu Piotr działał w utworzonym w 1904 r. w Białej Towarzystwie Opieki nad Unitami.

### *Ciągle jesteśmy*

Masowemu przemieszczaniu się ludności sprzyjały lata powojenne. Co by nie powiedzieć złego o PRL, pozostaje faktem, że w tym okresie zwiększyła się zdecydowanie ruchliwość ubogiej ludności. Zwłaszcza w wyniku wielkiego awansu społecznego młodzieży chłopskiej.

Można to prześledzić także na przykładzie mojej rodziny i mojej wsi. Z tej małej wsi wyemigrowało „w Polskę” bardzo wiele młodzieży;

praktycznie po jednej i kilka osób z każdej chałupy. Ja także uczyniłem to, podobnie jak mój brat Jan, który - po zaliczeniu kilku przejściowych etapów - osiadł w Słupsku. Z żoną Aliną i dwoma synami, Bogdanem i



*Jan, mój brat, pierwszy wniósł nazwisko rodowe Maziejuków do spisu ludności na Pomorzu Środkowym. Ożeniony tam z Aliną Dąbrowską, rodowitą warszawianką, dochował się dwóch synów, Bogdana i Roberta. Ten drugi, który za żonę wybrał Agnieszkę z domu Pieronkiewicz, ma trzech synów, jacy zadbają w przyszłości, by tamtejsze „gniazdo rodowe” Maziejuków nie zaginęło. Na zdjęciu: Paweł, najstarszy z grona chłopców, a dalej - Norbert i Hubert (najmłodszy).*

Robertem. Ten drugi, dochował się z żoną Agnieszką, z domu Pieronkiewicz, trzech synów, Pawła, Norberta i Huberta, Pozakładają oni w przyszłości swoje rodziny i zapewne mieć będą dzieci, w tym synów. Mnie bardzo to cieszy. Bo właśnie na Pomorzu Środkowym, gdzie uprzednio nasze nazwisko w ogóle nie występowało, powstało rodowe „gniazdo” Maziejuków.

Natomiast w Jagodnicy, co mnie smuci, nazwisko to przechodzi w zapomnienie. Po śmierci brata Antoniego, zmarłego w 1993 roku, nosiła je po nim wdowa Franciszka, zanim nie umarła w marcu 2005 roku. Była z domu Dmित्रuk, pochodziła z podbiałskiej wsi Sławacinek. Franciszka i Antoni mieli dwie córki i jednego syna - Mariannę, Urszulę i Zbigniewa.

Zbigniew, najstarszy z tego grona, po skończeniu studiów wyższych w Siedlcach zamieszkał w Białej Podlaskiej, zostając nauczycielem. Powiększył tym samym białską grupę osób o tym nazwisku. Ożenił się z Haliną Buczyłło z Dobrynki. Halina i Zbigniew mają córkę Liliannę, która skończyła wyższe studia na Uniwersytecie Łódzkim i też została nauczycielką. Nazwisko

rodowe będzie nosić tak długo, dopóki nie wyjdzie za mąż.

Marianna przybrała po mężu nazwisko Piwniczuk. Bronisław Piwniczuk pochodzi ze wsi Motwica. Druga córka, Urszula, wyszła za mąż za Franciszka Dudka, mieszkańca Jagodnicy, którego rodzice sprowadzili się tutaj w latach 50. ubiegłego wieku, aby nabyć gospodarkę należącą uprzednio do Stanisława Tąkla. Pochodzą spod Ryk. Nazwisko mego brata, Antoniego, nie ma więc w tej wiosce kontynuatora w następnym pokoleniu.



*Stąd,  
z rodzinne-  
go po-  
dwórka w  
Jagodnicy i  
z tej starej  
szkółki w  
Witulinie  
wyruszy-  
łem przed  
laty - jak  
inne dzieci  
ze wsi  
- w daleki  
świat.*



Podobnie jest ze mną. Z żoną Haliną - z domu Mierczyńską - wychowałem córkę Elżbietę, która urodziła się w 1966 roku w Olsztynie, gdyśmy wówczas tam mieszkali. Po wyjściu za mąż za Ireneusza Łuszczewskiego, rodem z Lublina, przybrała nazwisko dwuczłonowe, stając się Maziejuk - Łuszczewską. Pozwala to także w nowym układzie zachować dłużej nazwisko rodowe ojca.

Łuszczewscy dochowali się dwojga dzieci, starszego Mikołaja i młodszą o trzy lata Irenę. Wspaniałe, cudowne dzieciaki, zdrowe i mądre, zdolne i grzeczne, które - żony i moim - są naszymi kochanymi wnucętami. Nawet nie przypuszczałem, mówiąc prawdę, że na stare lata staną się one dla nas prawdziwą miłością i radością. Tym większą, że - jak też w przypadku Aliny i Jana - wychowaliśmy



*Zofia Maziejuk, żona Zygmunta, ze swoją wnuczką (u góry) na podwórku rodzinnej zagrody teścia, a mego ojca chrzestnego, wujka Stanisława Maziejuka i cioci Janiny z Terebeli. W głębi widać dwuizbową starą drewnianą chałupę, w której przyszło na świat i wychowało się szczęśliwie siedmioro ich dzieci. Jeden z tej gromadki - Tadeusz Maziejuk, nauczyciel, uprawiał w młodości (obok na rowerze) sport.*



się jako sieroty, dotkliwie odczuwając niedostatek ciepła rodzinnego. Tak jakby te nasze wnuczęta - którym otwieramy szeroko swe serca - rekompensowały nam to, co sami utraciliśmy w przeszłości.

Terebela kontynuuje tradycję tego nazwiska. Jest tam kilka rodzin



o tym nazwisku; chociaż nie tak wiele, jak kiedyś. Synowie Janiny i Stanisława Maziejuków, mego wujostwa, zasilili odczuwalnie „kolonię” Maziejuków w Białej Podlaskiej. Rodzina ta, składając się z siedmiorga dzieci, pięciu synów i dwu siostr, zaliczała się do największych w Terebeli.

Urodzony w 1934 roku Czesław, najstarszy, został księdzem. Jego młodszy brat Tadeusz wykształcił się na nauczyciela, ucząc i dyrekturując w szkołach powiatu bialskiego, najdłużej w Łomazach i Dokudowie. Tadeusz stał się także aktywnym, zawsze bogatym w udane inicjatywy działaczem społecznym i sportowym; sam w młodości uprawiał z powodzeniem siatkówkę i kolarstwo. Józef i Roman zdobywszy zawody techniczne, zamieszkali w Białej Podlaskiej. Pożenili się i w swoich rodzinach, mają sukcesorów rodowego nazwiska.

Na ojcowiznie pozostał Zygmunt Maziejuk, człowiek niezwyklej pracowitości i rzetelności, który ponad siły dźwigał i rozwijał odziedziczoną po rodzicach gospodarkę. Ożeniony z Zofią, pochodzącą ze wsi Sulinki dochował się córki Bogumiły i syna Arkadiusza. Po upływie lat przekazali gospodarkę synowi Arkadiuszowi, którą prowadzi on z żoną Anną. Mają czworo swoich dzieci.

Siostra Zygmunta, Teresa, też zamieszkała w Białej Podlaskiej i założyła tam rodzinę. Druga siostra, Regina, wywędrowała do wielokrotnie wspomnianych Swór, zostając żoną Bronisława Werbińskiego, mego bliskiego krewniaka. Słowem, duża, solidna i solidarna rodzina, która potrafi opierać się skutecznie niemiłym wichrom.

Wracając zaś do blisko spokrewnionej ze mną rodziny Mariany i Władysława Maziejuków z Terebeli, o której też już wspominałem, godzi się zaznaczyć, że ona także podtrzymuje tradycje. Ich syn Waldemar, najstarszy w rodzinie, bo starsza od niego siostra Alicja zmarła mając 15 lat, opuścił wcześniej rodziną Terebelę. Nazwisko przejął oczywiście po ojcu Władysławie, moim szwagrze, który z kolei sprowadził się do tej wsi z Burwina, gdzie też znajdowało się liczne „gniazdo” Maziejuków. Zbieżność nazwisk, męża i żony, wcale nie przeszkadzało zawrzeć związku małżeńskiego, gdyż nie były to osoby spokrewnione ze sobą.

Danuta, której mąż Janusz zmarł przedwcześnie, po dłuższym zamieszkiwaniu w Białej Podlaskiej, wróciła do Terebeli, przejmując ro-



dzinną chałupę. Prowadzi tutaj sklep. Jej młodszy brat Czesław - także w tej wiosce - zajął się ogrodnictwem.

Waldemar skończył studia wyższe na krakowskiej Akademii Rolniczej, aby następnie osiąść w Bieszczadach. Był długo dyrektorem dużego kombinatu rolnego PGR, w pierwszym rządzie hodowlanego, zaś po zmianie ustroju - stał się dzierżawcą i właścicielem dużej jego części.

Zajął się najpierw hodowlą owiec, a później, kiedy ten dział gospodarki przestał popłacać, nastawił się na chów kóz. Trzyma ich wraz z synem ponad 600. Z koziego mleka wyrabia firmowe sery w kilku gatunkach oraz inne produkty regionalne. Zakorzeniwszy się w Bieszczadach, Waldemar właśnie tam założył nowe gniazdo Maziejuków, którzy przedtem na Podkarpaciu w ogóle nie byli znani.

Nasze nazwisko rodowe jest poza powiatem białkopodlaskim rzadkie. Podróżując wiele po kraju, jako dziennikarz i reportażysta, poznałem kiedyś we Wrocławiu osobę o imieniu i nazwisku samym, co ja. Jednakże nie byliśmy ze sobą spokrewnieni, chociaż ten ktoś swoimi korzeniami także sięgał Podlasia.

Gdy po jego śmierci ukazały się w prasie regionalnej nekrologii, tamtejsi znajomi nie mogli pojąć, jakim sposobem miałbym zamieszkać w stolicy Dolnego Śląska, skoro dobrze wiedzieli, że jestem warszawiakiem.

Bo z nazwiskami, jak wiadomo, często bywa wiele nieporozumień. Nie brakuje „znawców”, którzy po ich brzmieniu gotowi są przesądzać, kto kim jest i skąd pochodzi. A nawet, co dziwne, jakiej jest narodowości. Jakby przecież ludność na wschodzie nie wymieszała się wcześniej, nie mówiąc i o tym, że stara jest praktyka zmieniania nazwisk. Sam zresztą - jak to w dziennikarstwie - używałem, jako autor, aż kilku różnych pseudonimów. Inna sprawa, iż były one przeważnie związane z Podlasiem, jak Jagodnicki, Wituliński i Podlaski, albo takie jak Sitarz, Leśny i Domanowski czy nawet - rodzaju żeńskiego - Elżbieta Melisa.

Nie brakuje też takich, którzy twierdzą, że nazwiska kończące się na „uk”, jak właśnie moje, oznaczają w istocie jedynie ukraińskie pochodzenie. Może to być prawda, owszem, ale wcale nie musi, bowiem nazwiska takie spotyka się często nie tylko na Ukrainie, także na Bia-

łorusi i w Rosji. Przede wszystkim jednak są one typowe dla Podlasia; jak też tych, którzy wyemigrowali stąd i zamieszkali gdzie indziej.

Nazwiska te spotyka się często również na terenach dawnych Grodów Czerwieńskich, szczególnie na Chełmszczyźnie. W pierwszym rzędzie zaświadczą o regionalnym pochodzeniu przodków, zwłaszcza pochodzących z ludu, którzy - jeżeli nawet byli kiedyś Rusinami - czują się od wieków Polakami. A na Podlasiu - dodatkowo - bardziej niż w innych regionach kraju ludność etnicznie mieszała się ze sobą.

Chociaż nazwiska kończące się na „uk” bezwzględnie wiążą się ze wschodem, to jednak obecnie, w wyniku dużej migracji ludności, występują w gruncie rzeczy w całej Polsce. Jakkolwiek, to prawda, ciągle najczęściej na Podlasiu.

Poszukując pracy, trafiłem po studiach do Olsztyna. Tutaj dopiero spotkałem się z wielką i autentyczną mieszkanką ludnościową. Były to często osoby niepospolite, ogromnie barwne i wyraziste. Zdumiała mnie wręcz życzliwość osób mających nazwiska kończące się na „uk”, które - jak rychło się wyjaśniło - nierzadko okazywali się rzeczywiście Ukraińcami, jacy trafili na Warmię i Mazury głównie w wyniku przesiedleń przeprowadzonych w ramach akcji „W”, jak też - w węższym zakresie - repatriacji z terenów dawnych Kresów. Zapewne, jedni i drudzy, brali mnie za swego ziomka bądź rodaka.

Jeden z bliskich kolegów zaprosił mnie kiedyś na wieczornicę ukraińską. Poszedłem. Niebawem opuściłem ją mocno zdegustowany, ponieważ bardzo uraziły mnie, czego nie omieszkalem powiedzieć, antypolskie akcenty w recytacjach i śpiewach. Pomimo to ów kolega zaproponował, żebym podpisał deklarację o przystąpieniu do Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. Odmówiłem stanowczo. Podkreśliłem z naciskiem, iż powinien wiedzieć, że jestem Polakiem, a ponadto mam poczucie dumy narodowej.

- Co wygadujesz, jesteś jednym z nas i nie musisz tego ukrywać - naciskał nieustępliwie. Powiedziałem wówczas:

- Sam wiem najlepiej, kim jestem!

- Nie bądź frajerem, czas przyznać się do swego pochodzenia i z nami będzie ci lepiej - nalegał, co mnie bardzo zirytowało, a nasze drogi wkrótce rozeszły się na zawsze.

## *Hen, nad Wołgę*

Mama odbyła najdłuższą podróż swego życia mając 6 lat. Była to podróż wymuszona carską polityką. Zgodnie bowiem ze strategią „spalonej ziemi”, na czas działań wojennych pierwszej wojny światowej służba folwarczna zmuszona była przesiedlać się w głąb Rosji. Po to, żeby nacierającym wojskom Niemiec pozostawić opróżnione magazyny, opustoszałe obory i chlewnie, puste stodoły oraz nieuprawione pola.

Przymusowa emigracja objęła również pracowników folwarku w Jagodnicy, Sposobem jej przeprowadzenia przypominała wcześniejsze wywózki Polaków na Sybir. Tak uczestników przegranych powstań Listopadowego i Styczniowego, mających na Podlasiu szeroki zakres i duże poparcie, jak też deportacje w głąb cesarstwa bohaterskich unitów podlaskich, którzy mieli odwagę sprzeciwić się przymusowej rusyfikacji i naciskom prawosławia.

Los ten spotkał także ojców paulinów z klasztoru w Leśnej, słynącego z obecności cudownego obrazu Kamiennej Madonny z Dzieciątkiem. Zostali ukarani za wspieranie unitów i krzepienie polskości.

Praktyka przymusowych wywozek w głąb Rosji była więc na Podlasiu dobrze znana. Stamtąd, z głębi cesarstwa, powracali też - już postarzali i często kontuzjowani - mężczyźni zwolni z carskiej służby wojskowej. Wraz z nimi napływały straszne wieści o krwawej wojnie z Japonią, wieści znad Amuru i spod Władywostoku, w której - jako poddani carowi podlascy rekruci - brali oni udział.

Przymusowi emigranci spotykali się na stacji kolejowej w Białej. Ładowano ich, jak też skromny dobytek, do wagonów. Po kilka rodzin do każdego towarowego wagonu. A że ewakuacja obejmowała wiele dworów, tworzone długie składy pociągów odchodzących stąd co kilka dni w stronę Brześcia - i dalej na wschód. Upatrując w Bogu opiekę i ufność, wyjeżdżali nieświadomi dokąd zaprowadzi ich ta droga.

Poprzez Mińsk, Smoleńsk i Orszę pociągi docierały do Moskwy, aby tutaj przybrać kierunek południowy i toczyć się dalej z nieustannym łoskotem. Dni i noce były takie same, spędzone w podróży. Aż pojawił się Carycyn, znany później jako Stalingrad, a następnie pociąg zatrzymał się na dobre w mieście Astrachań. Na terenie rozległej na ponad

80 km delty potężnej rzeki Wołga, która swe obfite wody włącza tędy do Morza Kaspijskiego. Przyszło więc Ceniukom, jak innym rodzinom, przetrwać wojnę tysiące kilometrów od rodzinnego Podlasia. Wśród zupełnie obcych sobie ludzi.

- Na nasze szczęście - opowiadała mama, gdy ją wypytywałem o to, zafascynowany daleką wyprawą - trafiliśmy na tereny wyjątkowo bogate w ryby. Tutejsi ludzie nie byli dla nas ani źli, ani dobrzy. Starsi znali język rosyjski, toteż dogadywali się z nimi bez trudu. Czasem współczuli nam, rozumiejąc naszą sytuację, nawet udzielali pomocy i służyli dobrą radą.

Sami też żyli przeważnie ubogo. Wyłączając bogaczy, którym i wtedy niczego nie brakowało. Im ludzie byli biedniejsi, tym bardziej uczynni. Nauczyli Polaków łowić ryby i wyciskać z jesiotrów ikrę, suszyć i solić na zimę rybie mięso. Nauczyli, jak w tamtejszych warunkach należy uprawiać ziemniaki, bakłażany, dynie i arbuzy. Lecz i tak, chociaż nie ginęli z głodu, naszym brakowało najbardziej zwyczajnego chleba, razowca, którego zapach drażnił nozdrza...

- Najgorzej - mówiła mama - było podczas rewolucji, kiedy brakowało wszystkiego i bardzo trudno było opędzać się przed głodem. Panował rozgardiasz. Ludzie ginęli jak muchy, od kul, chorób i głodu. Myśmy ich nie odróżniali, a oni bili się ze sobą bez pardonu, bolszewicy i mieńszewicy. Czerwoni z białymi, biali z czerwonymi. Nas, bośmy dla nich byli obcy, nie ruszali. Strzelali tylko do siebie. Palili, rabowali i zarzynali się bez litości...

Babcia Zofia i dziadek Andrzej, razem z Paulina, Aleksandrem i Bronisławą, gnieździli się kątem u astrachańskiego kupca, który był Żydem. Wojna rozgrywała się daleko stąd, ale i tutaj docierały jej echa. Przybywało kalek, młodych wdów, pogłębiała się bieda i anarchia.

- Im dłużej trwał nasz pobyt w Astrachaniu, tym bardziej miejscowi ludzie stawali się obojętni na nasz los, obarczani swoimi kłopotami. I byli źli, że my ich objadamy - opowiadała mama.

Mieszkali obok siebie Rosjanie, Azerowie, Ukraińcy, Żydzi, Kaukasy, Gruzini i Kazachowie. Ludzie zróżnicowanego pochodzenia i charakteru. W tym tyglu narodów byli też, Polacy, których imperialna Rosja uznawała za swoich poddanych.

Bardzo lubiłem mamine opowieści. Interesowały mnie one, zaś

mama zyskiwała we mnie wdzięcznego słuchacza. Na takie rozmowy mogła pozwalać sobie jedynie zimą, gdy nie było roboty w polu. Poza tym wtenczas mogła rozmawiać, a jednocześnie prząść len. Zasiadać za krosnami, szydełkować czy szyć, albo drzeć pierze czy też łuskać fasolę. Zajęć aż nadto na każdy dzień i każdą noc.

Mama siadała za kołowrotkiem, a ja przy niej. Przędła len, rzadziej wełnę i konopie. Padało na nas blade światło lampy naftowej, której szkło z każdą godziną matowiało od kopającego knota i dlatego trzeba było je czyścić, co stanowiło mój obowiązek.

Błady cień kądzieli kładł się na przeciwległą ścianę, gdzie były drzwi prowadzące do gościnnego pokoju. Cienka nić nawijała się na szpulę kołowrotka. By zwijała się lepiej i skręcała mocniej, mama śliniła palce rąk. Gdy zaś przerywała opowieść, było słychać już tylko ciche skrzypienie kołowrotka.

To były jedyne chwile, kiedy mogłem wysłuchiwać uważnie tego, co mama zapamiętała ze swego dzieciństwa. Natomiast ja, na jej prośbę, czytałem na głos książki, co ona bardzo lubiła. Wywózka w głąb Rosji rozbudziła w niej ciekawość świata. Nie mając szans aby samemu zaspakajać zainteresowania, zachęcała mnie do czytania.

Przeczytałem w takich okolicznościach - także przecież również, dla siebie - kilkadziesiąt książek. Lektury szkolne, także inne książki, które z myślą o mamie wypożyczałem w bibliotece. Raz czytanie szło mi płynnie, innym razem dukałem i sylabizowałem, męcząc się najwyraźniej, gdy oczy kleiły się do snu. Przerywałem czytanie. A mama mówiła wtedy:

- Poczytaj mi dziecko jeszcze trochę, tak bardzo ciekawi mnie, co tam napisane...

Pomimo, że zmęczone mętnym światłem oczy piekły, czytałem z chęcią, czując się przydatnym. Jakbym odczuwał podświadomie, że za niewiele już, lat, kiedy choroba zapanuje na dobre, już nie będę mógł tego robić.

Mamę interesowały książki historyczne i wojenne, baśnie, książki o ludzkich losach. Na głos przeczytałem „Starą baśń”, „Chatę za wsią”, jak też inne tytuły Ignacego Kraszewskiego, naszego podlaskiego rodaka. Pamiętam, że gdy czytałem „Szośę Wołokołamską” Aleksandra Beka, pisarza radzieckiego, mama wtrąciła:

- Jechaliśmy tamtędy pociągiem do Astrachania. Dużo tam wzgórków. W walce z Niemcami naginęło w tej wojnie mnóstwo ruskich ludzi. Żal mi ich, bo to dobrzy ludzie, ale dlaczego ich naczałstwo tak bardzo gnębiło Polaków?

Podróż powrotna znad Wołgi trwała równie długo. Ledwie pociąg doturlał się do Brześcia, a następnie Białej, przesiedleńcy poczuli się od razu różnie. Wrócili do siebie i swoich sąsiadów. Wokół widniały jednak zgliszczka i spustoszenia.

Zabudowania jagodnickiego folwarku przedstawiały się żałośnie. Stodoły, wzniesione z kamieni i cegieł, były wypalone. Ogień strawił dachy i wnętrza. Podobnie - obory i chlewnie, szopy, a mleczarnia była całkowicie zburzona. Pola przemieniły się w odłogi. Najmniej ucierpiał czworak, do którego ponownie wprowadzili się moi przodkowie.

Jednak folwark już się nie podniósł. Maria Szeliska, właścicielka majątku, była już wdową. Nie miała ani sił, ani pieniędzy, a zapewne też ochoty, żeby zająć się jego odbudową. Na kredyty też nie mogła liczyć, bo majątek już wcześniej został poważnie zadłużony.

Ludziom zabrakło więc roboty. Dziadek Andrzej Ceniuk wybierał się do roboty na odległe pola, mama wynajmowała się w majątku witulińskim, podobnie jak jej siostra Paulina, a ich starszy brat Aleksander szukał szczęścia w mieście.

Problem tego folwarku, jak wielu podobnych, rozwiązał się ostatecznie wtedy, kiedy w grudniu 1925 r. Sejm RP przyjął ustawę o przeprowadzeniu „małej reformy” rolnej. Na tej podstawie doszło do rozparcelowania folwarku w Jagodnicy.

Służba folwarczna mogła przejmować ziemię pod zastaw weksli Banku Rolnego, którego placówka terenowa znajdowała się w pobliskim Sitniku. Natomiast włościanie za nabywaną ziemię płacili żywą gotówką. Dziadek Andrzej Ceniuk skorzystał z nadarzającej się okazji i pobrał - na siebie i obie córki, Bronisławę i Paulinę, gdyż syn Aleksander znajdował się już poza domem - ponad 9 ha gruntu. Ciotka Paulina, gdy wyszła za mąż za Stanisława Misiejuka, wywodzącego się spod Brześcia, wzięła z tego trzecią część. Reszta przypadła mamie, na którą spadł także obowiązek zapewnienia rodzicom dożywocia.

Wychodząc za mąż, mama była zatem posażną panną. Natomiast nasz ojczulek, Franciszek Maziejuk, wniósł do tego gospodarstwa



dziedziczne poletka terebelskie, o których już pisałem, co układało się w sumie na ponad 8 i pół hektara. Było to, według statystyk, gospodarstwo średniorolne.



*Dawny dom, zbudowany przez dziadka Andrzeja Ceniuka, na tle którego wykonałem - jako jedno z pierwszych w życiu - pamiątkowe zdjęcie z okazji chrztu bratanek Zbyszka Maziejuka. Od lewej: Józefa Kaliszewska ze Sławacinka i Władysław Maziejuk z Terebeli, jako chrzestni, a obok rodzice dziecka, Franciszka i Antoni Maziejukowie.*

Dziadek Andrzej wznosił na nowym siedlisku - całkowicie od podstaw - drewniane budynki. Niedużą stodołę, chlew ze stajnią i oborą, a przede wszystkim dom kryty podworską dachówką. W jego ścianach też znalazły się belki pochodzące z rozebranego wcześniej dworskiego czworaku. Pozwalało mi to - żartowałem - „dziedziczyć” duch rodzinnego domu dziadków i mamy. Bo też staliśmy się po części spadkobiercami tradycji folwarcznych. Zresztą we wsi mówiło się długo o nas, jako tych, co wywiedli się wprost z folwarku, nie inaczej, jak „dworusy”. To tak, jak byśmy byli ulepieni z innej gliny, niż rodowici włościanie.

## II. ZATARTE ŚLADY WOJNY

### *Zapach chleba*

Zastanawiałem się czasem, czy ja miałem dzieciństwo? Rozumiem, że pytanie to wydać się może dziwne i zaskakujące, gdyż przecież każdy miał „jakieś tam dzieciństwo”. Jednakże nie chodzi bynajmniej tylko o „zaliczone lata”, lecz przede wszystkim sposób ich przeżywania, który może być szczęśliwy i beztroski, albo też - jak w moim przypadku - smutny i bezbarwny. Czas upływający pod znakiem wypełniania obowiązków ponad wiek i siły, a ponadto naznaczony piętnem ubóstwa.

Niekiedy mam wrażenie, jak byłbym w ogóle pozbawiony dzieciństwa. Jeżeli nawet coś wypełniało te moje szczenięce lata, była to głównie praca. Radość pojawiała się rzadko i trwała krótko. Zaraz po tym jak rozstałem się z kołyską, a była ona pleciona z wikliny i uwieszona do sufitu, kiedy nauczyłem się chodzić i biegać, już przypisywano mi drobne zadania i obowiązki.

Od najmłodszych lat oswajałem się ze specyfiką chłopskiego rolnictwa. Jeszcze gdy byłem oseskiem mama zabierała mnie ze sobą w pole i na ogród. Kładła w cieniu gruszy, gdy sama żniwowała, pozostawiała pod kopką siana czy mendlem zboża, albo wprost na miedzy, abym pozostawał w zasięgu jej wzroku i słuchu, bo często przywoływałem ją płaczem.

Jak mi się wydaje, długo, bardzo długo goniłem uciekający mi czas, będąc - jak sądziłem - opóźnionym w stosunku do rówieśników. Lecz we wczesnym dzieciństwie, mogę tak to określić, z konieczności wyprzedzałem ich, stając się przedwcześnie dojrzałym i dorosłym.

Zamiatałem łozinową miotłą podłogę, podkładałem torf do pieca kuchennego, opiekowałem się młodszym bratem, wypędzałem kury z cudzego pola, przynosiłem jaja i dbałem, aby w okresie upałów drób miał wodę w korytku. To prawda, że to nic wielkiego, nic nadzwyczajnego, ale to m.in. były moje obowiązki, których musiałem pilnować!

W pamięci utkwiły mi zmagania z siwymi wronami, porywającymi podstępnie kurze pisklęta. Wtedy nie kupowało się w mieście jednodniowych kurcząt, czy też pisklaków gęsi i kaczek, bo każde

gospodarstwo same dbało o te maleństwa. Zadanie polegało na tym, żeby wybrać odpowiednią kwokę, to jest kurę zdradzającą chorobliwą skłonność do macierzyństwa. Kwoki wysiadywały jaja aż do wylęgnięcia się z nich piskląt, których wychowaniem też zajmowały się same, strzegąc stadko.

Jeżeli panowało ciepło, kwoki chętnie wyprowadzały kurczęta na podwórko i poza płot, aby karmić je wygrzebanymi pędrakami i robakami, ucząc przy tym umiejętności ich zdobywania. A na taką okazję tylko czekały wrony. Chcąc utrzymać przy życiu swoje pisklęta, chętnie porywały kurczęta. Nie rezygnowały z tego nawet wówczas, kiedy kwoka uczepiona była sznurkiem za nogę do płotu lub drzewka owocowego. Kura wprawdzie nie mogła już odbywać długich spacerów, kurczęta nie zawsze jednak reagowały na jej wezwania i odchodziły od niej coraz dalej, nieświadome zagrożenia. Znane z tego, iż są drapieżnikami, siwe wrony potrafiły wykorzystywać takie okazje sprytnie i bezwzględnie.

Wcale nie było łatwo ustrzec piskląt przed podstępными wronami. Było to trudne tym bardziej wtedy, kiedy kwoka wyprowadzała swe kurczęta w pole, między redliny ziemniaków, czy w rosnące zboże. Nie byłem w stanie dostrzec ich, musiałem więc nasłuchiwać nawoływania kwoki i przypędzać stadko na podwórko, podczas gdy wrony siadały bezczelnie na dachu stodoły, chałupy czy też obory, czekając cierpliwie aż pojawi się chwila sposobna do ataku. Ciskałem w nie kamieniami, przeganiałem krzykiem, stosowałem użytek z procy, ale niewiele to pomagało. Wrony były cierpliwe i nieuległe. Uparte.

Mama chociaż nie dawała poznać tego po sobie, miała do mnie pretensję, iż nie potrafiłem upilnować kurcząt i narażałem ją dlatego na straty. Posądzała mnie, co zresztą było prawdą, że zajmowałem się w tym czasie czymś innym, zabawą w piasku czy też zrywaniem strąków grochu. Najbardziej lubiłem jednak bawić się w cieniu szerokich liści łopianu.

Wpływając na ambicję, mama nazywała mnie wtedy gamoniem. Być może byłem nim, nie przeczę, brakowało mi sprytu i wytrwałości, ale ja naprawdę nienawidziłem szczerze wron. Kiedyś było ich na wsi bardzo dużo, więcej aniżeli obecnie, gdyż przeniosły się one w międzyczasie do miast, gdzie łatwiej o pożywienie. Stworzenia te, drapieżne z

natury, objęto ponadto częściową ochroną gatunkową. Ja je w dzieciństwie szczerze znienawidziłem. Gdy teraz przypatruję się im życzliwie, pełen uznania za ich inteligencję, odnoszę wrażenie, jakby dziwnym trafem wyczuwały we mnie niechęć do siebie. Lecz to oczywiście złudzenie, ponieważ wrony siwe z natury są nieufne.

Im stawałem się starszy, tym większe powinności przypadały mi w udziale. Były też chwile radośniejsze. W pamięci utkwilo mi trochę czułości i beztroskich zdarzeń. Jakies drobne prezenty, które nie zrobiłyby żadnego wrażenia na moich wnuczętach, a ja sobie je ceniłem. Chociażby scyzoryk, jaki zafundowała mi mama, z którym obnosiłem się dumnie, abym mógł podłubać w drewnie. Czy też fujarka samodiałowa z wierzby, albo lniane spodenki z kieszonkami, których wcześniej brakowało, lub cukierki grylazowe o nazwie „raczek”... Czasem bułeczka maślana, uznawana tradycyjnie za „gościniec”, kupowana na targu w mieście.

Od tego czasu upłynęło bardzo wiele lat, a ja wciąż gdzieś w zakamarkach mego podniebienia zachowuję smak tych bułeczek. Potem już nic mi tak wybornie nie smakowało, jak tamte maślane bułeczki. No i przaśny chleb domowego wypieku, którego zapach także teraz wyczuwam!

Na naszym stole jasny chleb gościł rzadko. Co więcej, jakikolwiek chleb nie był powszedni. Jedliśmy chleb razowy, powstawał z mąki żytniej, zwanej „razówką”, a podczas okupacji z mąki wyrabianej u Godlewskich w żarnach, kręconych wysiłkiem ludzkich rąk. Posiadaliśmy pole o słabej glebie, piaszczyste, na którym uprawa pszenicy była niemożliwa. Nadawała się natomiast pod żyto i ziemniaki.

Chleb był przaśny, naturalny, bez jakichkolwiek uzdatniaczy. Pieczony sposobem domowym. Jeśli kiedykolwiek kromka chleba spadła na podłogę, obowiązkiem było podjąć ją godnie, otrzepać, wydmuchać i zjeść. Nikomu nawet przez myśl nie mogło przejść, żeby można było wyrzucić ją do wiadra, na śmietnik lub przeznaczyć na karmę dla świń.

U nas w domu mama wydzielala chleb; tyle, ile mogła, aby pozostawał na dłużej. Nigdy, odkąd pamiętam, nie było go pod dostatkiem. Zjadało się ze smakiem także chleb czerstawy, zwęglony, stary, a nawet spleśniały. Bo chleb - jak się to określało - jeszcze nikogo w zęby nie

pokłut.

Wypiekiem chleba zajmowała się mama. W drewnianej dzieży, pamiętającej babcię, przechowywaną w ciepłe, mama pozostawiała na dnie garstkę wyrobionego ciasta. Był to tak zwany rozczyn, służący do wyrabiania następnego ciasta chlebowego.

Piec chlebowy znajdował się w kuchni, tuż za blachą z fajerkami. Zanim mama chleb wyrobiła i włożyła do pieca, a przedtem musiał on jeszcze wyrósć, należało wpierw rozpalic w piecu ogień, żeby dobrze wygrzać jego wnętrze, zwłaszcza cegły trzonowe, na które - po wybraniu kociubą resztek palących się węgla i wymieceniu miotłą popiołu - mama wkładała na łopacie kęsy ciasta. Pod spód kładła liście chrzanu czy też kapusty, rzadziej tartaku lub brzozy, na każdym bochenku kreśląc palcem znak krzyża świętego.

Kiedy płomień w piecu już przygasał, z tego samego ciasta mama robiła podpłomyk. Coś na kształt placka, abyśmy mogli poczęstować się nim zanim upiecze się „prawdziwy” chleb, na który wyczekiwaliśmy niecierpliwie. Na podpłomyk rzucaliśmy się zgłodniali, ponieważ nic nie było w stanie zastąpić chleba, ani placki ziemniaczane, które piekliśmy nie na patelni, a wprost na blasze i fajerkach, ani pieczone kartofle.

- Chłopcy, nie tak łapczywie! - upominała mama, gdyśmy rwąc podpłomyk na kawałki, dmuchali na nie i szybciotko połykali. - Jeszcze poskręcają się wam od tego kiszki!...

Pośpiech brał się z głodu. Także z tego, że gdy mama zacznie wybierać z dzieży chlebne ciasto, nie będzie wolno otwierać drzwi do sieni, a tym bardziej wychodzić na dwór, bo przeciąg mógłby spowodować „zapaść” ciasta i wtedy powstałby chleb z zakalcem.

Wyjmując z pieca gorące bochenki, mama każdorazowo uderzała dłonią w ich spód, aby po odgłosie uznać czy na pewno są wypieczone. Każdy z nich ponownie znaczyła krzyżem. Bo też wypiek chleba stanowił rytuał i miał w sobie coś ze świętości. Panowało przeświadczenie, że zarówno chleb, jak też ziemniaki, to produkty, które człowiekowi nigdy się nie przejedzą i zawsze zapobiegają głodowi. Zaś na przednówku, prawdę mówiąc, głód ciągle nam zagrażał.

- Bez mięsa - dowodziła mama - jakoś można wytrzymać, tak samo jak bez mleka, ale nigdy bez chleba.

Idąc kiedyś osiedlem spostrzegłem chłopców kopiących mały bochenek chleba, jakby była to piłka. Aż mną wstrząsnęło. Zwróciłem im uwagę, zaznaczając, że to bardzo niestosowna zabawa, ponieważ chleba się nie kopie, a okazuje mu szacunek. W moim dzieciństwie - tłumaczyłem - byłoby to nie do pomyślenia. A oni tymczasem, jakby nigdy nic, poruszyli z drwiną ramionami, nie dostrzegając w tej zabawie niczego zdrożnego. Odszedłem i popatrzyłem za siebie - znowu traktowali bochenek chleba jak piłkę do gry. Najwidoczniej - pomyślałem sobie - kto w życiu nie zaznał głodu, temu trudno pojąć, z czego wynika szacunek dla chleba!

### *Niczym pies łańcuchowy*

W dni chłodne i deszczowe, kiedy nie sposób było wychodzić na dwór, żeby zagrać w pikra, chowanego, berka, sparzaka albo palanta, zostawałem w domu, improwizując zabawy. Strugałem łódki z sosnowej kory, które wypuszczałem następnie na wodę zebraną w kałużkach, robiłem ludziki, układałem domki z odżyneków drewna.

W kuchni, gdzie skupiało się życie, zamiast podłogi było gliniane klepisko. Kuchnia służyła do gotowania i spożywania posiłków, wykonywania różnych zajęć, gotowania stawy dla świń i cielaka, jak też odbywania spotkań ze znajomymi i do spania.

W rogu kuchni stało rozsuwane drewniane łóżko, pełniące w dzień rolę kanapy. Po środku stał dębowy stół, ponadto były dwa krzesła i taborety. Pomiędzy drzwiami a oknem z widokiem na podwórko, obok pieca, stał kredens przyparty do ściany. Przy nim - wiadro ze świeżą wodą, czerpaną ze studni, którą piło się z metalowego kubka. Jeżeli wiadro stało na klepisku, a nie taboreciku, a woda się rozlewała - miękła w tym miejscu glina i pod jego spodem namnażały się liczne szare stonogi.

Posiłki spożywało się wspólnie. Nie pamiętam, aby wtedy, gdy byłem dzieckiem, używane były sztućce i talerze. Były one, owszem, ale wyłącznie dla świątecznych gości. Na co dzień mama kładła na taborecie żeliwny garnek, zwany czechunem, z zupą albo dużą miskę z kluskami czy też kartoflami, a my stawaliśmy obok i sięgaliśmy drew-



nianymi łyżkami po jadło. Kto był obrotniejszy i sprytniejszy, szybszy, ten obracał rytmicznie łyżką, wyławiając z naczynia co smaczniejsze kęski i skwarki. Mleko, jeśli było, piło się z blaszanego kubka, a mięso - pojawiające się rzadko na stole - czy też placki ziemniaczane albo bliny, nazywane u nas kartoflanikiem, jadło się wprost z rąk.

Chleb, jak już zauważyłem, był wydzielany. Nie pamiętam, żeby był on czymkolwiek smarowany. Jeżeli zbliżało się święto, bądź trochę po nim, wtedy pojawiała się na chlebie odrobina smalcu, czy też mama polewała kromkę łyżką śmietany i posypywała odrobiną cukru. Masło robiło się odświeżone, w maselnicy, a gdy śmietany było mało, to w butelce. Mleko i śmietana służyły do zabielenia zup, co poprawiało ich smak. Jajka też nie były codziennością. Mama liczyła je skrupulatnie każdego dnia, aby zanieść do sprzedania w sklepie albo na targu i uściubić trochę pieniędzy na zakup soli, cukru, nafty oraz innych niezbędnych artykułów, których samodzielnie nie wyrabiało się w domu.

Sztuka polegała na tym, żeby z niczego zrobić coś. Na przykład z jednego jajka przyrządzić tyle jajecznic, aby nakarmić całą rodzinę. Aby stało się to możliwe, należało jajko wbić do mąki i zaprawić wszystko śmietaną. Było to oczywiście samookłamywanie się i stwarzanie imitacji. Bo też z jajka pozostawało w takiej potrawie niewiele prawdziwego smaku i trochę koloru.

Przed piecem siadał na taboreciku ten z domowników, kto pilnował paleniska w piecu. Rola ta przypadała często mnie. Paliło się przeważnie torfem, czasem drewnem, węgiel w ogóle nie był znany. Najlepiej, służąc też za podpałkę, palił się chrust, zwłaszcza sosnowy, ale wadą jego było to, że spalał się bardzo szybko i dyżurny palacz zmuszony był dlatego podkładać go ciągle do paleniska. Jeżeli gotowało się zupę, kartofle, kluski albo coś podobnego, ważne było, żeby ogień był równomierny, o co było trudno.

Łatwiej szło z polanami drewna. Paliły się lepiej i dłużej, jednak podczas otwierania drzwiczek - płonące węgle wypadały nierzadko na zewnątrz. Wprawdzie leżała tam blacha, mająca chronić przed skutkami takiego zdarzenia, czasem jednakże węgiel potoczył się dalej i wtedy było łatwo o wypadek. Chcąc ustrzec się tego, musiałem bez przerwy wykazywać się dużą czujnością.

Torf leżał w szopie, skąd należało go przynieść w koszyku. Z dużymi kawałkami dawałem sobie radę, trudność pojawiała się wtedy, kiedy były zwarte bryły, gdyż w pierw należało je rozdrobnić. Służyła do tego mocno sfatygowana siekiera, ciężka i tępa, którą podnosiłem z trudem obiema rękami. Jeśli torf był suchy i miękki kruszył się łatwo, gorzej gdy był mokry i do tego zmarznięty, bo wtedy wypadało walić w niego jakby w kamień. Ponadto nie chciał się palić. Ogień z torfu gasł łatwo, a rozpalić piec było za to trudno.

Dym zamiast do komina przedostawał się do mieszkania, gęsty i smrodliwy. Jawi się mi on dotąd, jako mdły i kwaśny. Idąc zimą przez wioskę wyczuwało się niemal przy każdej zagrodzie ów zapach. Po spaleniu torfu pozostawało dużo popiołu, a to nie było mi na rękę, gdyż opróżnianie popielnika też należało do moich obowiązków.

Tak samo, jak czyszczenie szkła lampy naftowej, przebieranie ziemniaków czy wchodzenie pod łóżko, żeby usunąć stamtąd kocie kupy. Mama uważała, że jestem do tego najlepszy, bo posłuszny i mam drobne dłonie. Nie pozbawiała mnie tego zadania nawet wtedy, kiedy - a to się zdarzało - stłukłem lub rozdușiłem cienkie szkło lampy, której kupno - pomijając cenę - sprawiało wiele kłopotu.

Powinnością moją stawało się strzeżenie domu i podwórka oraz młodszego brata Janka. Szczególnie wtedy, kiedy mama z Antkiem, starszym moim bratem, pracowała w polu. Zadanie było uciążliwe, krępowało swobodę, uniemożliwiając zabawę z rówieśnikami. Przypominało funkcję psa łańcuchowego.

Zdarzyła mi się kiedyś przykra historia. Bawiąc się z dziećmi sąsiadów zza płotu, straciłem na krótki czas z pola widzenia próg chałupy. Usłyszawszy skrzypienie drzwi, odwróciłem automatycznie głowę i dostrzegłem wchodzącą do sieni obcą osobę. Ponieważ czas upływał, a ona nie wychodziła, przemogłem lęk i wszedłem do środka. Nikogo nie zastałem, byłem jednak pewny, że ktoś musiał tam być i zapewne ukrył się gdzieś, wobec tego zaglądałem do kątów. Zajrzałem też pod łóżko i tutaj - ku dużemu zaskoczeniu - znalazłem Cygankę. Zbiła mnie jednak łatwo z tropu, zapewniając, iżbym się nie obawiał, bo ona jest dobrą znajomą mamy i tylko sprawdza moją czujność.

Pochwaliła mnie za roztropność. Naiwnie wziąłem to za dobrą monetę. Zamiast narobić wrzasku i zaalarmować sąsiadów, pozwoli-

łem Cygance opuścić podwórko. Zniknęła tak nagle, jakby się ulotniła.

Dobre moje samopoczucie przysło po powrocie mamy niczym mydlana bańka. Opowieść o Cygance mocno ją zaskoczyła i zdenerwowała. Podejrzewając o rzeczywisty powód jej ukrycia, wpadła do komory, aby zauważyć od razu, że brakuje połcia słoniny, zaś wieczorem okazało się ponadto, że do kurnika nie powróciły dwie kury, „jarzębatka” i „zielononóżka”, które zapewne też ukradła Cyganka.

- Nie widziałem niczego, co miała by ona w rakach, przecież musiałbym zauważyć - tłumaczyłem się przed mamą, a ona patrząc na mnie krytycznie pojęła moją naiwność. Powiedziała tylko:

- Cyganki są chytre jak lisy. Taka to ręce będzie miała puste, ale schowa pod sukienką to, co ukradnie!

- Jak to? - pytałem zaskoczony.

- Pod sukienką przywiązuje kurę do pasa albo nosi worek, w który wkłada ukradzione rzeczy - wyjaśniała mama. - Cyganka ręce będzie miała puste, za to spizarkę pod spodem...

Przypominam sobie, że Cyganka była rzeczywiście mocno pękatą!

## *Podróż sentymentalna*

To wojna okradła mnie z dzieciństwa. Dwóch miesięcy brakowało mi do czterech lat, kiedy ona wybuchła. Za mało, abym mógł zapamiętać jej początek i przebieg. W pamięci zachowały się natomiast jej fragmenty i luźne strzępy. Im zaś wojna trwała dłużej, a mnie przybywało lat, tym bardziej zapadała ona w moją pamięć, aby tkwić w niej dotychczas.

Wczesnym rankiem 1939 roku obudził nas, podrywając z łóżek, łoskotliwy warkot lecących nad wsią niemieckich samolotów. Leciały z północy na wschód. Bombowce, być może z Prus, przedostały się bez przeszkód nad Białą Podlaskę, żeby zrzucić na nią bomby. Wybuchy słysząc było w Jagodnicy.

Wkrótce okazało się, iż, wrogie bomby spadły na lotnisko i wytwórnię samolotów, na fabrykę Raabego i ulice. Patrzyliśmy na obłoki

rozgrywających się na niebie pocisków zenitówek, jednak samoloty wroga odleciały bez najmniejszych strat. Syreny zawyły także drugi raz, znowu obwieszczając alarm, tym razem bomby zniszczyły domy, zaś samolotom wroga znowu nic złego się nie stało.

Ojciec, będąc rezerwistą, miał kartę mobilizacyjną, która okazała się nieprzydatna. Był zobowiązany dotrzeć na koniu na punkt zborny gdzieś koło Kowla na Wołyniu. Po cóż jednak miałby się tam wyprawać, skoro dotarła już do Jagodnicy wieść o tym, że na Polskę napadli - prac ciągle na zachód - sowioci?

Polscy stratedzy wojskowi zakładali tymczasem, że Polacy bronić się będą w ostateczności właśnie na Polesiu i Wołyniu, gdzie trudne warunki terenowe miałyby im sprzyjać, uniemożliwiając Niemcom użycie ciężkiego sprzętu bojowego. Ich technika miała zapaść się w polskie błota.

Po 17 września 1939 roku zamiary te utraciły uzasadnienie. Czy ojciec mógł wiedzieć o zamiarach bolszewików? O tym, że ministrowie

hitlerowskich Niemiec i stalinowskiego ZSRR, Ribbentrop i Mołotow, obaj nienawidzący Polaków, podpisali układ o współpracy w dziele rozbioru Polski? Skądże! Był dobrym chłopcem i szczerym Polakiem, patriotą. Zdał się więc na łaskę i niełaskę losu, pozosta-



*Szkoła wiejska w Pieslach koło Grodna, zbudowana w latach 20. zeszłego wieku, w której Halina Mierczyńska podjęła w roku 1944 naukę w języku białoruskim i rosyjskim, w domu rodzinnym ucząc się potajemnie w języku polskim. Tak było zanim z babcią Julią, mamą Ireną i siostrą Zofią nie repatriowała się na Warmię w Polsce.*



Dawniej, w podgrodzieńskiej Domanowszczyźnie, byli sąsiadami, obecnie mieszkają w dwóch różnych miastach przedzielonych granicą - Grodnie i Warszawie. Ryszard Kacynel (w środku), wtedy wiceprzewodniczący Związku Polaków na Białorusi i Halina Maziejuk podczas okolicznościowego spotkania w Grodnie. Pierwsza z lewej Maria Wielądek, nasza dobra koleżanka. Na dole: Halina i Henryk Maziejukowie na tle kościoła w Indurze.



jąc w domu.

Sowieccy żołnierze zjawili się w Jagodnicy przed Niemcami. Poza wyjątkami, jak działania brygady gen. Kleeberga czy obrona mieszkańców Grodna, rodacy nie podejmowali z nimi walki, bo ani nie było takiego rozkazu wodza naczelnego, ani też nie byli oni do tego przygotowani.

Starsi ludzie przypominali sobie, jak to było, gdy pojawili się w Jagodnicy ich poprzednicy, łachmaniarze, aby palić i grabić, idąc w 1920 roku szeroką ławą na Warszawę. Pozostały po nich jak najgorsze wspomnienia.

Gdyśmy wtedy krótko znosili bolszewików, zanim nie pojawili się eleganccy, ale nie mniej okrutni hitlerowcy, inaczej potoczyły się w tym samym czasie wypadki na dawnej Białostocczyźnie, do której należało ówczesne Grodno, gdzie mieszkali członkowie rodziny mojej przyszłej żony Haliny Mierczyńskiej. Ziemie te włączono bowiem siłą w granice ZSRR. Nigdy zresztą, gdyby nie ta wojna, nie poznałbym jej. Los lubi jednak zaskakiwać.

Mierczyńscy, rodzice Haliny, mieszkali w wiosce Domanowszczyzna, leżącej 30 kilometrów od Grodna, opodal miasteczka Indura. Zapewne nigdy bym tam nie był, może nawet nie wiedział o takiej wiosce i miasteczku, gdyby nie zeszły się nasze drogi.

Jednak tam byłem, oglądałem drewnianą szkołę w Pieslach, w której uczyła się Halina; byłem w miasteczku Indura, gdzie kościelny Antoni Kacynel, wuj Ryszarda, człowiek zacny i prawdomówny, już leciwy, odpowiadał wnikliwie na dziesiątki pytań mojej żony. Mówił głosem ściszym, dyskretnie, spoglądając ostrożnie na boki, czy nikt nie podsłuchuje lub podpatruje. Jakby chcąc upewnić się, iż nie ma kogoś, kto mógłby być ukrytym KGB-owcem.

Ryszard Kacynel, Polak z Grodna, poeta i patriota, inżynier architekt, który jako prymus skończył mińską wyższą uczelnię, autor wielu udanych projektów budowlanych, m.in. grodzieńskiego teatru, szkoły polskiej, kościołów i cerkwi, wówczas był wiceprzewodniczącym Związku Polaków na Białorusi.

Pochodzi z rodziny wielce oddanej Polsce. Jego ojciec Bronisław stanowił uznany autorytet. Podczas sowieckiej okupacji gromadził u siebie młodzież, żeby czytała polskie książki i śpiewała polskie piosen-



ki patriotyczne oraz pielęgnowała rodzimy folklor.

Jak długo mógł, tak długo bronił się przed wstąpieniem do kołchozu. Sowieci z każdym rokiem, chcąc przymusić go do tego, wymierzali mu większe obciążenia w naturze i pieniądzach. Przez kilka lat, rezygnując z wielu dóbr, Bronisław Kacynel skutecznie bronił się przed pójściem do kołchozu. W kolejnym jednakże roku wymierzono mu obciążenia tak duże, że gdyby nawet wyprzedał wszystko, co miał w gospodarstwie, i tak nie sprostałby im. Załamany kompletnie, uczynił to, przed czym się tak zdecydowanie bronił. Został kołchoźnikiem.

Wcześniej mógł, ale nie chciał, zdecydować się na wyjazd repatriacyjny do Polski. Uważał jednak, że polskości bronić trzeba na miejscu; w rodzinnych stronach. Ryszarda, którego posłał - jak wszyscy inni - do szkoły rosyjskiej, aby nie zamykać mu drogi, a szkół polskich już nie było, uczył pisać po polsku, węglem na desce, a ponadto zewsząd, skąd mógł, ściągał mu polskie książki. Była to ładna postać.

Żona Ryszarda, Lola z domu Czuszel, którą również wtedy poznałem, też doświadczyła wiele zła, jak cała jej rodzina, ponieważ broniła polskości. Jej ojciec miał tak duże zaufanie u mieszkańców wsi, że wybierali go niezmiennie swoim sołtysem. Tak było przed wojną i podczas okupacji, jak też potem, chociaż sowieci nie okazywali, aby te funkcję pełnił ktoś inny. Za obronę polskości przesiedział w mińskim więzieniu kilka lat, poglądów jednak nie zmielił. Byli to twardzi ludzie.

Kacynel zawiózł nas swoim samochodem, skaczącym po kamieniach bruku, tam, gdzie przedtem znajdował się przysiółek zwany Domanowszczyzną, jaki odnalazłem na swojej starej mapie sztabowej. Ryszard i Halka znajdują się od dzieciństwa. Ich domostwa, chociaż oddzielone od siebie sporą przestrzenią, sąsiadowały ze sobą.

Rodzinne siedlisko Kacynela, które nam pokazał, porosło już drzewami i krzakami, wchłonięte przez otaczający las. Zobaczyłem ledwie widoczną, całkowicie ginącą, obórkę i upadający dom. Pozostałe zabudowania zdążyły zniknąć.

Ryszard, trochę młodszy od nas, wskazał na miejsce, w którym stały rodzinne zabudowania Halki, ona sama nie byłaby w stanie tego dokonać. Ryszard mieszkał tam dłużej, potem także tu przyjeżdżał,



Wyprawa sentymentalna z roku 1996 na utracone ziemie rodzinne. W tym miejscu stała zagroda Kundów i Mierczyńskich w Domanowszczyźnie koło Grodna, po której pozostała jedynie kępa zieleni z ukrytą w głębi piwnicą. Halka, zalana łzami, wkłada do torebki grudki ojczystej ziemi, aby - z myślą wrzucenia jej do grobu - przywieść ją do Polski. Na pamiątkę, wzruszony taką reakcją, stanąłem przy niej na pamiątkę. W czerwcu 2004 r. kilka garści tej ziemi Halina wrzuciła do grobu swojej mamy Ireny Mierczyńskiej, która zmarła mając 99 lat.

więc na jego oczach zachodziły tam zmiany. Natomiast Helka nie mogła wyobrazić sobie, iż nie ma już czegoś, co zdawało się jej trwale i było bardzo bliskie; co ona przez długie lata rozłąki nosiła pod powiekami, przekonana, że kiedyś powróci tam. Powrotu jednak być nie mogło.

Zabrakło okazałego domu krytego gontem, z dwoma izbami na poddaszu, który dobrze zapamiętała i może go oglądać na starej fotografii. Został rozebrany. Przerobiony na mniej „polski” i nie tak bardzo „pański” - powędrował do innej wioski, jak upodobał to sobie jakiś partyjny kacyk.

Nie ma ani obszernej stodoły, ani udanej obory, w której stało bydło objęte kontrolą użytkowości. I nie ma też studni czy płotu. Obora zanim została rozebrana służyła kilka lat kołchozowi za bazę skupu krów i cieląt.

Płynąca obok rzeka, w której kąpały się kaczki i gdzie będąc dzieckiem Helka pluskała się, też nie przypomina tamtej sprzed lat. Zarosła zielskiem i krzakami. Zwęziła się i spłycała, stając się rowem. Bojarka, bo tak się nazywa, straciła dawny urok i powab.

Zniknął sad owocowy. Zabrakło dużej pasieki, z której Kunda odstawiał miód w beczkach do fabryki słodyczy „Wedel” w Warszawie. Na dawnym jego polu powstały działki ogrodowe, pracownicze, ale ci, którzy grzebią w tej ziemi nie wiedzą nawet do kogo ona należała i kto przed nimi ją uprawiał. Natomiast, o dziwo, pozostała dotąd kamienna piwnica, która obrosła krzewami i wszelakim zielskiem. Piwnica ta w części już się zapadła. Obok niej, widoczna z daleka, rośnie kępa strzelistych drzew. Halka wspomina nieraz, że zsiadłe mleko schładzane w tej piwnicy smakowało wybornie i już nigdy potem nic mu nie dorównało.

Piwnica stała samodzielnie poza domem. Gdyby nie Ryszard Kacynel też byśmy jej nie znaleźli. Nie dałoby się bowiem ustalić miejsca, w którym znajdowała się zagroda Kundy, którą później przejęli Mierczyńscy. Czas sprawił, iż popadła w zapomnienie.

Patrzyłem ze zdumieniem i współczuciem na żonę, która po upływie połowy wieku znalazła się w miejscu, gdzie spędziła dzieciństwo. Była zasepiona i zagubiona, rozdygotana. Poruszała się jakby półprzytomna. Smutna i płacząca. Załamana. Uklękała na tej ziemi, przeżegna-

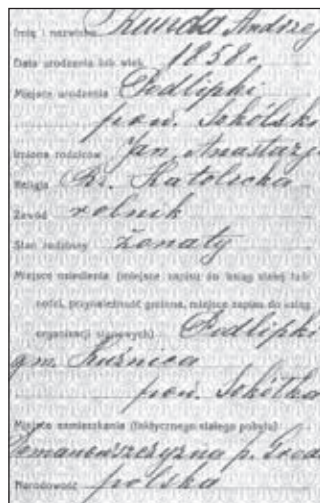
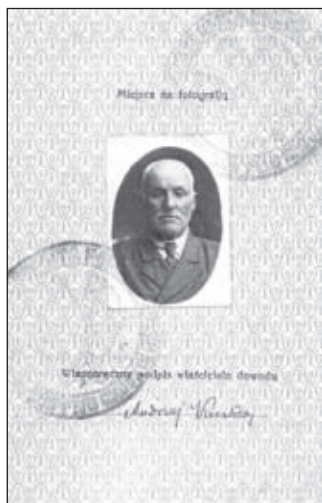
ła się wznosząc oczy ku niebu i głęboko nachylona nad nią - odmówiła pacierz.

Podaliśmy jej torbę, żeby włożyła do niej, jak tego chciała, kilka garści rodzinnej ziemi, by - gdy przyjdzie pora - włożyć ją do grobu. Brała tę ziemię do rąk tak, jakby to była relikwia.

Gdy w marcu 1946 roku rodzina Mierczyńskich opuszczała Domagnowszczyznę, wlokąc się furmanką w stronę niezbyt odległej Kuźnicy, gdzie ustanowione zostało przejście zagraniczne i skąd pociągi wyruszały w Polskę, wiozła ze sobą sprzęt domowy i podręczny dobytek, gdyż tylko taki wolno było zabrać, a ponadto uciepionych było do wozu sześć krów i parę cielaków. Sądziła, że rozstanie to będzie krótkotrwałe, bo plotki mówiły, że wkrótce nastąpi „odwieszenie” granicy i Grodno oraz sąsiadujące z nią nadniemeńskie tereny przypadną znowu Polsce. Na wozie siedziały: Julia Kunda, Irena Mierczyńska i dwie jej córki, Zofia



*Niespełna 4-letnia Halinka w fotelu zawodowego fotografa w Grodnie*



Stronice Dowodu Osobistego Andrzeja Kundy, dziadka Haliny, urodzonego w 1858 r. w Podlipkach w powiecie sokólskim. Dokument wystawiło Starostwo Powiatowe w Grodnie 8 kwietnia 1925 r.





Pamiętki z dzieciństwa Haliny Mierczyńskiej, związane z Domanowszczyzną. U góry, na lewo: Dom z werandą od strony ogrodu, gdzie spotykała się latem z rodziną Kundów i Mierczyńskich. Poniżej: Gospodarska wizyta władz powiatowych z udziałem starosty grodzieńskiego. Obok: Halina na ulubionym koniu „Dereszu”, który pozwalał jej na wszystko - na tle rodzinnego domu. Od dołu; pierwsza fotografia z lewej: Irena Mierczyńska z Zosią, młodszą siostrą Haliny. Druga fotografia: Halinka siedząca na kamieniu z nogami w wodzie rzeczki Bojarka. Na dole: Za zagrodą rósł las, na skraju którego - przy tak zwanej kruszni, to jest płocie ułożonym z polnych kamieni, usiedli: Kazimierz Mierczyński (z prawej) z córką Halinką i kontrolerem użytkowości krów, W. Jaremkiem.





i Halina. A więc rodzina niepełna.

Bez Kazimierza Mierczyńskiego, który - o czym kobiety wiedziały - zamordowany został przez funkcjonariuszy NKWD w kazamatach Charkowa. I bez Andrzeja Kundy, dziadka Halszki i Zuli, urodzonego w 1858 roku, który zmarł podczas okupacji i spoczął na cmentarzu w Indurze. Pozostawili więc tam nie tylko ziemię i zabudowania, meble i sprzęt domowy, lecz też rodzinne mogiły.

Prawda o okolicznościach śmierci Kazimierza Mierczyńskiego była tajna i skrzętnie ukrywana. Nie wolno było o tym mówić publicznie pod groźbą kary lub zsyłki na Sybir. Julia Kunda, babcia Haliny, też milczała, chociaż zdawać by się mogło, iż bronił ją wiek. Młodsza od męża Andrzeja, dotarła pod Ornetę, aby w 1956 roku umrzeć i zostać



*Rodzina Mierczyńskich w Antoninie koło Ciechanowca na Podlasiu. U góry stoją od lewej: Stanisław Cebula, Józef Mierczyński, Leontyna Mierczyńska, Leon Mierczyński (zamordowany w warszawskim Pawiaku) i Kazimierz Mierczyński, ojciec Haliny. Siedzą od lewej: Irena Cebula, żona Stanisława, Zofia Mierczyńska, babcia Haliny, Irena Mierczyńska, żona Józefa. U dołu dzieci: Antoni Mierczyński i Henryka Cebula, zwana „Nuśką”.*

pogrzebaną, obok mogił niemieckich, na tutejszym cmentarzu.

Byli przekonani, że to nie oni, siedząc na swoich śmieciach, znaleźli się poza granicą państwa, lecz to Polska oddaliła się od nich i dlatego zostali repatriantami. Zajęli obcą ziemię na Warmii. Lecz bardzo długo Ornetą w ich mniemaniu była... Indurą. Moja żona, jak przedtem teściowa, kiedy rozmowa dotyczy tego starego warmińskiego miasteczka, gdzie Halka robiła maturę, myli się ciągle, przywołując Indurę. Tak, jakby myślami była wciąż tam, gdzie spędziła dzieciń-

stwo i młodość.

Teściowa bardzo pragnęła ujrzeć przed śmiercią Grodno, w którym mieszkała dłuższy czas, kiedy uczęszczała do szkół, a ponadto, to rozumiała, okolice rodzinnej wsi. Wtedy było to całkowicie niemożliwe. Nawet gdy Towarzystwo im. Elizy Orzeszkowej, a właściwie koło byłych grodnian, w którym ona działała, posyłało grupę osób, które pragnęły odwiedzić groby rodzinne, Irena -za sprawą innych - była pomijana. A kiedy wyprawa taka stała się już możliwa, nie pozwalały na to siły i wiek.

- A czy Halusiu jest tam jeszcze - dopytywała teściowa - te duże drzewo, na którym stało bocianie gniazdo? Czy bociany nadal tam się wiodą?

Gniazda oczywiście nie ma. Rosochata olcha została ścięta, jak zresztą inne drzewa. I dlatego, jeżeli nawet chciły, bociany nie miały gdzie zbudować gniazda. Irena Mierczyńska, z domu Kunda, była wykwalifikowaną nauczycielką, tak samo jak jej mąż Kazimierz.

Podporucznik WP, organizator i opiekun szkolnych drużyn harcerskich oraz drużyn „Strzelca”. Zajmował się także szkoleniem młodzieży wiejskiej w zakresie przysposobienia wojskowego i kształtowania patriotycznych postaw. Nie było mi dane, niestety, poznać go osobiście, chociaż zostałem przecież jego zięciem

## *W rękach oprawców*

Mając wówczas 34 lata, Kazimierz Mierczyński został w sierpniu 1939 r. zmobilizowany do służby wojskowej. Jednakże udziału w wojnie nie wziął, natomiast - pomimo to - przypłacił ją utratą życia.

Jego oddział, jak inne, ustępował przed napierającymi sowietami, zdążając ku granicy z Rumunią. Rozkaz był taki, by nie podejmować walk z sowiecką armią i jak najprędzej przedostać się do Rumunii. Zabrakło już bardzo niewiele drogi, może pół godziny szybkiego marszu, żeby tak się stało. Zbliżali się właśnie do Zaleszczyk, kiedy sowietci zaszli im drogę i otoczyli ich kordonem, żądając podporządkowania się rozkazom. Zabrali im broń, zapędzili żołnierzy za druty do obozu jeńckiego w Szepietówce. Oddzielili potem szeregowców od oficerów,



Kazimierz Mierczyński, urodzony 13 grudnia 1905 roku w Knyszynie pod Białymstokiem, ojciec Haliny, a mój teść, którego nie dane było mi poznać. Zdjęcie dolne z 1928 r. górne zaś wykonane na ulicy Grodna krótko przed wybuchem II wojny światowej.



pierwszych wypuszczając na wolność, a drugich zatrzymując w niewoli. Sądzi, że są internowani i nie spotka ich dlatego nic szczególnie złego. Tym bardziej, że poddali się sowietom bez walki.

Sowieci popędzili jeńców do Starobielska, by tam osadzić ich w murach dawnego klasztoru prawosławnego. Lecz i tutaj oficerowie nie tracili nadziei, ufni, iż Rosjanie przestrzegają będą prawa międzynarodowego. Zwłaszcza, że pozwolili im zabawiać się w teatr amatorski, odbywać ćwiczenia gimnastyczne, uczyć się języków obcych i czytać książki. Kazimierz Mierczyński przesłał poprzez swego żołnierza, Żyda, gryps do rodziny. Pisał go 24 października 1939 roku w Szepietówce, na papierze w kratkę, zapewne wyrwanej z zeszytu. Zwykłym ołówkiem. To są jego słowa:

*„Droga Iro i kochane dzieci, jestem w Szepietówce w punkcie rozdzielczym i prawdopodobnie wkrótce wrócę do Was. Myśli moje są stale z Wami. Byłbym spokojny, gdybym wiedział, że macie dach nad głową i nie jesteście głodne, bo wojna ta będzie*

*okrutne siała zniszczenia.*

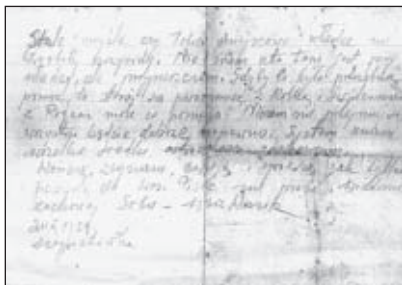
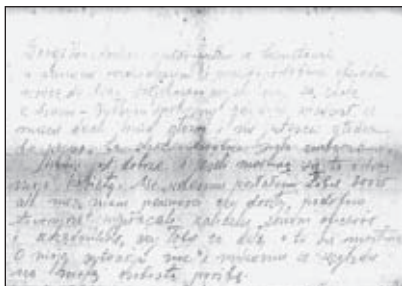
*Mnie jest dobrze i jeżeli martwię się, to o Was, moje kobiety. We wrześniu posłałem Tobie 300 zł, ale nie mam pewności czy doszły, podobno towarzysze wypłacali zaliczki żonom oficerów i urzędników, czy Tobie co dali - o to się martwię. O mojej sytuacji nic i nikomu nie mów ze względu na moją osobistą prośbę.*

*Stale myślę, czy Tobie miejscowe władze nie zrobiły krzywdy. Nie wiem, kto tam jest przy władzy, ale przypuszczam. Gdyby Ci była potrzebna pomoc, to staraj się porozumieć z Kolką i Szyplewiczem z Rogacz, może Ci pomogą. Niczem nie przejmuję się, wszystko będzie dobrze na pewno. System znam, wszelkie środki ostrożności zachowam.*

*Kończę, żegnam, całuję i pospieszę, jak tylko pozwolą, do Was. Pisać nie próbuj. Wiadomość zachowaj Sobie.*

Wasz Kazik”.

List dostarczył wspomniany Żyd służący w jego oddziale, który uzyskał zwolnienie z obozu. Przemycił go w ten sposób, iż sprytnie wszył kartkę w kołnierz szynela. Córka Halina przechowuje go jak coś szczególnie drogiego. Były też jeszcze inne listy, adresowane głównie do bratowej, Jadwigi z Grodna, która następnie dostarczała je ukradkiem do rodziny Kazimierza w Domanowszczyźnie. Kazimierz oszczędzał tak żonę i córki przed wścibstwem służb śledczych.



List do rodziny, pisany 24 października 1939 r. przez Kazimierza Mierczyńskiego z obozu w Szepietówce.

Listów ze Starobielska było więcej. W toku wojennej zawieruchy gdzieś zapodziały się jednak. Los rzucał bowiem Mierczyńskie w róż-

ne strony dawnej Polski. Uciekły one - zupełnie nielegalnie, kierując się sprytem i odwagą - z Domanowszczyzny. Poprzez Brześć udały się do Generalnej Guberni, kiedy wybuchła wojna między Niemcami a Związkiem Sowieckim. Irena dotarła z córkami, taszcząc w rękach tylko to, co było niezbędne, do teściowej swej siostry Stanisławy Orczykowskiej, mieszkającej wówczas w Krzeszowicach pod Krakowem. Ci ludzie przyjęli uciekinierki jak najlepiej, dzieląc się z nimi tym, co posiadali. Zapewnili przede wszystkim kąpiel. A że sami nie mieli wiele, Irena wynajęła się do pracy w kuchni w miejscowym zabytkowym pałacu, który stał się rezydencją Franka, dyktatora Generalnej Guberni, dzięki czemu mogła liczyć na chleb i mleko dla córek. Atutem jej w uzyskaniu tej pracy była dobra znajomość języka niemieckiego.

Kiedy jednak uczynny werwacz, w całkowitej tajemnicy, mając do niej zaufanie, wyjawiał Irenie, że grozi jej niebezpieczeństwo - trzeba było stamtąd uciekać. Niemcy planowali bowiem odesłać Irenę Mierczyską do obozu, zaś obie jej córki przekazać do zgermanizowania w głąb Niemiec. Spakowały się i nocą udały się nielegalnie do Radomia, gdzie mieszkali krewni, którym jednak utrzymywanie Mierczyńskich nie pasowało. Stąd więc znowu odjechały, tym razem już pod Grodno, gdzie panoszyli się hitlerowcy.

Można było natomiast odetchnąć od wężenia i prześladowań bolszewików, którzy wielu ludzi doprowadzili do łez i nieszczęścia, ale trzeba było mieć się na baczności wobec niemieckiego okupanta. Ten zaś jak mógł też kielznał Polaków.

Kazimierz Mierczyński pisał z obozu, że potrzebna jest mu książka do nauki języka obcego. Ma - uzasadniał - sporo wolnego czasu, chciałby więc spędzić go z pożytkiem, a znajomość języka obcego w przyszłości na pewno się przyda. Zapewne nawet nie domyślał się, iż tej przyszłości mu zabraknie. Prosił o zdjęcia rodziny i ciepły sweter na plecy ponieważ w starych pocerkiewnych murach jest bardzo zimno. Proponował, by żona - kiedy nie będzie w stanie podołać trudnościom - udała się z córkami do stryja Józefa Mierczyńskiego, zamieszkałego we wsi Antonin koło Ciechanowca nad Nurcem. Jego rodzina - podkreślał - pomoże jej przetrwać najgorsze.

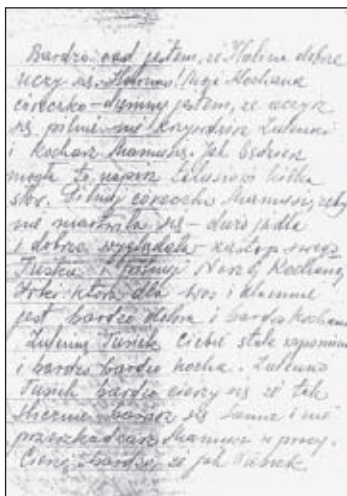
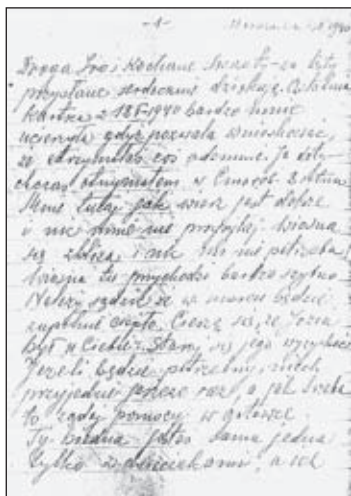
Ocalała szczęśliwie „pocztowaja kartoczka”, adresowana na „grod Grodno Bielastockoj obłasti”, przeznaczona „Jadwignie Konstanti-



nownie Kunda”, zamieszkałej pod numerem 41 na ul. Polnej. Adres nadania był taki: „Kazimir Mierczyński, Starobielsk, pocztowyj jaszczuk Nr 15”

Chcąc, żeby jak najwięcej słów się zmieściło, pisał kaligraficznym maczkiem:

„Kochane moje kobiety - jestem zdrów, jest mi dobrze, nic nie potrzebuję i dlatego radzę nic nie przysyłać. Prosiłem o książkę niemiecką, ale już nie potrzebuję, gdyż nabyłem, aktualny jest jedynie papier, ale i to niekonieczne. Dotychczas otrzymałem w Starobielsku 9 listów i 2 fotografie, za które bardzo dziękuję.



Fragment listu pisanego przez Kazimierza Mierczyńskiego z sowieckiego obozu jenieckiego w Starobielsku na Ukrainie. Jesień 1940 rok.

Ciesz się, że dobrze wyglądasz i że głowa Cię nie boli. Wszystko adresuj na Jagę. Listy opatruj datą i numerem. Jak tam z wiosną? Niepokoją mnie te wasze wiatry na wschód, dlatego każda wiadomość, że spokojnie żyjecie jest wyczekiwana. Pisz od czasu do czasu kartki, gdyż prędzej są doręczane - rekordowe są kartki pisane po rosyjsku. Jeżeli środki pozwalają, to raz na miesiąc sama lub wspólnie z Andruszkiewiczową wyślij depezę „jestem zdrowa” itp.

Czy nasz Antek uczy się? Go robi Zośka Bielska? Czy Mietek szer. wrócił? My tu żyjemy czekając wiosny i tego, co ona przyniesie. Cieszę się, że Halinka dobrze się uczy, jest pilna, szuka Zosię, Mamusię i Tuśka. Zapomniałem Ci powiedzieć, że rozwód pana

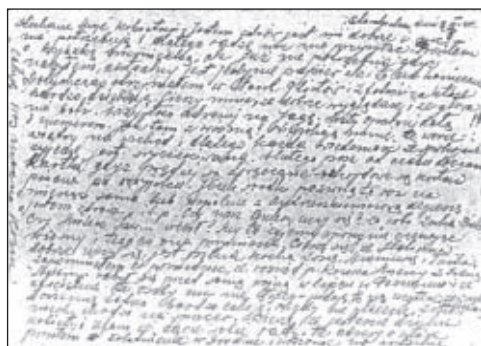


Kazika z Ireną odbył się przed samą wojną w lipcu w Poznaniu, że oficjalnie te osoby nic nie łączy - podaje to na użytek/.../.



Zosieńkę tatuś bardzo całuje. Nigdy nie płaczcie. Zosia niech chodzi na spacer. Wierzę, że jesteście dzielne kobiety i ufam, że dajecie sobie radę. Te adresy, o które prosiłem zdobędziecie w Grodnie...

Całuję Was mocno, Kazik”.



Kartka opatrzona została napisem: „Starobielsk dnia 7 III 40”.

Jadwiga była żoną Edmunda Kundy, nauczyciela straconego w Katyniu. Porwały ją - jak pisał o tym w utajnionej formie Kazimierz Mierczyński - „wiatry na wschód”. Sowietci wywieźli Jadvigę wraz z synem Jerzym na daleką Syberię. Nie chcąc więc adresować przesyłek na Grodno, Kazimierz Mierczyński pisał odtąd kartki i listy z obozu do żony i córek na adres swej matki Zofii Mierczyńskiej w Antoninie koło Ciechanowca. Na ten adres dotarła wiadomość, by krewni postarali się przesłać mu pieniądze, gdyż jeńcy zostaną niedługo ewakuowani ze Starobleska do

„... niepokoją mnie te wasze wiatry na wschód i dlatego każdą wiadomość, że spokojnie życie jest wyczekiwana” - pisał na kartce pocztowej Kazimierz Mierczyński do swej rodziny 8 marca 1940 roku z obozu w Starobielsku. Słowa brzmią jak szyfr, gdyż patriotycznie usposobieni Polacy z dawnych Kresów Wschodnich, okupowanych wtedy przez ZSRR, byli nieustannie narażani na areszt i karne wywózki na Sybir. Groziło to również rodzinie Mierczyńskich. Kazimierza zamordowano w obozie NKWD w Charkowie.

innej miejscowości.

Józef Mierczyński, brat Kazimierza, sprzedał krowę i zdobyte pieniądze przesłał do obozu na adres Kazimierza. Stąd w odpowiedzi nadeszła depesza: „Diengi pałuczyl, zditie smieny adresa”.

Były to ostatnie słowa Kazimierza Mierczyńskiego, jakie dotarły do rodziny. Nagle kontakt z nim się urwał. Co takiego miał na uwadze, wspominając o przemieszczeniu jeńców? Być może chodziło o zamianę Starobielska na Charków, gdzie czekała go śmierć?

Tego już nigdy nie uda się wyjaśnić. O swoich kobietach, żonie Irenie i córkach, Halinie oraz Zofii - w myślach nie rozstawał się nigdy. Zapewne także w ostatnich chwilach swego krótkiego życia. Tak samo, jak o teściach, Julii i Andrzeju Kundach oraz całej bliskiej mu rodzinie, z którą był mocno związany.

Charkowska mordownia NKWD długo utrzymywana była w tajemnicy. Enkawudziści podstępnie i siłą krępowali drutem polskich oficerów, odbierając im najmniejszą szansę na żołnierską obronę i



*Wtedy, na parę lat przed wybuchem wojny, było jeszcze błogo i spokojnie. U góry: Spacer białostocką ulicą. Od prawej: Irena Cebulowa i Leontyna Świdierska, siostry Kazimierza Mierczyńskiego, a ta mała dziewczynka, to Hania zwana „Nuśką”. U dołu: Spacer ulicami Grodna. Od lewej: Irena Mierczyńska z córką Haliną i Wandą Kunda.*



*Chcąc uniknąć zsyłki na Syberię, jaka jej zagrażała, gdyż była nauczycielką i żoną oficera, Irena Mierczyńska uciekła przez granicę sowiecko - niemiecką w Brześciu, przedostając się do Generalnej Guberni. Na zdjęciu: Irena Mierczyńska z córkami, Haliną i Zofią, u krewnych w 1940 roku w podkrakowskich Krzeszowicach.*

rozumiała. Nikt inny poza nią, spoza rodziny, nie mógł znać tej prawdy. Zmuszona byłam ją ukrywać, a to naprawdę kłopotliwe i nieludzkie, bo w przeciwnym razie byłabym prześladowana. Udawałam, że mój ojciec zmarł w hitlerowskim obozie zagłady. Ta wersja, kłamliwa, była dla mnie bezpieczna, gdyż prawdopodobna.

Na Podlasiu południowym, gdzie wtedy i potem mieszkałam, sowieci panoszyli się krótko. Na początku wojny, bo potem było inaczej. Zgodnie z przyjętym paktem, tę część Podlasia - wraz z całą Lubelszczyzną, Małopolską, Podkarpaciem, Kielecczyzną i Mazowszem - hi-

śmierć, aby następnie zabijać strzałem pistoletu w tył głowy. Żołnierze ginęli nieludzko, podstępnie i okrutnie. Tylko za to, że byli Polakami. Oprawcy zakopywali zwłoki potajemnie w lesie. Grzebali w zbiorowych mogiłach, na których - w celu zatarcia wszelkich śladów - sadzili potem las.

Upłynęło wiele lat zanim żywi mogli upomnieć się o wymordowanych rodaków, a ich prochy umieścić na symbolicznym cmentarzu prawdy. Strzępy tej prawdy, powtarzane szepcetem i ukradkiem, jedynie wśród zaufanych, by uniknąć represji, docierały już wcześniej do zainteresowanych, utrzymane były jednakże w pełnej tajemnicy.

- Było to nie do zniesienia - wspominała Halina Mierczyńska.  
- Przez długie lata nie mogłam ujawniać, gdzie i jak zginął mój ojciec. Podczas studiów miałam odwagę wyjawiać prawdę wyłącznie pani profesor, która opiekowała się mną dyskretnie, gdyż jej mąż zginął w Katyniu. Jej mogłam w pełni zaufać. Ona doskonale mnie ro-

terowcy włączyli do Generalnej Guberni. Sowietci wynieśli się stąd, chociaż tu już częściowo byli, poza linię Bugu.

Niemiecki okupant okazał się okrutny i bezwzględny, zły, lecz sowietci niewiele mu ustępowali. W ich władanie - aż do 22 czerwca 1941 roku - dostała się zasadnicza część Podlasia, Kurpiowszczyzna, Grodzieńczyzna, jak też inne wschodnie i północne tereny przedwojennej Polski.

Usłyszałem potem - jak to w rodzinie - bardzo wiele tragicznych, ale prawdziwych opowieści, które dokumentowały tę prawdę. Ożenek z Haliną związał mnie z tymi, którzy doznali wielu krzywd od obu okupantów, sowietów i hitlerowców; od tych pierwszych - także po 1944 r. Los wielu ludzi z wąskiego przecięż kręgu rodzinnego okazał się tragiczny.

W Katyniu - z najbliższego otoczenia żony - zginął Edmund Kunda, brat Ireny Mierczyńskiej. Jej drugi brat, Paweł Kunda, trafił do hitlerowskiego obozu zagłady w Oświęcimiu. Wprawdzie opuścił go żywy, jednakże tak bardzo wycieńczony i chory, że wkrótce zmarł.

Obie ciocie Haliny, Irena Cebulowa i Leontyna Swiderska, które lubiłem i ceniłem, już od lat nie żyjące, były deportowane przed Wielkanocą na Syberię. Zsyłki na nieludzką ziemię



*Odległe lata. U góry: Ślubna fotografia Anatola Świderskiego i Leontyny z domu Mierczyńskiej. Obok, na zdjęciu idą: (od lewej): Irena Cebulowa, żona Stanisława Cebuli, która była siostrą Kazimierza Mierczyńskiego. Po jej prawej stronie - córka Henryka. Po lewej: Anatol Świderski z żoną Leontyną, która na ręku trzyma córkę Zofię.*



zaczęły się wcześniej. Pierwsze przypadły na zimę 1940 roku, gdy mróz sięgał 40 stopni. Jeden po drugim odchodziły na daleki wschód



składy wagonów przepełnione ludźmi. Zczepiane w Białymstoku, Czyżewie i Grodnie. Nikt nie wiedział ani dokąd jadać, ani na jak długi okres. Lecz nie trudno było odgadnąć, że docelowo chodzi o Syberię, a kara ta wymierzana jest zwłaszcza w patriotów i osadników legionowych oraz polską inteligencję.

Ciocia Leontyna - zmarła w 2003 roku, a jej mąż Anatol Świdzki, człowiek wyjątkowo zacny i wartościowy, umarł wcześniej. Ciocia Leontyna odbyła tę przymusową wyprawę z niespełna dwuletnią córką Zofią. Obie trafiły na kazachskie stepy gdzieś w pobliżu Połtawki. Z zawodu nauczycielka, Leontyna wykazać musiała wiele odwagi i sprytu oraz hartu ducha. Nie szczędząc zapobiegliwości i sił, opierała się trudom, by utrzymać przy życiu córkę Zulę i siebie.



*Z wizytą u Świdzkich w białostockich Dojlidach. U góry, od lewej: Ewa Świdzka, Halina Maziejuk i Leontyna Świdzka, siostra Kazimierza Mierczyńskiego. U dołu: Halina Maziejuk i Ewa Świdzka, lubiąca się w kwiatach, a przed nią suka „Aga”, strzegąca uważnie posesji.*

Jej mąż Anatol, także nauczyciel, uniknął tej wywózki wyłącznie dlatego, że w tym czasie, kiedy odbywała się ona, przebywał w sowieckim areszcie.

Wrażen i doświadczeń, przygód, jakie spotkały ciocię, jak też innych kresowych Polaków, wystarczyłoby na książkę. Wujek Tolek,

jak go nazywaliśmy, odczuł bardzo boleśnie rozłąkę z żoną i córką. Nic nie wiedząc o nich, modlił się gorliwie, przyjmując każdego dnia komunię świętą, aby Bóg dopomógł im powrócić szczęśliwie do domu. Leontyna wróciła z Zulką w rok po zakończeniu wojny. Zmieniona i z piętnem przebywania na zesłaniu. Urodziła się im druga córka, Ewa, którą poznałem, kiedy była studentką. Pracuje od lat w stacji hodowli roślin, mieszka w domku rodzinnym na białostockich Dojlidach.

Ofiarą hitleryzmu był też stryj Halki, Leon Mierczyński, brat ojca Kazimierza, którego zamordowano na warszawskim Pawiaku. Działał w AK. Ożenił się w Brześciu krótko przed wybuchem wojny. Rodzina wiedziała o nim bardzo niewiele, gdy doszło do światowej zawieruchy. Wiadomość o jego śmierci dotarła do niej poprzez osobę, która w tym samym czasie co Leon była również w Pawiaku.

Mężczyzna ów opowiadał, iż widział Leona po kolejnym przesłuchaniu, które dla niego mogło okazać się ostatnim. Twarz miał okrutnie zmasakrowaną. Tak mocno, że nie był w stanie go rozpoznać, chociaż znał go dobrze. Gdyby nie ubranie, jakie miał na sobie, a które on znał, nawet nie wiedziałby, że to o niego chodzi.

Siostra Ireny Mierczyńskiej, Stanisława Orczykowska, żona legionisty, także trafiła na Syberię. Daleko poza Ural, skąd droga do Tobolska, jaką zapamiętała, była daleka i gdzie zima trwała osiem miesięcy. Ciocią Stasię poznałem wtedy, kiedy mieszkała z siostrą Ireną w szkole podstawowej w Krośnie, a później w Bogatyńskich, w obu przypadkach pod Ornetą, gdzie Mierczyńska uczyła pegeerowskie dzieci.

Była już emerytką. Wcześniej Stanisława mieszkała w Malborku. Wraz z siostrą Haliny, Zofią i jej mężem Stanisławem Drozdem, rodem z Boguchwały pod Rzeszowem. Stanisław, oficer WP, pierwotnie pełnił ważne funkcje na lotnisku pod Ornetą, zaś potem był zastępcą dowódcy lotniska w Malborku. Wiele lat później zmarł w Poznaniu, skończywszy uprzednio wyższe. Jarosław Drozd, syn Zuli i Staszka, którym opiekowały się Orczykowska i Mierczyńska, po skończeniu studiów i uzyskaniu tytułu doktora został dyplomatą. Był m.in. sekretarzem ambasady RP w Wiedniu, a obecnie jest konsulem RP w Sank Petersburgu.

Obie panie, Stanisława i Irena, namiętnie rozpamiętywały szczegóły dotyczące Grodna i Indury. Często wyklócały się, która ma rację. Gdyśmy mieszkali w Olsztynie, ciocia Stasia umarła i tutaj



została pogrzebana.

Jej mąż, Eugeniusz Orczykowski, osadnik legionowy, zaginął bez śladu - jak zresztą wielu patriotów - zaraz po wkroczeniu Sowietów



Siostry z domu Kunda. Z lewej: Stanisława Orczykowska z kotką „Burcią”, a z prawej - Irena Mierczyńska.

na Grodzieńszczyznę. Stało się to za sprawą Żydów, z którymi Orczykowski pozostawał w sporze, ponieważ rozwijał spółdzielczość, która konkurowała z nimi. Wydali go Sowietom, bądź - jak na to wiele wskazuje - zabili sami. W każdym razie rodzina, pomimo poszukiwań

nigdy nie dowiedziała się o miejscu jego pochówku.

Stanisława Orczykowska objęta została wywózką - w czasie siarczystej zimy 1940 r. Prowadziła na Syberii, będąc z zawodu nauczycielką, szkołę dla dzieci polskich zesłańców. Jednocześnie działała w Związku Patriotów Polskich, bo ta organizacja pozwalała cokolwiek załatwić w rosyjskich urzędach.

Po wojnie udało się jej wrócić do Polski. Lecz ilu spośród deportowanych na Syberię zginęło tam z głodu i mrozu, chorób? Wskutek wycieńczenia morderczą robotą? Trafili tam tylko dlatego, że byli Polakami i gdyby zostali w miejscu zamieszkania, mogliby - jak domniemywali Sowietom - sprzeciwić się sowietyzacji Polski.

### *Śmierć wzięta z pola*

Halina, moja żona, utraciła swoją wioskę na zawsze. Współczułem jej. Zwłaszcza, że ja mam ciągle ten luksus, że w każdej chwili,

Halina stała się w Jagodnicy ulubioną ciotką. Zjawiała się tutaj po 1960 roku, gdy dzieci Antoniego i Franciszki Maziejuków były jeszcze małe.

U góry: Na podwórku z Urszulą na rękach, której została później matką chrzestną. Obok Franciszka podnosząca w górę córkę Marysię i syn Zbigniew przy ojcu.

Poniżej: Halina z Marysią w dniu Pierwszej Komunii Świętej, kiedy ja zostałem jej ojcem chrzestnym.

Dalej: Halina nad rzeką Klukówką z Marysią i Zbyszkiem.

U dołu: Drugie pokolenie, jakie wyrosło na naszych oczach. Od lewej: Urszula i jej mąż Franciszek Dudek, Halina z Sylwią na rękach, córką Bronisława i Marianny Piwniczuk, a między nimi młode Dudkówne, Anetka (u dołu) i Milka.



kiedy tylko zapragnę tęskniąc za Podlasiem, mogę odwiedzić „swoją” Jagodnicę i rodzinną zagrodę.

Halka bardzo często bywa tam ze mną, gdyż polubiła Jagodnicę, uznając, że - jakby w rekompensacie za utraconą Domanowszczyznę - stała się ona również jej wsią. Poznała ludzi, jak oni ją, bliskie stały też dla niej jagodnickie problemy. Zrozumiała, że i tutaj, niestety, historia dała się ludziom we znaki.

Z niemiecką pedanterią i konsekwencją hitlerowski okupant prowadził w Generalnej Guberni swoje prawa i porządki, skierowane przeciwko Polakom. Ponieważ GG stać się miała zapleczem żywnościowym w okresie wojny ze Związkiem Radzieckim, okupant nie wyniszczał zbytnio rolnictwa. Rejestracją, dla porządku, objął konie, a w uszach świń i bydła, tak samo owiec i kóz, nakazał pozakładać kolczyki. Spisana została posiadłość rolna gospodarstw chłopskich, by na tej podstawie można było ustalać kontyngenty dostaw żywności.

Za darmo, obowiązkowo i na czas, należało dostarczać Niemcom nie tylko zwierzęta rzeźne, także jajka, mleko i zboże oraz ziemniaki, wełnę i grykę. Niektóre gospodarstwa, małe i mające pod dostatkiem rąk do pracy, jak na przykład sąsiadującego z nami Mariana Godlewskiego, zmuszono do uprawy tytoniu. Zapłata, jeżeli wolno tak określić, za dostarczane produkty rolne była wódka, która - wedle podstępnego zamiaru okupanta - miała posłużyć rozpijaniu Polaków.

Jednak pierwszą rzeczą, jaką dokonali hitlerowcy, było zarekwirowanie radioodbiorników, gdyż mogłyby pozwalać na wysłuchiwanie stacji radiowych zachodnioeuropejskich koalicjantów o rzeczywistym przebiegu działań wojennych i sytuacji w krajach podbitych. W całej wiosce, bo Jagodnica to wieś mała i uboga, był wówczas tylko jeden aparat radiowy, który trafił w ręce faszystów. Zalecili oni ponadto likwidację stad gołębi pocztowych, obawiając się niebezpieczeństwa, iż byłyby używane do przenoszenia utajnionych wiadomości na duże odległości. Nasz ojciec trzymał te ptaki i był ich wielkim zwolennikiem. Nakaz uśmiercania gołębi przyjął z głębokim żalem i oburzeniem.

Pewnego dnia ojciec nie wypuścił ptaków z gołębnika. Złorzeczając i płacząc - poukręcał wszystkim główki. Zabronił nam surowo, byśmy byli świadkami tego wymuszonego okrucieństwa. Ale nie dało się uniknąć widoku martwych gołębi. Mama ugotowała na nich rosół,

którego ojciec nawet nie wziął do ust. Sama też zresztą postąpiła podobnie, a my - ich synowie - nie byliśmy inni. Nikt nie tknął tej strawy. Stała się ona z konieczności smaczką karmą dla psa.

Załamany przegraną wojną, wściekły na zachowanie okupanta, ojciec poczuł się bezsilny i bezradny. Wyciszenie i ukojenie, jak to chłop, znajdował w robocie. Był zresztą taki, iż lubił pracować niemalże do upadłego.

Niemcy stawali się coraz bardziej bezczelni. Po ustaniu dużych mrozów, panujących tej zimy, zaczęło ich na Podlasiu przybywać. Dwóch oficerów wprowadziło się do naszej chałupy, zajmując wyłącznie dla siebie pokój gościnny. Mamie nakazali surowo, aby im gotowała obiady i obsługiwała przy stole, przestrzegając ustalonych godzin. Nam, dzieciakom, nie wolno było tam nawet zaglądać.

Na niebie pojawiły się dwukadłubowe samoloty obserwacyjne, dotąd całkowicie tu obce, które nadlatywały w stronę Bugu, będącego wówczas rzeką graniczną między Rzeszą a Związkiem Radzieckim. Na bialskim lotnisku, przybywało samolotów. Niemcy odbudowali zniszczenia, których wcześniej sami dokonali. Samoloty stanęły także na połowym lotnisku za

Leśną Podlaską. Ludzie zmuszeni zostali do odrabiania szarwarków na rzecz okupanta, dając mu darmową siłę roboczą i konie pociągowe, a często także kamienie. Wszędzie, gdzie zadania wyznaczali Niemcy, roboty przebiegały sprawnie i szybko. Na tej zasadzie pod lasem leśniańskim stanęły baraki wojskowe.

Następnego roku, gdy drogi już obeschły na dobre, a były one tu-



*Spoza tych przydrożnych lip, które podczas wojny rosły w kształcie krzaków, chłopcy - wśród nich także ja - przyglądali się z zaciekawieniem latem 1941 roku kolumnom hitlerowskich wojsk, nieustannie przejeżdżających bialskim gościńcem na wschód. W tle pofolwarczny fragment wsi Jagodnica.*

taj z reguły gruntowe, nasilił się na nich ruch samochodów. Przewożąc żołnierzy i sprzęt wojskowy, nieustannie ciągnęły na wschód - bliżej granicy - długie kolumny samochodów. Pod koniec maja i na początku czerwca 1941 roku warczały codziennie motory na bialskim gościńcu. Unosił się nad nim kurz, łoskot i warkot silników, oraz swąd spalin.

Trudno pojąć, jak sowieci - bo tak przecież się tłumaczyli - mogli przegapić szykującą się do wojny hitlerowską maszynę wojskową?



*Główne wejście do byłej twierdzy w Brześciu nad Bugiem, której załoga w czerwcu 1941 r. stawiała zacięty opór niemieckiej armii faszystowskiej. Na górnym froncie - co po 1990 r. utrwalilem na zdjęciu - widać jeszcze ślady po rozbitym orle polskim z koroną.*

Lasy sąsiadujące z sowiecką Rosją pękały od nagromadzonego wojska i ciężkiego sprzętu bojowego. Przygotowania do inwazji, były więc praktycznie jawne.

Siedząc za krzakami bzu i lip przydrożnych, albo leżąc w redlinach ziemniaków, z napiętą ciekawością, podnieceni, patrzyliśmy - my chłopcy - na sunące drogą samochody. A były to nie tylko samochody załadowane żołnierzami, ale także polowe łaźnie na kółkach, cysterny, sanitarki, jakieś duże samochody na wielkich kołach... Nie mieliśmy wyobraźni ani w jaki sposób zostaną użyte, ani gdzie się zatrzymają.

Niemcy zabronili Polakom zbliżać się do tej drogi, Starsi spoglądali jedynie ukradkiem i z daleka poprzez szczeliny stodoł, pustych zwykle o tej porze, jak też zza sztachet płotów, zaś chłopaki, w tym również ja, nie mogąc oprzeć się ciekawości - podczołgiwali się w redlinach jak najbliżej rozgrywającego się na drodze tumultu.

Przeraził nas okropnie, na szczęście chybiony, wystrzał niemieckiego żołnierza w naszą stronę, co dowodzi, iż nie byliśmy wcale - jak się nam wydawało - ukryci. Starsi mieszkańcy wsi byli pewni, że ta hitlerowska buta i siła zetrze wkrótce się z



sowiecką Rosją. Mówili: Zbliża się oto dzień gdy Hitler i Stalin wezmą się za łby!

Stało się to, jak wiadomo, 22 czerwca 1941 roku. Z daleka, bo z Jagodnicy do Brześcia w prostej linii jest raptem 40 km, byliśmy świadkami tej napaści. Nad naszą wioską przelatywały z łoskotem niemieckie samoloty szturmowe, docierało do nas głucho dudnienie artyleryjskie i od wybuchów bomb. Podczas zdobywania twierdzy brzeskiej wybuchy nie milkły dniem i nocą. Nad twierdzą pojawiały się nocą - zawieszona na niebie - jaskrawe flary, pozwalające hitlerowcom celnie atakować mury twierdzy. Na podwórkach w Jagodnicy - podkreślali to ludzie, potakując głowami - było wtedy tak widno, że z łatwością można by nawlekać igłę. Wydawało się nam, bo powstało takie złudzenie, że dobiega stamtąd stłumiony jęk ludzki. Moi rodzice odnosili się ze współczuciem do tego, co przeżywała wówczas brzeska ludność, gdyż mieli tam znajomych i wiedzieli, iż wśród mieszkańców miasta jest wielu Polaków.

Gdy wojska faszystowskie wdzierały się w terytorium Związku Radzieckiego, na Podlasie zaczęły napływać dziesiątki tysięcy sowieckich jeńców. Ludzi zabiedzonych i wycieńczonych, brudnych i źle ubranych, zarośniętych, którzy w niczym nie przypominali żołnierzy wziętych do niewoli. Osoby młode i starsze, także młokosy, by nie powiedzieć dzieci, już jednak z wyraźnym piętnem trudnego życia. Ludzi przerażonych i upokorzonych.

Najbliższy od Jagodnicy obóz jeniecki urządzili Niemcy w Kałiłowie, wsi sąsiadującej z Białą Podlaską, odległy od nas o niewiele kilometrów. W pobliżu tego miasta podobnych obozów było kilka. Pole ogrodzone kolczastym drutem, z wartowniami na rogach, jakby „ambonami” do polowania na dzikie zwierzęta, gdzie stały karabiny maszynowe. Mnóstwo żołnierzy zapędzonych w niewolę. Koczowali stłoczeni pod gołym niebem. Zdani na chłód i mróz, deszcz i śnieg, zanim nie zostali wepchani do ziemianek. I dlatego śmiertelność, była wielka, a każda ucieczka kończyła się masakrą.

Zdesperowani, traktowani nieludzko, dziesiątkowani chorobami i kulami, wycieńczeni wskutek głodu i tyfusu - umierali masowo. Pozbawieni jakiegokolwiek nadziei, rzucali się często na druty, decydując



się na ucieczkę i w tym upatrując szansę na wyjście poza obóz. Płacili za to śmiercią. A jednak, pomimo to, niektórym udawało się zbiec.

Pomimo przykrych wspomnień i wrażeń, jakie Rosjanie pozostawili po sobie na Podlasiu, zarówno w roku 1920, jak i 1939, ludność tutejsza - po ludzku - współczuła jeńcom. Odróżniała propagandę jednych i drugich, sowieków i hitlerowców, od rzeczywistej prawdy. Kadre od zwykłych żołnierzy, którzy wcale nie marzyli o tej wojnie, bo zostali wciągnięci w nią wbrew swej woli. Zabrakło im zwyczajnej motywacji do obrony kraju, który okazał się dla nich macochą, toteż zrazu - pomijając kardynalne błędy dowództwa - szli masowo do niewoli, licząc iż „jakoś to będzie”. I tak popadli z rąk jednego satrapy w ręce drugiego.

Za każdym razem, kiedy dochodziło do masowej ucieczki, jeńców, myśmy o tym wiedzieli, ponieważ niemieccy żołnierze, uzbrojeni po zęby, spasieni i ciepło ubrani - zapędzali się z psami także na nasze pola i łąki, do naszych lasów. Jeńców tropili niczym dziką zwierzynę, zabijając złapanych na miejscu. Niemal każdego dnia ginęło ich wielu.

Pomimo, że okupant karał surowo i bezwzględnie za takie zachowanie, uciekinierzy uzyskiwali pomoc w polskich domach. Nie zawsze i nie wszędzie, ale jednak Niemcy nie uznawali ludzkich gestów. Żądali od Polaków, żeby wyłapywali lub ujawniali jeńców, podpowiadając gdzie się ukrywają.

Jesień 1941 roku była chłodna i deszczowa, potem obfitowała w duże śniegi. Mama, tradycyjnie, zajmowała się obróbką lnu, przędła nicie, pracowała przy krosnach. Ojciec, zanim mróz nie ściał gruntu, kończył zimową orkę na terebelskich „poletkach”. Wyprawiał się tam wczesnym rankiem, powracał zaś wtedy, kiedy panowały już ciemności, gdyż dni były krótkie. Późne powroty z pola były zresztą w jego zwyczaju. Jeżeli powrót opóźniał się za bardzo, wchodziłem z Antkiem na płot, aby stamtąd nasłuchiwać turkotu furmanki czy też głosu ojca, poganiającego konia. Zналиśmy dobrze skrzypienie naszego żeleźniaka i głośne nawoływania ojca, który bata używał rzadko, za to słów nie szczędził.

Tego wieczora ojciec wrócił z pola wyjątkowo późno. Niepokojąc się o niego, gdyż czasy były niespokojne, mama z ulgą przyjęła skrzy-

pienie furmanki, wtaczającej się z drogi na podwórko. Noc była ciemna i gęsta, dżdżysta. Nawet z bliska niełatwo było rozpoznać kształty. Ojciec, jak zwykle, najpierw wyprzągł konia z wozu, prowadząc go do stajni, napił wodą i zadał mu obrok do koryta, a dopiero później wszedł do mieszkania.

Tym razem nie był sam. Wszedł do kuchni w towarzystwie dwóch obcych mężczyzn, wychudłych i obszarpanych, zabiedzonych i załężnionych. Kaszlących. Byli to właśnie sowieccy jeńcy. Ze sobą i moimi rodzicami, rozmawiali po rosyjsku, stępnym głosem. Antek i ja, bo Janek już spał, siedzieliśmy cichutko wbici w kąt kuchni, nie domyślając się nawet o co chodzi. Mama ściemniła lampę, przykręcając knot, zaciągnęła w oknach zasłonki, zabezpieczając się przed podglądaniem z zewnątrz.

Ojciec opowiedział mamie, jak doszło do tego, że tych ludzi zabrał z pola. Przyszli nieoczekiwanie, kiedy jeszcze orał na trzecim „poletku”; tym najbardziej odległym od Jagodnicy. Zjawili się zaszczuci i wystraszeni, skomląc o pomoc. Nadeszli od olchowych zarośli przy Ciciborze Wielkim, znanych ojcu z dzieciństwa, dokąd dotarli po ucieczce z obozu poprzedniej nocy.

Błagali ojca o żywność. A jemu została już tylko kromka chleba, którą im oddał. Prosilili, żeby odwiózł ich jak najdalej od tego miejsca, gdyż inaczej przyjdą Niemcy z psami, wytropią ich i pozabijają. Uciekliby sami jak najdalej od miasta, lecz nie mają sił. Tłumaczyli ojcu, że tęsknią za rodziną i bardzo chcieliby ocalić siebie, dlatego gotowi są wiele ryzykować. Udało się im szczęśliwie wydostać zza drutów i zrobić, co tylko będzie w ich mocy, żeby już tam nie powrócić, szukając gdzie indziej możliwości przetrwania wojny.

Spałaszowali po pajdzie chleba. Połykali go tak, jakby stanowił szczególny przysmak. Suchy chleb popili świeżym mlekiem. Błagali o więcej. Ojciec nakazał, żeby jedli mało i powoli, a poczekał na gotowaną strawę, bo inaczej nabawią się dolegliwości żołądkowych. A oni nie ustępowali, naciskając o dodatkowy chleb. Ojciec był nieugięty. Za godzinę czy dwie - dowodził - dostaną więcej i zjedzą ciepłą strawę. Mama już naobierała już duży gar kartofli i wstawiła do pieca drugi gar z burakami, by ugotować barszcz zabieleny mlekiem. Kiedy zajmowała się kuchnią, oni przysnęli już na dobre, ogrzani i od-

prężeni.

Przypominam sobie, że ojciec przyniósł ze stodoły dwa snopy słomy, którą rozesał na klepisku w kuchni, by jeńcy mogli na tym legowisku przespać się po ludzku, chociażby kilka godzin. Na dłużej nie odważył się ich zatrzymywać, obawiając się dociekliwości jednego z mieszkańców kolonii, który nieustannie węszył i z chęci podlizania się Niemcom gotów byłby donieść im o przetrzymywaniu sowieckich uciekinierów.

Mama uszyła naprędce w rękach dwie parciane torby z długimi trokami, włożyła do nich po bochenku chleba i kawałku grubej słoniny, którą wyjęła z bodni, gdzie leżała zasolona. Odszukała stare ojcowskie ubrania i swetry, koszule i kalessony, nakłaniając tamtych, aby pozakładali je na siebie. To mocno odmieniło ich wygląd. Przerzuciwszy przez ramiona worki - na prośbę ojca wyszli bez ociągania się w nieznaną.

Opuścili naszą chałupę bardzo wczesnym rankiem, w zupełnych ciemnościach, aby nikt nie zdołał ich dostrzec. Z ojcem w roli przewodnika. Poprzez rzekę, sobie tylko znanymi przejściami, zaprowadził ich ojciec do małego lasu nazywanego „Kuranowem”. Wytłumaczył, że mogą tutaj - zaszyjni w zaroślach - spędzić cały dzień i następną nocą, omijając Witulin, w którym stacjonowali Niemcy, przejść - wykorzystując puste pola, zarośla i zagajniki - do dużego lasu „Floria” poza Worgule, w którym - o czym ojciec już wiedział - ukrywają się radzieccy zbiegowie.

W międzyczasie, zanim ojciec powrócił, mama włożyła do pieca pozostawione przez jeńców łachmany. Zapewne nie domyślała się nawet konsekwencji, jakie wynikną z zatroskania o tych ludzi. Ojciec też albo nie był świadom zagrożenia, albo wkalkulował ryzyko w świadome postępowanie. W rodzinie w ogóle nie mówiło się o tym. Być może rozmowy takie, z wzajemnymi pretensjami, odbywały się poza nami. Ojciec, jak się wydaje, podał uciekinierom pomocną dłoń przede wszystkim z pobudek dobrego serca.

Tymczasem zagrożenie ujawniło się już tego samego dnia. Paląc w piecu słomiane zmiotki, pozostałe po uporządkowaniu jenieckiego legowiska, mama usłyszała dziwne trzaskanie w piecu. Zorientowała się wnet, że w ogniu pękają tak wszy opite ludzką krwią. Jeńcy pozostawili

stawili ich po sobie bardzo wiele. Z trzaskiem pękały one również pod podeszwami drewniaków, jakie zamiast skórzanych butów mieliśmy na nogach. A może jednak - łudzili się rodzice - ruscy nie zawlekli tyfusu?

Złudzenie okazało się krótkotrwałe. Już po upływie kilku dni choroba zmogła Janka. Zaraz po nim legła w łóżku mama, następny byłem ja, a potem kolej przyszła na Antka. Na końcu osłabł ojciec. Kiedy już byliśmy mocno chorzy, tracąc chwilami świadomość, ojczulek nasz - wiedziony siłą woli czy może dlatego, że zdał sobie sprawę z konsekwencji swego postępowania i miał do siebie pretensję? - kończył ogacanie na zimę chałupy, doglądał zwierząt, gotował nam posiłki i do ust podawał wodę.

Na strychu domu, przykrytego ciężką cementową dachówką, wisiała uczepiona do bantu suszona szynka, sporządzona przez mamę na wzór kińdziuka, wyopatroszona z kości, którą ojciec - nie wiem dlaczego, ale zapamiętałem tę chwilę - strugał nożem na wióry, abyśmy ją jedli. Zapiliśmy kawą zbożową. Były to ostatnie sceny, jakie zapamiętałem, z ojcem w roli głównej. A było to możliwe tylko dlatego, że to właśnie ja, z całej rodziny, najmniej dotkliwie znosiłem tę chorobę.



Zdani byliśmy na łaskę Boga. Niemcy panicznie bali się tyfusu, a wiedząc, że zawlec musieli go do nas

*Ciocia Paulina Misiejuk, moja matka chrzestna, która umarła mając 96 lat, z Haliną Maziejuk*

jeńcy, zabronili lekarzom przychodzić z pomocą. Zakaz ten dotyczył także Pawła Jakimiuka, weterynarza, który mieszkał w Jagodnicy. Była to - w mniemaniu hitlerowców - kara za niesubordynację i zabronioną opiekę nad ich wrogiem. I dlatego także, aby „gniazda” tyfusu były izolowane. W tym samym czasie w Jagodnicy chorowały na tyfus dwie

rodziny. W obu przypadkach zakończyło się to tragicznie.

Surowy zakaz udzielania pomocy chorującym rodzinom miał także Czesław Wadowski, inny mieszkaniec tej wsi, który w okresie okupacji, zanim za przynależność do partyzancki nie został aresztowany i osadzony w obozie zagłady, pełnił w okresie okupacji funkcję powiatowego epidemiologa. Sąsiedzi, a nawet krewni, stronili od domów porażonych tyfusem, obawiając się panicznie zawleczenia go do swoich rodzin. Czasem przełamywali uzasadniony strach.

Zagłędała do nas, wykazując zrozumiałą ostrożność, ciotka Paulina Misiejuk, siostra mamy i moja chrzestna, która mieszkała na kolonii w tej samej wiosce. Przychodziła sąsiadka Emilia Godlewska, żona sołtysa, podając nam ugotowaną u siebie ciepłą strawę i zaopatrując nas w wodę do picia. Pomimo kilkunastu kilometrów dojeżdżała furmanką ciotka ze Swór, Bronisława Werbińska, kobieta rzadkiej dobroci, życzliwości i oddania, bardzo rodzinna, która w tych trudnych czasach wykazała się dużą odwagą i poświęceniem.

Jej pomoc odczuwały także zwierzęta, które porykiwaniem, rżeniem i kwiczeniem oznajmiały o głodzie. Ciotka Bronia, którą nie wiedzieć dlaczego nazywaliśmy żartobliwie „Hapatułą”, była tak wrażliwa na tę niedolę, że nie była w stanie powstrzymać się przed trudami wyjazdu do Jagodnicy.

Pies urwał się z łańcucha i gdzieś się zapodział. Koń i krowy, gdyż obornika uzbierało się dużo, którego ojciec nie zdążył usunąć na zewnątrz, by zimą wywieźć saniami w pole, „na dybkach” stając sięgały dachu - pożerały z głodu strzechę i ocieplające dach snopy słomy. Krowy potraciły mleko.

Kto ulitował się nad głodnymi zwierzętami, ten przynosił im ze stodoły siano i kartofle z piwnicy oraz dostarczał wodę. Czyniły to zwykle wspomniana Emilia Godlewska i Bronisława Werbińska. Zwierzęta, wychudłe tak bardzo, że stykały się im boki, zniosły z trudem chorobę swoich gospodarzy.

Śmierć zabrała nam ojca Franciszka. Chociaż przebywał w rodzinie, zmarł samotnie, w ciszy i gorączce, gdyśmy wszyscy leżeli pokodem. Kto pierwszy dostrzegł, co się stało i kiedy, tego nie udało się dociec. Ojczulek leżał już martwy, a jego syn, mój brat, Antoni wciąż obejmował go w pół rękami, nie mając jakiegokolwiek świadomości

trwającego dramatu. Nie wiem, bo i skąd, kiedy dowiedziała się o tym fakcie mama i jak zareagowała. W bardzo złym stanie był również młodszy brat Janek.

- A co ty zapamiętałeś? - długo potem dopytywał Antek, wiedząc, iż znosiłem tę chorobę stosunkowo lepiej od pozostałych członków rodziny.

- Zapamiętałem - mówiłem - okoliczności, w jakich odbyło się wyprowadzanie zwłok ojca na cmentarz. - Gzy płakałem? Nie pamiętam. Wiem natomiast, że czułem się tak, jak byłbym we śnie... Strate uświadomiłem sobie dopiero później.

Wszystko odbyło się szybko i bez ceremonii: także bez udziału księdza. Któż miał żegnać ojca, gdyśmy sami walczyli o życie, skoro obyło się bez tradycyjnego wyprowadzenia zmarłego? Zapamiętałem dobrze obecność kilku mężczyzn, w tym Władysława Szymoniuka, Edwarda Polaka, Mariana Godlewskiego i Stanisława Misiejuka, mego wujka, którzy wzięli udział w pogrzebie.

Dla kurażu czy też uniknięcia zakażenia, a dzień był mroźny, mężczyźni, zanim zajęli się zwłokami, sięgnęli pod stół, gdzie znajdowała się bateria litrowych wódek, jakie ojciec otrzymał w formie opłaty za dostarczony okupantowi kontyngent. Stół stał w gościnnym pokoju, gdzieśmy leżeli półżywi, naprzeciw drzwi do kuchni, a na nim stała gipsowa figurka Matki Boskiej. Na ścianach wisiały święte obrazy, zaś nad drzwiami wisiał krucyfiks. Pamiętam, że korki butelek pokrywał biały lak.

Mężczyźni pili wódkę stojąc, ze szklanek. Pospiesznie, bez gadulstwa, każdy ile chciał. I bez zagryzania czymkolwiek. Pili, strzępując na podłogę resztkę wódki.

Przesunęli Antka na brzeg łóżka, wyciągnęli spod niego lnianą płachtę w kratkę, a ojca - wraz z tą płachtą, jak leżał - włożyli do trumny ustawionej na taboretach. Zbił ją z desek Władysław Szymoniuk. Deski leżakowały na strychu domu i miały posłużyć do wyrobu mebli, czym zająłby się właśnie - jak dotychczas - Szymoniuk.

Zapamiętałem moment wkładania ojca do trumny, zakładania na nią wieka i przybijania go gwoździami. I też to, jak mężczyźni wynosili trumnę ze zwłokami na podwórko, gdzie stała furmanka z zaprzężonym koniem, jaką powędrował on - pozbawiony towarzystwa rodziny



- na leśniański cmentarz. Wtedy, jak się wydaje, jeszcze nie byłem w stanie zdobyć się na jakąś refleksję, ani na to, żeby zdać sobie sprawę z tego, co oznaczać będzie dla nas przedwczesna śmierć ojca. Liczył wówczas zaledwie trochę ponad 40 lat. Na dobre zamroczył mnie tyfus.

Stało się to 18 listopada 1941 roku. Panował wtedy tęgi mróz, który głęboko skuł ziemię. Grabarz z trudem wyrąbał w niej, jak mówili potem ludzie, dół pod mogiłę. Zakonnik poświęcił trumnę zanim spuszczone została do grobu. Przykryły ją bryły zlodowaciałej ziemi. Nie było wieńców, ani przemówień. Ktoś w zmarznięty grunt wbił krzyż sosnowy.

Zanim mama zawiozła nas na mogiłę ojca, aby ją nam pokazać i zmówić wspólnie przy niej modlitwę, upłynęło wiele czasu. Nawet kiedy ustąpiła już choroba, musiało jeszcze potrwać nim doszliśmy do siebie. Nową sytuację w rodzinie najmocniej odczuła mama, na barki której, a była o dziesięć lat młodsza od ojca, spadły nieoczekiwanie trudne i odpowiedzialne obowiązki.



*Portret mego ojca Franciszka Maziejuka (w środku), jaki na zlecenie mamy wykonał wędrowny portrecista na podstawie zachowanej fotografii*

Chorobę odczuł najbardziej Janek. Wyszedł z tyfusu, mając trochę ponad trzy lata, w bardzo złym stanie, Był powykręcany, jakby przez reumatyzm, wychudły i blady, a do tego się jąkał, Byli tacy, którzy - widząc go w takim stanie- wróżyli mu rychłą śmierć. Bóg chciał jednak inaczej. Chwała Mu za to, ponieważ pozostawił go przy życiu i Janek wyrósł na mężczyznę tęgiego, wytrwałego i sprawnego. Stał się człowiekiem życzliwym, uspołecznionym, rzetelnym i powszechnie cenionym. Później został uznanym fotoreporterem prasowym i fotografikiem. Jego droga do pozycji tej była długa i kręta, obfitowała w różne zdarzenia i przygody.

Twarz ojca zacierała się w mojej wyobraźni w miarę upływu czasu. Wyblakła z czasem tak bardzo, że już nie byłbym w stanie jej rozpoznać, gdyby nie portret, jaki zaraz po wojnie mama obstalowała u wędrownego portrecisty. Na podstawie zdjęcia z okresu pobytu w wojsku sporządził on klasyczne momidło, które ciągle sobie cenię i obdarzam dużym sentymentem. Portret ów wisi na ścianie mego domu. Nic, że to momidło nieznanego autora, bo też stale przypomina ojca, a w zestawieniu z innymi obrazami znanych twórców wcale nie wypada źle.

### *Był najlepszy*

Nagła śmierć ojca zaciążyła na losie całej naszej rodziny, narażając ją na kłopoty i cierpienia. W trudnym położeniu postawiła zwłaszcza mamę i Antka. Z konieczności przecież, nie mając wyboru, na nich właśnie spadł obowiązek prowadzenia gospodarstwa. Lecz cóż takiego mógł zdziałać dziesięcioletni chłopak? Nawet - jeśli był wyrosnięty, silny nad wiek i sprytny, zdrowy, to przecież ciągle jeszcze był to dzieciak!

Za wcześnie stał się gospodarzem. Przeplacił to zdrowiem i nerwami, które zdarł podejmując się zadań ponad wiek i umiejętności. Zapłacił za to utratą szans rozwoju osobistego. Bo gdyby nie przedwczesna śmierć ojca, Antek zaszedłby daleko i wysoko. Lecz nie dało się połączyć nauki z pracą w gospodarstwie. Antek rozstał się dlatego ze szkołą w Witulinie, gdy ukończył zaledwie cztery klasy.

Stał się gospodarzem mając zaledwie 14 lat. Polubił jednak tę pracę. Chociaż był pozbawiony wiedzy – podpatrywał innych, dopytywał, co i jak, czego nie wiedział – tego dociekał. A że był bardzo ambitny i otwarty na doświadczenia – przy tym wytrzymały – czuł się w tej roli coraz lepiej i pewniej. Po wielu latach, już po śmierci mamy, kiedy gospodarował z żoną Franciszką, równie pracowitą jak on, Antoni stał się najlepszym rolnikiem w Jagodnicy.

Uważałem, że to on był wśród swoich braci najbardziej uzdolniony. I gdyby los potoczył się dlań łaskawie, właśnie Antek wspiął-



*Antoni Maziejuk, gdy jeszcze był kawalerem, zaś los sprawił, iż został w bardzo młodym wieku gospodarzem, na tle ówczesnego płotu i rodzinnej chaty*

by się najwyżej. Być może z uwagi na swe zdolności, wobec mnie był mało wyrozumiały, ale tylko w dzieciństwie, żądając, abym dorównywał mu w robocie, choć byłem młodszy i dużo słabszy. Lecz ja i tak brałem na siebie ciężary trudne – dosłownie i w przenośni – do udźwignięcia.

Inna sprawa, że nikt z ocalałej rodziny, a dotyczy to szczególnie mamy, nie oszczędzał się tak, jakby chciał i należało. To tak jakby śmierć wyzwoliła przeciwko nam ukryte złe moce. Które dały się we znaki zwłaszcza mamie i Antkowi. Siłą charakteru i woli – z desperacją i odwagą – przeciwstawiali się, jak mogli i potrafili, przeciwnościom i trudnościom.

Ten zły los /a może nie?/ zesłał nam bolszewika „Miszkę”. Michał Mykytiuk, jeden z dwóch radziec-

kich jeńców, jacy zawlekli do nas tyfus, okazał się jednak postacią nietuzinkową. Ukraińiec z pochodzenia, z zawodu inżynier metalurg. Zanim poszedł na front walczyć z faszystami, pracował jako inżynier w jednej z hut na Uralu.

Znał język niemiecki, ukrywając skrzętnie tę umiejętność. „Miszka” wraz z „Griszą”, który - jak się okazało - też ocalał, przedostali się - zgodnie z sugestią ojca - do lasu „Floria”. Tam zdomowili się na dłuższy okres. Wykopali w ziemi kryjówkę, która pozwalała im w miarę bezpiecznie przetrzymywać mrozy i śnieżyce, chłody i deszcze. Zwłaszcza „Miszka” wykazał się odwagą i sprytem, przebiegłością, a jak było trzeba - także bezwzględnością.

Sposobem zdobyli broń, aby wraz z trójką takich jak oni uciekinierów obozowych zmontować grupę partyzancko-bandyczką. Na czele stanął oczywiście „Miszka”.

Z czasem jeńcy zaczęli jednak dziczeć i przekształcać się w mścicieli i rabusiów. Od prób przeszli do grózb, zastraszań bronią, niekiedy również ogniem. Wymuszali i kradli żywność. Chcąc zapewnić sobie spokój - wzorem tchórzy zagrodowych, które nie atakują kur należących do gospodarza - wyprawiali się na łupy gdzieś dalej, by uniknąć drażnienia miejscowej ludności. Okradali niemieckie magazyny i sklepy, dwory, które okupant przyporządkował sobie.

Jeżeli było to możliwe, unikali zwady z Niemcami. Nie podejmowali zbrojnej walki z nimi, aby chronić Polaków przed ich zemstą. A hitlerowcy chętnie uciekali się do odwetu. Dopóki uciekinierzy byli niegroźni i unikali podstępu, oszczędzając Polaków, odczuwali ich pobłażanie. Sytuacja zmieniła się wtedy, kiedy w grę weszła broń, stosowana także dla celów rabunkowych, a gdy dochodziło do walki, wobec wroga stawali się bezwzględni, a nawet okrutni. A potyczek, większych i mniejszych, nie dało się uniknąć.

„Miszka” był zbyt sprytny i ostrożny, przebiegły, aby dać się wciągnąć w pułapkę - czy też wdać się w bitwę bez szans. Unikał podstępu. Niemcy niechętnie wdzierali się natomiast w leśną głuszę. Na wyprawę przeciwko „ruskim” decydowali się wyłącznie wtedy, kiedy byli pewni swej przewagi i wsparcia broni ciężkiej oraz samolotów. W innej sytuacji wykazywali się ostrożnością i opieszałością.

Nie byłem w stanie przesądzić dlaczego „Miszka” pospieszył nam z pomocą. Czy z poczucia wdzięczności za uzyskaną pomoc? A może w skutek żalu po śmierci ojca, do której się przyczynił? Czy też z innego powodu? Mama nie mówiła nam o wszystkim. W konsekwencji doprowadziło to jednak do następnego dramatu.

Pojawiał się na krótko i od razu zabierał się do ciężkich zajęć. Zimą machał cepem, młóćąc zboże, jesienią wyrzucał z chlewa obornik i wywoził go na pole. Latem kosił trawę, ciął kosą zboże. Pochodził ze wsi, więc znał te zajęcia. Przybywał do nas zwykle wieczorem, znikał zaś następnej nocy. Bywało, że w polu czy też na łące, daleko od domostw, pracował również nocą.

Potrafił przemieniać się w wilka w owczej skórce. Znał tajemnice, których nie ujawniał. Przebierał się za chłopą. Udawał dalekiego krewniaka, zajętego pomocą wdowie, albo parobka wynajętego do roboty. Swe role odgrywał znakomicie. Z łatwością nawiązywał kontakty z sąsiadami i bliskimi. Mieszkańcy Jagodnicy nie byli zbyt wścibscy, ani nadmiernie ostrożni czy też strachliwi, bądź usłużni wobec okupanta. Woleli słuchać i milczeć, niż gadać niepotrzebnie.

„Miszka” posiadał etapowe kryjówki w okolicznych wioskach, by w razie konieczności można było gdzie skryć się i przeczekać trudne chwile. Taką „metą” było m.in. nasze gospodarstwo. Lecz on nie zwykł nadstawiać niepotrzebnie karku. Wygrywał z wrogiem sprytem, odwagą, brawurą i podstępem. Czasem wkładał na plecy mundur niemieckiego oficera, aby poruszać się w nim w miarę bezpiecznie. Udawał przygłupa albo włóczęgę. Zawsze miał jednak ukrytą broń.

Pod koniec okupacji posłużył się także mną i bratem. Zwoziliśmy wówczas wysuszony torf z Terebeli do Jagodnicy. Na torfowisku podszedł nas znienacka, ale tak, aby nas nie przestraszyć. Jakby w celu udzielenia nam pomocy, zaś w rzeczywistości chodziło mu o to, żebyśmy przewieźli broń, jaką ukrył w torfie. Karabin i granaty. Lecz myśmy dowiedzieli się o tym dopiero na swoim podwórku.

Idąc krótszą drogą, poprzez łąki, Antek pierwszy wrócił do domu, ja - nie wiedząc nic o grożącym niebezpieczeństwie - wracałem furą poprzez Terebelę. „Miszka” dyskretnie obserwował mnie i ochraniał, gotów w razie potrzeby sięgnąć po broń.

### *Przerażające widoki*

Do dalszej opowieści o „Miszce” powrócę później. Teraz napiszę trochę o sobie.

Naukę szkolną rozpocząłem w 1943 roku. W Generalnej Guberni Polacy mogli kończyć jedynie IV klasy szkoły podstawowej. Uczyłem się w Witulinie. Zajęcia odbywały się przed południem i po południu w drewnianym budynku, dotąd stojącym, mającym jedną tylko izbą lekcyjną. Na raz uczyły się dwie klasy. Kiedy nauczyciel prowadził nauczanie głośne z jedną klasą, uczniowie drugiej mieli zlecone zajęcia ciche. Polegały głównie na dokonywaniu prostych rachunków albo wpisywaniu zadań do zeszytów. Czasem, choć zdarzało się to rzadko, wypadały rysunki.



*Zabytkowy pałac modrzewiowy rodu Wężyków w Witulinie, spalony w 1943 r. przez „Miszkę”, ukrywającego się jeńca sowieckiego z obozu niemieckiego w Kaliłowie. Obok - widoczna w prawym rogu - podworska oficyna, zamieniona po wojnie na szkołę, w której ukończyłem szkołę podstawową.*

Była to nauka w tak zwanych klasach łączonych. Praktykowana zarówno wcześniej, jak i podczas okupacji oraz po wojnie. Zmieniło się to wtedy, kiedy szkoła w Witulinie otrzymała do swej dyspozycji, odległy o kilometr od starego, drugi budynek. Była to podworska oficyna, nazywana też kuchnią, stojąca obok nieistniejącego już sędziwego



go pałacu rodowego Wężyków. Po zabytkowym pałacu, zbudowanym z modrzewiowego drewna na wysokiej podmurówce, została kupa gruzów i zgliszcze. Ich widok intrygował bardzo moją wyobraźnię. Oficyna zamieniona została na dwie sale lekcyjne, dość obszerne, które ogrzewały piece kaflowe.

Przed wojną salą rezerwową szkoły powszechnej w Witulinie była izba mieszcząca się w starej chałupie Orluków. Stała ona po drugiej stronie ulicy. Naprzeciw szkoły zasadniczej też zresztą drewnianej. Już mało kto pamięta o tej małej i ponurej salce, zaś po dawnej chałupie nie pozostał nawet ślad. Za nią, uwzględniając wydłużone podwórko, stała równie leciwa, jeżeli nie bardziej, stodołka, skąd łatwo było przedostać się do ogrodu i sadu, a następnie na łąkę prowadzącą ku rzece.

W tej właśnie zagrodzie podczas okupacji odbywało się nauczanie o tajnym charakterze. Z nauki korzystali starsi uczniowie, ale w części też młodszy. Wśród nich byłem też ja. Od oficjalnego nauczania różniło się ono programem. Poza rachunkami, pisaniem i czytaniem, uwzględniane były także elementy o historii, geografii i wiedzy o Polsce.

Stodołkę opuszczaliśmy ukradkiem, pojedynczo, unikając zwracania na siebie uwagi. Zajęcia odbywały się wtedy, kiedy było ciepło. W sytuacjach trudnych, gdy było ciemno albo kiedy padał deszcz, w drogę powrotną do domu wychodziliśmy pod opieką nauczyciela Ignacego Goska, który dbał o nasze bezpieczeństwo. Jeżeli wylała rzeka Klukówka, co zdarzało się nierzadko, aż woda przelewała się grząską drogą przypominającą groblę, troskliwy nauczyciel odprowadzał nas dyskretnie aż na drugi brzeg rzeki, strzegąc nas także na dziurawym moście.

Niewiele zapamiętałem z tego okresu. Utkwiła mi panicznie bojaźń, żeby nie dostać się do „kozy”. Chodziło o karę za złe zachowanie, jaką było wtrącanie do ciemnej piwnicy, znajdującej się pod chałupą Orluka. Nawet krótkotrwały karny pobyt w tej ciemnicy odstraszał, a co dopiero, kiedy opiekun zapomniał w porę otworzyć klapę i wypadło przebywać tam długo?

Zwłaszcza po wojnie nie było łatwo o zachowanie dyscypliny. Wiązało się to z tym, że w poszczególnych klasach znalazła się młodzież przerośnięta. Wraz z dziećmi uczyli się także dryblasi. Chłopcy

dużo starsi, którzy przedtem nie pobierali nauki, bądź zdobywali ją nieregularnie, czy też tacy, którzy znali pobyt w lesie i zapach prochu. Bardzo utrudniał nauczanie nierówny poziom wiedzy.

Zwłaszcza wtedy, kiedy nie brakowało pokus i możliwości bardziej atrakcyjnego spędzania czasu. Wagary były częste. Podobnie jak usprawiedliwienia powodowane pilnymi pracami w polu, jak choćby wykopki kartofli. Tym bardziej, że kierownik szkoły, mający własną gospodarkę, też uciekał się często do posyłania uczniów na wybieranie w polu ziemniaków czy rzepy.

Chłopaków ciągnęła rzeka. Późną wiosną kusiło kąpielisko poza parkiem, a zimą lodowisko. Wiele atrakcji oferował podworski park, wtedy jeszcze wspornie utrzymywany, nie wspominając o sadzie Śnitki, w którym były dorodne owoce. Byli też tacy, którzy popisywali się wybieraniem jaj i piskląt z ptasich gniazd. Niedościągłymi umiejętnościami we wspinaniu się na sędziwe drzewa, w dziuplach których gnieździły się kawki, popisował się zwłaszcza Staszek Czyrak, z którym byłem w jednej klasie.

Dostępny mi świat był wtenczas bardzo mały, obejmując wyłącznie najbliższą okolicę. Poza Terebelą i Witulinem, jak też bardziej odległymi Sworami i Worgulami, nie wspominając bliższego Zaberbecza, była to Leśna Podlaska. A ponadto Konstantynów, Komarno i Zakanale, gdzie mieszkali nasi bliscy krewni. Jak też Kornica, dokąd jeździło się na przemiał zboża. I oczywiście Biała Podlaska, stolica powiatu.

Docierało się tam pieszo albo furmanką. Mama zabierała ze sobą na furmankę zwykle Antka, czasem także mnie, gdy bardzo upominałem się o to. Niekiedy pozwalała mi brać do ręki lejce, abym wprawił się w powożeniu koniem. Jednakże, gdy zbliżaliśmy się do miasta, przeważnie - na początku swoich doświadczeń - sam rezygnowałem z funkcji woźnicy. Obawiałem się, że kobyła na widok samochodu zareaguje nerwowo, co się jej zdarzało, a skacząc narowicie na boki może spowodować wypadek.

Furmankę stawialiśmy na pierwszej ulicy dojazdowej do miasta, którą była - tuż za „ruskim cmentarzem” - Terebelska, gdzie w międzyczasie wyrosło duże osiedle mieszkaniowe, którego bloki widać z daleka. Najchętniej jednak korzystaliśmy z uprzejmości pani Luba-

szewskiej, która pozwalała wjeżdżać na swoje podwórko. Tutaj było bezpiecznie. Pozostawiając konia i furmankę pod okiem domowników, mogliśmy bez obaw udawać się piechotą na ulicę Janowską, skąd prowadziły ulice w różne strony, aż w głąb miasta.

Mama znała się dobrze z Lubaszewską, kobietą miłą i uczynną, która za każdym razem - latem czy zimą - zapraszała nas do mieszkania, aby poczęstować ciepłą zupą czy inną strawą. Posiłek taki okazał się dla nas bardzo pomocny.



*Współczesny widok Placu Wolności w Białej Podlaskiej. Listopad 2001 roku. Stoją od lewej: Henryk Maziejuk, bratowa Alina ze Słupska i Bronisław Piwniczuk, mąż Marianny, córki Antoniego i Franciszki Maziejuków z Jagodnicy.*

nadal będąc dzieckiem, sam wyjeżdżałem i wjeżdżałem na podwórko Lubaszewskiej. Pilnowałem tylko z uwagą, aby nie zahaczyć kołem o płot lub bramę.

Większy strach udzielał mi się wtedy, kiedy musiałem dostać się furmanką na Szkolny Dwór, gdzie mieszkała - z dwoma synami, moimi wujecznymi braćmi, Staszkiem i Mańkiem - ciotka Julia Ceniuk. Aby tam dotrzeć należało zapuszczać się aż w głąb miasta, które wydawało mi się wówczas wyjątkowo ruchliwe i niebezpieczne. Szczególnie centralny plac miasta zwany Placem Wolności. Stąd blisko do brudnego i cuchnącego, obramionego budynkami Szkolnego Dworu.

Tam prowadziła wąska brama między kamieniczkami i dlatego,

Stąd było blisko do targowiska i sklepów, straganów i urzędów. Handlem trudnili się przeważnie Żydzi. Z uwagi na swój ubiór i charakterystyczne twarze stanowili egzotykę. Z wieloma przekupkami i straganiarkami mama znała się osobiście. Później, kiedy umiałem już samodzielnie powozić koniem,

bezpiecznie klucząc między przechodniami, furmankami i rowerzystami, czasem także samochodami, należało tak manewrować kołem, aby wjechać w bramę. Wyjazd ze Szkolnego Dworu był również



*Aktualny wystrój starych domów w Białej Podlaskiej, przeważnie drewnianych, w dużej części pożydowskich, niewiele przypomina ich wygląd i charakter z okresu niemieckiej okupacji. Chłopskie furmanki przewoziły tymi uliczkami na kirkut - czego byłem świadkiem w dziecięcym wieku - żułoki białskich Żydów, zamordowanych przez hitlerowskich oprawców.*

trudny.

Raz zdarzyło się tak, iż bardzo żałowałem, że dałem się namówić na wyjazd do miasta. To, co wtedy zobaczyłem, pozostało mi na zawsze w pamięci.

Jechaliśmy furmanką ulicą Janowską w kierunku centrum miasta. W stronę przeciwną, skąd blisko do cmentarza żydowskiego, nazywanego powszechnie kirkutem, ciągnęły - jedna po drugiej - drabiniaste konne wozy. Furmanki były załadowane po brzegi, aż do wysokości kłonic, ludzkimi zwłokami.

Ciała, niczym worki z kartoflami, były poukładane warstwami. Od ciężaru uginały się grzbiety wychudłych koni, a ciała ociekały krwią. Moją uwagę zwróciły przerażone, wybałuszone i zapadłe oczy, wzywające nadaremnie litości, jak i w ogóle twarze z zastygłym przestrachem i bólem. Spomiędzy szczebli drabin wystawały ręce, zastygłe bezradnie w bezruchu, bądź dyndające, gdyż poruszane szprychami kół furmanek. Ich żelazne okucia dudniły z przerażeniem po kamiennym bruku. Było to okropne i nieludzkie...

Mama ocierała ukradkiem łzy. Byłem tym widokiem wstrząśnięty i przerażony. W mojej głowie to wszystko nie mogło się pomieścić. Nocą budziłem się zlany zimnym potem. Zdawało mi się, iż trafiłem do piekła, którego ognie i diabelskie wyczyny oglądałem z przerażeniem na murach świątyni.

Dopiero później zrozumiałem, iż stałem się mimowolnym świadkiem likwidacji getta. Zapamiętane wówczas sceny ustąpiły w swej tragicznej wymowie dopiero wtenczas, kiedy - a było to już podczas studiów - zwiedzałem niemiecki obóz zagłady w Oświęcimiu. Zwały butów. Przepastne piece. Składowiska okularów. Kłęby ludzkich włosów, i te pozostałości ludzkich kości, i te liche walizki... Przerazające i porażające!

Styczność z pewną Żydówką miałem już znacznie wcześniej. Któregoś ranka podczas okupacji, a była to jesień, poszedłem jak zwykle do szopy wziąć torf do pieca. Ku memu zaskoczeniu coś zaszeleściło i poruszyło się w prośniance, która znajdowała się na strychu. Porzuciłem ze strachu koszyk i pędem pognałem do domu pożalić się mamie. Byłem błądy ze strachu i przerażenia. Mama - bo nie byłem w stanie wydobyć z siebie słowa - na mój widok zareagowała impulsywnie:

- Co się stało? - pytała.
- Ktoś tam jest! - w końcu wystękałem.

Mama wyznała, że ukrywała na strychu znajomą Żydówkę. Chciała zachować to w pełnej tajemnicy.

- Synku - ostrzegła - bron Boże nikomu o tym nie mów. Nikt obcy nie może wiedzieć, że ukrywała się u nas Żydówka...

Znała ją z imienia i nazwiska. Była młoda i ładna. Mama kupowała u niej kobiece fatałaszki, czasem na kredyt, gdyż owa Żydówka prowadziła w Białej niewielki sklep bławatny. Uciekła z miasta krótko przed zamknięciem żydowskiej dzielnicy i likwidacją getta. Za ukrycie siebie skłonna była oddać mamie cała zawartość sklepu. Jednak mama nie połaśliła się na tę propozycję. Współczuła jej, jak nam potem opowiadała. Lubiła ją, ale bała się hitlerowców, którzy reagowali bardzo surowo na przypadki wzięcia Żydów pod opiekę. Przecież naraziła się im już z uwagi na tyfus. Tym bardziej nie mogła zapomnieć o groźnym jej niebezpieczeństwie.

- Nocą zaprowadzę ją do lasu - dodała mama. - Jeden Pan Bóg może wiedzieć, co się z nią stanie...

Bardzo uczynna i wrażliwa, mama zareagowałaby niewątpliwie inaczej, gdyby była sama. Siebie, być może, by nie oszczędzała. Lecz ona musiała skupić się na utrzymaniu swoich dzieci. Pozbawionych już wtedy ojcowskiej opieki.

Mord Żydów powracał po wojnie wielokrotnie. Niekoniecznie jednak z taką wymową, jakiej by można oczekiwać. Czasem, niestety, pod przykrywką trucizny. Zapamiętałem z tego okresu m.in. taką oto przypowieść:

Chcąc podważyć współczucie Polaków do losu Żydów, Niemcy dokonywali różnych eksperymentów. Jeden polegać miał na tym, że Niemcy ustawili pod ścianą Żyda, co miało się dzieć w Białej Podlaskiej, nakazując przygodnemu Polakowi, aby zastrzelił go w ich imieniu. Polak odmówił wykonania polecenia. Niemcy ustawili wówczas pod ścianą tegoż Polaka, karabin przekazali zaś w ręce owego Żyda, który - otrzymując to samo polecenie - strzelił do niego bez chwili wahania.

Odbywać się to miało na oczach zgromadzonej specjalnie publiczności. Czy tak było naprawdę, tego nie wiem. Łatwo natomiast



wynioskować morał wynikający z tej opowieści, nieprzychylny oczywiście dla Żydów.

Podobnie jak inne podlaskie miasteczka, Biała i Łuków, Włodawa i Parczew, zwłaszcza Międzyrzecz Podlaski, czy też takie siedliska jak Janów, Łosice, Sarnaki albo Konstantynów, w połowie zamieszkiwali Żydzi.

W miarę upływu lat, biorąc pod uwagę czas poprzedzający drugą wojnę światową, proporcje te ulegały ciągłej zmianie na niekorzyść Polaków. To stało się powodem, iż wśród moich rodaków nie brakowało tych, których ta sytuacja niepokoiła. W dywagacjach wspierali ich narodowcy, na Podlasiu mający niemało do powiedzenia, którzy również nie stronili od obaw dotyczących obywatelskiego składu Polaki.

Po wojnie pytali oni:

- Co by stało, gdyby hitlerowcy nie dorwali się do władzy? Po upływie kolejnego dziesiątka lat ilu byłoby w Polsce Polaków, a ilu Żydów? Czyż nie stałoby się tak, że to Polacy byłiby ich parobkami?

Gdyby współcześnie padały takie pytania, niewątpliwie uznano by je za hańbę. Za zdradę międzynarodową praw człowieka. I za rasizm. Wtedy, zaraz po wojnie, relatywizm prezentował się zgoła inaczej.

Podtekst tego rodzaju rozumowania, docierający także do innie, był zaprawiony wyraźnie trującym jadem. Kto więc chciał, ten mógł wyostrzyć spojrzenie na polsko-żydowski problem, oceniając go z pozycji nacjonalistycznych. I to bynajmniej nie tylko w kontekście - zasługujących na absolutną hańbę - praktyk hitlerowskich, ale także sowieckiej inwazji we wrześniu 1939 roku na Polskę. Jak i zaraz po zakończeniu wojny, a nawet wcześniej, kiedy to właśnie Żydzi obsiedli masowo komunistyczny aparat bezpieczeństwa i z dużą nadgorliwością oraz jawnym uprzedzeniem do Polaków zwalczali „wrogów ludu”.

Trzymający władzę w Polsce postępowali źle i nierozsądnie, ukrywając i przeinaczając prawdziwe fakty. Kłamali, iż było inaczej. Doświadczyłem tego na sobie. Pisząc reportaże ze wsi i miasteczek wschodniej Polski wielokrotnie dowiadywałem się ze zdumieniem,, odbywając mnóstwo rozmów, jak głęboko wryły się w świadomość

i pamięć Polaków negatywne strony stosunków polsko-żydowskich. Mówiło się o tym pokątnie i cicho, w zaufaniu i tajemnicy, czasami też jawnie, ale mówiło, podczas gdy oficjalnie w PRL ów temat w ogóle nie istniał. Nie był obecny ani w mediach, ani w literaturze i sztuce oraz nauce.

Napisałem kiedyś reportaż do „Zarzewia”, w którym pracowałem, przedstawiając problemy dużej podzamojskiej wsi. Opowiadano mi, iż przed wojną mieszkaly tam cztery żydowskie rodziny, jak to na wschodzie, które utrzymywały się z rzemiosła i handlu. Obecność ich nie wzbudzała ani zdziwienia, ani tym bardziej konfliktów. Poprawne stosunki utrzymywały się aż do najazdu sowieckiej armii na tereny wschodnie Rzeczypospolitej.

Gdy wskutek tego ludność polska tej wsi, jak wszędzie zresztą, poczuła się mocno zawiedziona i boleśnie załamana, Żydzi - przeciwnie, szczęśliwi i uradowani - u wejścia do wsi wzniesli bramę triumfalną. Najeźdźców Powitali kwiatami, chlebem i solą, oklaskami oraz czerwonymi flagami. I jakby nie dość tej nielojalności, wręczyli bezzwłocznie sowieckim politrukom nazwiska i adresy tych Polaków, czasem sąsiadów, którzy dali się poznać z patriotycznej postawy i uprzedzeń wobec bolszewików. Dla wielu z nich skończyło się to tragicznie.

Opisałem to w reportażu. Lecz mój autorski trud, co zresztą zdarzało się wcale nie tak rzadko, poszedł na marne. Szefowa redakcji Halina Krzywdzianka, działaczka ZMW, zaaprobowała bez ingerencji ten tekst, natomiast cenzura poćwiartowała go po swojemu, wykreślając fragmenty odnoszące się do napaści ZSRR na Polskę i postawy Żydów.

### *Sam na sam z chorobą*

Nieszczęścia, jak mówi się nie bez racji, rzeczywiście chodzą parami. Wskazują na to również doświadczenia, jakie podczas okupacji dotknęły moją rodzinę. Nie dość, że - następujące krótko po sobie - były one bolesne, to ponadto rzutowały na długie lata. A w moim przypadku konsekwencje te ujawniły się dopiero niedawno.

Zacznę dlatego od końca. Na przełomie lat 2003-2004 nieocze-

kiwanie poczułem ból w barkach, zwłaszcza w lewym, który nasilał się z każdym dniem, promieniując na łędźwia oraz podbrzusze. Nigdy dotychczas czegoś takiego nie odczuwałem. Początkowo sądziłem, że skoro ból pojawił się nagle, może więc zginie też niespodziewanie. Stało się inaczej.

Ból tęzał i coraz bardziej doskwierał, a ja nie byłem w stanie zapanować nad nim, choć uważam siebie za wytrwałego i odpornego na dolegliwości. Nie mogłem ani usnąć normalnie, ani nawet położyć się na łóżku czy też usiąść na dłuższą chwilę na krześle. Znosiłem jedynie powolne dreptanie. Przechadzałem się więc wokół stołu; tak w dzień, jak i nocą. Próbowiałem spać w pozycji siedzącej, z głową opartą na stole, mając pod nią poduszkę, co też mogło trwać krótko i było trudne do zniesienia. Jeżeli nawet usnąłem na chwilę, byłem zdrętwiały i poskręcany. Prosta postawa nie wchodziła w grę.

Usychałem powoli, jak stare drzewo. Marniałem jak przetrącona gęś. Z bólem trudnym do wytrzymania podnosiłem rękę w górę, gdy przyszło jeść czy się golić. Goliłem się dlatego co trzeci dzień, a nawet rzadziej, popadając dodatkowo w stan zaniedbania. Bardzo kłopotliwe okazywało się wejście do tramwaju i autobusu, a nawet samochodu. Zamieniałem się powoli w ludzki wrak.

Lekarz pierwszego kontaktu, kiedy jakoś mocno obolały doczłapałem do niego, rozkładał bezradnie ręce. Usprawiedliwiał się tym, że z czymś podobnym jeszcze się nie spotkał. Pomyślałem w duchu, że musi być dużo prawdy w przeświadczeniu wielu ludzi, z czym się spotykałem, że ktoś taki, jak lekarz pierwszego kontaktu często jest w istocie rzeczą lekarzem... ostatniego kontaktu. Gdybym nie upomniał się stanowczo o jakiś mocny lek uśmierzający ból, pewnie by go mi nie przypisał.

Doktor zasugerował abym udał się prywatnie do specjalisty, ale kiedy spytałem, kim ma być ów specjalista, reumatologiem, ortopedą czy może neurologiem, nie potrafił odpowiedzieć. Z konieczności, pomimo wizyty u lekarza pozostałem nadal sam z uporczywą chorobą.

Żona zawiozła mnie do spółdzielczej przychodni „Alfa”. Zaproponowano, żebym udał się do prof. T. Styczyńskiego, zajmującego się neurochirurgią. Zabuliłem 110 zł, by usłyszeć w jego gabinecie, gdy poznał mój wiek, że „jeżeli ktoś podchodzi pod 70., to ma prawo mieć

wszelakie bóle...”

Dobre sobie! Pan o kilka lat starszy ode mnie, lekarz z tytułem profesora, mówi bzdury, za które ja muszę płacić! On mówił to serio, że stoickim spokojem, podczas gdy ja miałem szczerą chęć zrugać go porządnie...

Zapisał mi piguły przeciwbólowe, które i bez niego mogłem nabyć w aptece lub niemal każdym kiosku. Mam prawo sądzić, że ktoś taki, jak ten pan, zatrzymał się dawno temu w rozwoju i eksploatuje wiedzę sprzed kilkudziesięciu laty. Po raz któryś utwierdził mnie w przekonaniu, że lepiej jest polegać na młodym lekarzu, niż na kimś, kto jest starym i zrutynowanym wygą.

Zgodnie z sugestią kogoś życzliwego, Jerzego Głowali, który zaliczył wieloletni obóz NKWD nad Morzem Białym i pomimo blisko 90. lat był ruchliwy i trzeźwy w osądach, udałem się do lekarza zajmującego się uprzednio medycyną sportową. Postawny, małomówny pan, kooperujący z Ukrainką, usłyszawszy wyjaśnienie powodu mego przybycia, nakazał, abym przeszedł przed nim kilka kroków. Gdy spostrzegł, iż najwyraźniej kuśtykam, polecił usiąść na drewnianej prycy. Nic nie mówiąc potrząsnął mną kilkakrotnie tak, jakbym był manekinem, bądź workiem ćwiczebnym. Powalał mnie to na plecy, to na brzuch.

Nie zdążyłem ochłonąć z potwornego bólu, kiedy siłą rozciągał i prostował moje nogi, chcąc je wyprowadzić z przykurczu, jedną po drugiej, gdyż doszedł on do przekonania, iż to właśnie długotrwały ból doprowadził mnie do tego stanu. Wskutek tego - tłumaczył - nogi przestały być równe. Z bólu, jaki mi zadał, niemalże zemdlałem...

- No, proszę bardzo, jest już lepiej - zwrócił się do żony - Znacznie lepiej, a trzeba by jeszcze wyciągnąć dwa czy może nawet trzy centymetry...

Mówił spokojnie, ale ugniatał mnie tak, jak byłbym niewrażliwym przedmiotem. Ból przeszywał mnie tak potężny, że stanęły mi w oczach łzy, co spostrzegła żona, a na co on nie zwracał uwagi. Z największym trudem zniosłem tę torturę, łudząc się, iż może okaże się korzystną dla mojego zdrowia.

Kiedy wyszedłem na ulicę, zdawało mi się nawet, ponieważ ból zelżał, że nastąpiła odczuwalna poprawa. Czułem się weselszy i bar-

dziej rześki, mając więcej energii. Nie musiało jednak upłynąć wiele czasu, aby się okazało, że ta bolesna wizyta niczego pozytywnego nie dała. Nadal noce były bezsenne, połączone z bólem i niepokojem.

Moja nadzieja skupiła się wówczas na ludowej medycynie azjatyckiej. Znajomi zaproponowali, żebym udał się do przychodni, w której leczy Mongoł. I tym razem zawlokła mnie tam żona, wysłuchując pokornie moich siarczystych narzekań.

Mongoł nie był bynajmniej znachorem czy szarlatanem, jak mogłoby się wydawać, a absolwentem polskiej akademii medycznej, który wyspecjalizował się wprawdzie w tradycyjnej medycynie tybetańskiej. Postawny, skośnooki pan, mówiący niezłe po polsku, którego zaskoczyłem paroma mongolskimi zwrotami grzecznościowymi, jakie pozostały mi w pamięci po dwukrotnym pobycie w jego rodzinnym kraju.

Muszę przyznać, że on pierwszy rozpoznał trafnie moje dolegliwości, nazywając je ostrym obustronnym zapaleniem barku i mięśni przybarkowych. Zaznaczył, że to choroba paskudna, która nie wie-dzieć skąd się bierze i kiedy ustępuje, ale on - podkreślał - da sobie z nią radę, chociaż leczenie okazać się może długotrwałe. Zastosował na początek akupunkturę, chcąc przede wszystkim uśmierzyć ból. W wybrane miejsca wtykał stalowe igły, co okazało się całkowicie bezbolesne, a następnie przykrył na kilkanaście minut ciało lnianym ręcznikiem. Poczulem, że ból ustępuje. Zaordynował do połykania jakiejś granulaty z ziół i minerałów.

Wtedy przypomniałem sobie, siedząc pod dużym ręcznikiem, swój pierwszy reporterski wyjazd do dalekiej Mongolii. Podróżowałem, a był to rok 1972, z redaktorem Staszkiem Bachledą z Bratysławy, którego ojciec był Polakiem, zaś matka Słowaczką. Staszek okazał się dobrym kumplem. Gdyśmy byli na pustyni Gobi, z dala od świata, zaatakowała mnie nieoczekiwanie biegunka, której musiałem nabyć się już w Ułan Bator. To postawiło pod znakiem zapytania kontynuowanie egzotycznej wyprawy. Zasugerowano, żebym jak najprędzej wracał samolotem z Dalandzadgad do stolicy, co mi nie odpowiadało, gdyż utraciłbym bardzo wiele atrakcji.

Na moją prośbę opiekun skontaktował mnie z felczerem, opiekującym się zarówno zwierzętami, jak i ludźmi. Ten z kolei umówił mnie

z pastuchem, uchodzącym w okolicy za znawcę medycyny ludowej. I to on zasugerował, żebym zdecydował się na akupunkturę, na co trzeba by jednak przeznaczyć więcej czasu. Za wiele, abym mógł bez strat kontynuować zaplanowany program.

Odrzuciwszy ten sposób leczenia, spytałem czy nie zna innej skutecznej metody pozbycia się biegunki. Owszem - powiedział - jest też możliwe leczenie z zastosowaniem kumysu. Zaznaczył od razu, że jeśli metoda ta ma być skuteczna, muszę przez cały okres kuracji, która potrwa do czterech dni, zrezygnować ze spożywania czegokolwiek poza kumysem.

- I musisz - dodał - pić kumysu bardzo dużo, jak najwięcej!
- Co znaczy dużo? - dopytywałem, gdyśmy siedzieli w jego jurcie.
- Nie mniej niż 8-9 litrów każdego dnia - tłumaczył Mongoł, patrząc mi prosto w oczy.



*Kiedy odbywałem reporterską podróż po stepach Mongolii, tamtejsi pasterze leczyli mnie kumysem. Sprzyjała po temu pora wyźrebień i udoju klaczy.*

Przystałem na tę kurację. Lubię kumys, sprawdziłem powielekroć, a ponieważ trwała właśnie pora wyźrebień kobył, z napojem tym nie było kłopotów.

Na poczęstunki zapraszano nas do jurt, porozrzucanych po rozległym stepie, ledwie porośłym trawą i zielskiem, a także między zaspą-



mi pustynnego piasku. Gdy Staszek Bachleda i opiekun oraz kierowca gazika, którym podróżowaliśmy, połykali z apetytem smakołyki kuchni mongolskiej, zwłaszcza dania z baraniny i koziny, zapijając zieloną herbatą z łożem, bardzo skuteczną na gaszenie pragnienia, jak też wódką archi, ja piłem wyłącznie kumys. Cierpki, lekko kwaśny napój powstający z fermentacji kobyłego mleka, którym napełnia się skórzanne bukłaki, aby coraz potrząsać nimi...

Piłem tego kumysu dużo, więcej aniżeli kiedykolwiek dotychczas, ile tylko mogłem przelknąć, jednak nie tak wiele jak nakazał mi ów pastuch. Nie tknąłem niczego innego, nawet mojej ulubionej zielonej herbaty, sycąc się wyłącznie kumysem, którym byłem cały przesiąknięty. Były na szczęście pozytywne skutki tego poświęcenia. Po dwóch dniach rozstrój żołądkowy zmaleł, a ból brzucha słabł coraz bardziej.

Mongołowie bardzo chwalili mnie za dzielną postawę, podsuwając mi kolejne czarki z kumysem, które szybko i z lubością opróżniałem, a oni wlewali mi nowe porcje tego płynu. Starąłem się, jak mogłem dorównać im kroku, co było trudne, ponieważ oni wręcz rozkoszują się namiętnie kumysem. Przy tym, co ciekawe, nie odczuwałem głodu, bo kumys jest syty i zawiera niezbędne składniki odżywcze. Upodabniało mnie do druhów mongolskich także to, że znajdowałem się cały czas na lekkim rauszu. Bo dobrze przygotowany kumys, z uwagi właśnie na fermentację, zawiera niemal tyle samo alkoholu, co przeciętne piwo. No i po czterech dniach, jak zapewniał pastuch, choroba rzeczywiście ustąpiła.

Pomyślałem, siedząc zadumany w warszawskim gabinecie lekarskim Mongoła, że być może ludowa medycyna ze środka Azji tym razem też okaże się skuteczna? Lecz jakby było naprawdę, nie mogę stwierdzić, gdyż po trzech wizytach musiałem zrezygnować z dalszego leczenia. Zabrakło mi cierpliwości, ale także czasu, bo ból nie ustępował, zaś ja musiałem kończyć książkę o Jagodnicy.

Elżbieta, moja córka, także dziennikarka, nie mogąc już patrzeć na moją mękę i fatalny mój wygląd, załatwiła wizytę w klinice „Damiana”, z którą związana była poprzez męża Ireneusza Łuszczewskiego. Ela obawiała się też, iż mogę się załamać. Wsadziła więc mnie i żonę do swego samochodu i zawiozła do umówionych lekarzy. Przebadano mnie natychmiast dwóch doktoryzowanych Robertów, Włodarczyk

i Świerczyński. Specjalnością pierwszego są choroby wewnętrzne, a drugi zna się doskonale na chirurgii urazowej i ortopedii.

Ujawnili mi później, że byli wręcz przerażeni moim stanem. Wyrażali się o mnie, jak o ptaku z podłamanymi skrzydłami. Kiedy powiedziałem im, że mimo to nie siedziałem beczynnym, poszukując pomocy, u kogo byłem i co usłyszałem, nie mogli w to uwierzyć. Ja zaś jedynie relacjonowałem, nie krytykując nikogo, pomny na lekarską solidarność zawodową. Patrzyli na mnie z politowaniem i z niedowierzania kręcili głowami.

Infekcji, jaka się wdała w miejscach nakłucia igłami akupunktury, nie udało się ukryć. Była na tyle widoczna, że rzucała się w oczy. Poradzono mi, abym darował sobie medycynę tybetańską i poddał się wnikliwym badaniom USG oraz prześwietleniu kręgosłupa. Orzekli, iż rzeczywiście jest to zespół bolesnego barku. Zastosowali w pierwszym rzędzie mocne leki przeciwbólowe i znieczulające, aby mi ulżyć w tej chorobie, która spowodowała dodatkowe powikłania. Stres i ból wywołały bowiem cukrzycę, a od gwałtownego chudnięcia - nabawiłem się przepukliny.

- Czy miał pan wypadek samochodowy? - dopytywał dr Robert Świerczyński, wglądając w klisze z prześwietlenia i zapis USG.

Zaprzeczyłem, a on dodał z naciskiem:

- A może było to dawno temu, zdążył pan już o tym zapomnieć?

- Jedynie jako pasażer na tylnym siedzeniu uczestniczyłem parę lat temu w stłuczce - dodałem. - Nie było to jednak duże uderzenie, tylko rzuciło gwałtownie moją głową do tyłu...

- Skąd wobec tego - trwał uparcie przy swoim - wzięły się te zniekształcenia? Stawy i ukostnienie mają się tak, jakby ucierpiały w groźnym wypadku. Są zdegenerowane. Jeżeli więc nie było wypadku, to co zdarzyło się w międzyczasie? Jak doszło do tego zniekształcenia?

- Wtedy, kiedy byłem jeszcze chłopakiem, w gruncie rzeczy dzieckiem, zmuszony byłem dźwigać ciężary ponad siły i wiek - wyjaśniałem. - Ogień strawił nam stodołę, oborę oraz inne zabudowania, spaliła się cała poza domem zagroda, należało dlatego czym prędzej ją odbudować. Dźwigałem, znosząc z łąk i lasu żerdzie i drągi, z których brat robił łąty służące do pokrycia dachu słomą...

- A teraz, panie Henryku, przyszło zapłacić za to - spointował le-

karz. - Kościec młodego chłopca nie upoważniał do dźwigania takich ciężarów.

Można było przewidzieć - uzasadniał dr Świerczyński - że wcześniej czy później pojawią się tego rodzaju następstwa. To prawda. Któż jednak miał wtedy o tym pamiętać i tego przestrzegać? Nikt z nas nie rozczulał się nad sobą. A kto zastanawiał się nad starością? Ja, szczerze wyznając, nawet nie myślałem, że dożyję wieku, w jakim jestem.

## *Spalony palec*

Wcale nie przypadkiem pojawił się ogień w naszej zagrodzie. Pożaru nie wywołały bowiem ani przypadek, ani igranie z ogniem. Podpalili nas udzie podli i złośliwi, bezwzględni i zaślepieni w swej postawie, rzekomi patrioci, którzy przypisywali sobie funkcję partyzantki, a w istocie rzeczy byli zwyczajnymi bandytami. Mniejsze o nazwiska, które dałoby się ujawnić, ale po co? Na ziemską sprawiedliwość i tak niepodobna było liczyć.

Gdybyśmy kierowali się zemstą, ktoś zaraz po wojnie za nasze nieszczęście odpowiedziałby głową. Pewne służby na tego rodzaju sygnały były bardzo wyczulone i zrobiłyby wiele, aby udowodnić, iż mają rację.

Mama była niemal stuprocentowo pewna, kto dopuścił się czynu podpalenia, wołała jednak nie rozdrapywać ran, które już zasklepiały się powoli, a zgodziła się wziąć cierpienia na siebie. Potem także nam, jej synom, nie było w głowie poszukiwać sprawców nieszczęścia. Z których jeden demonstracyjnie kładł się w niedzielę krzyżem przed ołtarzem, aby dalej kraść, donosić i... udawać niewiniątko. Bo też czasem - znana to prawda - wrogów lepiej nie drażnić.

Podli ludzie zapragnęli poprzez ogień dowieść, ile prawdy jest w tym, że „ruscy” ukryli broń w naszych zabudowaniach. Ogień podłożyli także z zemsty. Chcąc ukarać nas za pomoc udzieloną „Miszce” i jego kumplom. Tak bardzo zależało im na tym, że pod groźbą użycia broni nie dopuścili strażaków do gaszenia ognia. Prowodyr zajścia mieszkał niedaleko od nas i spoza stodoły wyglądał dyskretnie, co się dzieje na podwórku Maziejuków.

Człowiek o zepsutej naturze. Na swoim sumieniu miał wiele grzechów, a kary za nie uniknął wyłącznie dlatego, że mieszkańcy Jagodnicy nie zamierzali wchodzić z nim w spór. Woleli położyć uszy po sobie, cierpieć i czekać.

Tak było i wtedy, kiedy - już po wojnie - pojawili się w naszym domu funkcjonariusze z Urzędu Bezpieczeństwa. Nakazali Antkowi prowadzić do bajorka na łące, tuż za ogrodem, które było pozostałością dawnych stawów rybnych, należących uprzednio do folwarku.

Bezpieczniacy, gdyż wiadomo było, kto doniósł im o tym, wleźli do wody i rękami oraz grabiami poszukiwali ukrytej broni. Znaleźli niemiecki karabin ręczny. Nie wiem, czy sprawny, ale to o niego właśnie chodziło. Gdy go stamtąd wyciągnęli - popatrzyli na zagubioną kobietę z trójką drobnych synów i pytali bez przekonania skąd wziął się tutaj karabin? Nawet im, żadnym zemsty, nie wydało się możliwe, co zostało zgłoszone. Pokiwali głową i odjechali. A wystarczyło tylko posądzić otwarcie tego, bośmy byli o tym przekonani, kto uczynił ów donos, a oni wyciągnęliby od niego całą resztę.

Poza chałupą, która ocalała, bo była pokryta dachówką i nie mógł przenieść się łatwo na nią ogień, a resztą strzegli ją przed taką ewentualnością dobrzy sąsiedzi, spłonęły wszystkie pozostałe budynki. Były pokryte strzechą. Ogień strawił zboże złożone do stodoły i siano. Był to październik 1942 roku. Pastwą ognia padły też wóz, sanie, wialnia i siewkarnia, narzędzia rolnicze i drobny sprzęt gospodarski. Z pomocą ludzi udało się ocalić konia, krowę i świnię. Kury spłonęły żywcem.

Wybuchu oczywiście nie było, bo i skąd, jeśli „Miszka” nie ukrywał u nas broni. Byliśmy zbyt młodzi, żeby ogarnąć wielkość poniesionej straty i zdać sobie sprawę z konsekwencji klęski, która spadła na nas tak nieoczekiwanie. Mama załamała się kompletnie. Była roztrzęsiona i bezradna. Ukojenia szukała w płaczu i modlitwach.

Pożar długo kojarzył się odciętą połówką palca wskazującego prawej ręki. Jak go straciłem? Otóż cięliśmy słomę na sieczkę dla konia i bydła. Antek, gdyż to zadanie trudniejsze, poprzez ladę podsuwał słomę do trybów i ostrzy tnących. Ja kręciłem korbę siewkarni, wspierany jedną ręką przez Janka Misiejuka, brata ciotecznego z Jagodnicy. Z głupoty, bądź dla żartów, a był on ode mnie starszy, Janek pchnął mnie siłą na koło zamachowe, jakby chcąc zmusić do większego wysiłku.

Byłem za słaby, by się oprzeć i uniknąć tego pchnięcia. Poleciałem więc do przodu z wyciągniętymi rękami, usiłując odepchnąć się nimi od koła zamachowego. Prawa ręka, niestety, trafiła wprost pod żezak, który uciął mi połowę jednego palca i opuszkę drugiego. Lecz mogło to skończyć się znacznie gorzej.



*Leśniańską starą studnię, obok której stoję, zapamiętałem z okresu, kiedy u felczera leczyłem dłoń z uciętym w sieczkarni palcem*

ce. Wręczył mi go na pamiątkę. Odcięta część palca pożółkła. Miała zmarszczoną skórę i prezentowała się śmiesznie. Położyłem ją nad drzwiami chlewika. Palec spłonął podczas wspomnianego pożaru.

Ucięty palec długo się zabiźniał, gojąc się powoli, co zagrażało przerwaniem nauki w szkole. By uniknąć tej ewentualności, nauczy-

Gdy minął przestrasz, a krew wciąż ściekała z dłoni strumieniem, Janek uciekł do swego domu, nie mówiąc nic o zajściu, którego był sprawcą. Mama natomiast, zachowując zimną krew, zaprzęgnęła konia do wozu i czym prędzej pognęła ze mną do felczera w Leśnej Podlaskiej. Ten zatamował z trudem krew i medytował, co ma, począć: uciąć resztę palca czy też ratować ocalały knypec, nie mając jednakże przekonania, jak i czy obrośnie on skórą i będzie z niego pożytek? Uznał w końcu, że lepiej mieć kawałek palca niż wcale, wobec czego ratował go z determinacją.

Antek odnalazł, będąc ciekawym jak wygląda, odcięty fragment palca. Odszukał go w siecz-

łem się - za radą nauczyciela - pisać lewą ręką. Przyszło mi to nie bez trudu. Żałuję, że gdy palec już się wygoił - wróciłem do pisania prawą ręką i zaniedbałem tym samym niepotrzebnie rękę lewą. A miałem szansę osiąść obureczną sztukę pisania.

Mama podjęła się najpierw sklecenia zastępczego pomieszczenia dla zwierząt, by uchronić je przed zimą. Z pomocą pospieszyli dobrzy ludzie. Werbińscy ze Swór przybywali do nas furmanką na kilka dni, dzięki czemu stanęła szopa. Na stodołę i oborę przyszło poczekać.

Na szczycie starej stodoły jeszcze z pomocą ojca bociany ułożyły gniazdo. Przywykliśmy do nich, a one do nas. Stąd rozpościerał się rozległy widok na podmokłe łąki doliny Klukówki, stanowiące dla tych ptaków bogate żerowisko. Od dzieciństwa bociany wzbudzały moją sympatię i wyzwalaly zainteresowania. Intrygowały mnie zwłaszcza bocianie sejmiki. Odbywały się co roku, poprzedzając odloty, w których uczestniczyły setki ptaków. Fascynujące były przeglądy skrzydeł i umiejętności lotu. Gdy odlatywały w końcu sierpnia, gdzieś daleko na południe, robiło się pusto i smutno, bo zwiastowało to rychłe pożegnanie lata i nadchodzącą zimę, której nigdy nie lubiłem.

Wyglądałem niecierpliwie powrotu bocianów. Wiedziałem, że się pojawiają, usiądą na gnieździe, zaklekoczą radośnie, by spoglądać znowu na nas z góry i wylatywać na łąkę za żabami.

Tym razem zastały jednak, zamiast gniazda, zgłiszcza spalonej stodoły. Krążyły nad nimi długo i tęsknie klekotały, żałując utraczonego gniazda. Przysiadowały na zabudowaniach sąsiadów, zapewne z myślą ustanowienia nowego gniazda, lecz coś im nie odpowiadało, ponieważ wyniosły się do Terebeli.

Na nową stodołę trzeba było zgromadzić budulec. Z własnego lasu nie dało się już niczego pozyskać, bowiem został on wcześniej dokładnie wytrzebiony. Z konieczności materiał taki musieliśmy poszukiwać, łamiąc prawo, w lasach rosnących w sąsiedztwie Jagodnicy, które - chociaż państwowe - nie były dostatecznie strzeżone. Stąd zwoziliśmy grubiznę na belki, krokwie i deski.

Zapuszczaliśmy się do lasu wieczorem, już po zmroku, a bywało, że także nocą i przed świtaniem, kiedy nadzorcy nie śmiali tam wchodzić. Sztuki do ścinki były wcześniej wybierane. Po drzewo wyprawiała się mama z Antkiem. Ja im towarzyszyłem rzadko, by zaopiekować się



koniem. Zabierali ze sobą tak zwaną ladę, czyli coś w rodzaju lewarka do podnoszenia kłoców, a następnie wkładania ich na furmankę. Lecz i tak niezbędna była siła rąk, spryt i pomysłowość, którymi od młodu wykazywał się Antek. Mama i brat wracali z lasu wyczerpani.

Trudna była też obróbka kłód. Wprawdzie pomagali w robocie sąsiedzi, tak samo krewni, jednak główny ciężar spadał na mamę. Była kobietą wytrwałą i odważną. Posługiwała się sprawnie męskimi narzędziami, kosą, siekierą czy piłą. Ona wchodziła na kozły, aby ustawiać na nich wywindowane tam ladą kłocę; okorowane wcześniej przez Antka i mnie. Rolą mamy było podciąganie do góry ciężkiej piły nazywanej traczem. Ponadto pilnowała ona, by zęby piły trafiały w te miejsca, które zaznaczone zostały czarną linią. Udane przetarcie kłoców zależało głównie właśnie od tego. Inaczej wychodziłyby belki i kątówki pokrzywione. Nierówne i wadliwe.

Pod kłodą, to jest pod spodem kozłów, stawało do pracy dwóch mężczyzn. Po obu stronach dwuręcznej piły. Należało ją ściągać z góry, by następowało przecieranie drzewa. Przy tym patrzeć, żeby trociny nie wpadły do oczu. Na dole potrzebna była przede wszystkim siła rąk.

Z obolałym kręgosłupem i drżącymi z wysiłku rękami, mama schodziła ociężała z kozła. Nie po to jednak, żeby wypocząć czy rozprostować kości, co byłoby bardzo wskazane, ile dlatego by obrządzić inwentarz. Nakarmić zwierzęta i wydoić krowy oraz zadbać o posiłek dla rodziny i pracowników. We śnie, po takim dniu, z bólu i zmęczenia często postękiwała. Chcąc ulżyć jej w robocie, nauczyliśmy się wczesnie doić krowy i doglądać zwierzęta.

Szczerze i serdecznie ją podziwiałem. Pozostała w mojej pamięci osobą dzielną i pracowitą. Odważną i odpowiedzialną. Pomimo zmęczenia i napiętych nerwów nigdy na nas nie krzyczała. Okazywała wobec nas zatroskanie i miłość. Żałowałem bardzo, że los obszedł się z nią tak bardzo okrutnie i niesprawiedliwie.

Ile i jak tylko mogłem pomagałem mamie, pragnąc jej ulżyć, lecz możliwości moje były mocno ograniczone. Nawet teraz, kiedy jestem już starym człowiekiem, moje uczucia wobec niej pozostały niezmiennie. Pamiętam o niej, zawsze bardzo mi jej brakowało. Byłem z nią związany głębokimi uczuciami. Gdzieś w głębi mego serca

tlą się one nadal.

Za nadmierne nadwyrężanie swoich skromnych sił w okresie dzieciństwa, jak wspomniałem, zapłaciłem wysoką cenę. Trudno mi pojąć, ile zaparcia i uporu, desperacji, ile woli i poświęcenia musiało być wtedy we mnie. Pozostając w gospodarstwie, borykałem się codziennie z trudnymi zadaniami.

Weźmy pod uwagę chociażby budowę stodoły. Antek i ja nanosiliśmy na swoich barkach drągowinę niezbędną do pokrycia dachu. Sporządzaliśmy z niej łąty stanowiące ozebrowanie, na które kładło się potem słomianą strzechę. Powstawała ona z tak zwanych krętaków, wyrabianych z żytniej słomy. Sam robiłem krętaki. Śmiem wątpić, czy miałbym teraz w Jagodnicy wielu konkurentów, gdyby przyszło stanąć do konkursu na wyrób krętaków?

Drągowinę wycinaliśmy - wstyd się przyznać, ale taka była prawda - w cudzych zaroślach. Zwłaszcza w olszynach, rosnących dziko na okolicznych łąkach, pośród mokradeł. Były to zwykle olchy, wierzby i brzozy, czasem czeremchy; byle proste i strzeliste. Znosiliśmy drągi na plecach na podwórko, gdzie następnie podawaliśmy je okorowaniu, żeby szybciej i lepiej wyschły.

Drągowina uciskała ramiona, kłuła w plecy, a ja dźwigałem ciężary z reguły na lewym barku. Wgniałała mnie w łąkę, podmokłą i bagienną, którą zwykle chodziliśmy. Chodzenie tędy nawet bez obciążenia było uciążliwe. Nogi zapadały się pod darń, a co dopiero, kiedy na ramionach leżała żerdź?

Koniowi, gdyby przyszło posłużyć się nim, zagrażałaby topiel. Niemożliwe stawało się dlatego dotarcie tam wozem, najwyżej saniami po lodzie i śniegu. Lecz myśmy nie mogli czekać na tę okazję, bo nam zależało, aby czym prędzej postawić stodołę.

Ręce i nogi, plecy i ramiona były więc niezastąpione. A na grzęzawisku dochodziło do częstych upadków. Za każdym razem trzeba było ponownie włożyć żerdź na ramiona, co zabierało dodatkowe siły.

Dużo ode mnie silniejszy, bardziej wytrzymały i rosły - Antek zżymał się na mnie. Pokrzykiwał i wyklinał. Rugał, posądzając mnie o niechęć do wysiłku czy też o to, że jestem gamoniem. A ja, po prostu, stawałem się bezradny. Antek złościł się też sam, szarpiąc sobie nerwy.

Tego wszystkiego miałem dość aż nadto. W duchu modliłem się do Boga, żeby zapaść się w te błoto głęboko i raz na zawsze! Wpaść w otchłań tak, aby już stamtąd nigdy się nie wydostać! Ileż to razy, mój dobry Boże, myślałem zupełnie serio o śmierci, bo w niej upatrywałem ostateczne rozwiązanie swoich problemów...

Córka Elżbieta, gdy opowiadałem jej o trudzie i paskudnych swoich doznaniach, kiedy to ciężka praca odbierała mi chęć do życia, nie była w stanie uwierzyć w to. Inaczej było z żoną Haliną, która w dzieciństwie też miała harówkę i dlatego dobrze mnie rozumiała. Ją nic nie dziwiło. Zaś Ela, nie pozbawiona bynajmniej wyobraźni, nie mogła zrozumieć i zaakceptować tego, co przeszedłem w dzieciństwie i wczesnej młodości. Czymże więc - zastanawiam się - opowieść ta okaże się wnuczętom, Mikołajowi i Irencie, żyjącym w zupełnie innych czasach?

### *Zwierzaki tam, gdzie mieszkali ludzie*

Z oborą łatwiej nam poszło, niż ze stodołą. A to dlatego, że okupantowi niemieckiemu zależało, żeby nasza rodzinna gospodarka dostarczała w ramach kontyngentu produkty rolne. Zaoferowane poparcie podyktowane było zatem zwyczajnym wyrachowaniem, a nie współczuciem albo litością, która Niemcom - tak to widzieliśmy - była całkowicie obca.

Niemcy, nawet nie pytając o zgodę, nakazali mamie udać się do Łomaz, by przywieźć stamtąd pożydowską chałupę. Łomazy leżą na południowy wschód od Białej Podlaskiej, ponad 30 km od Jagodnicy. Zbędne okazały się zezwolenia i zaświadczenia, wystarczyło skierowanie hitlerowskiego administratora powiatu, które respektował bez wahania tamtejszy sołtys.

Osiem czy dziewięć furmanek udało się z Jagodnicy do Łomaz. Na czele z Marianem Godlewskim i Władysławem Szymoniukiem. Z udziałem Stanisława Czerkiesa i Edwarda Polaka, Stanisława Misiejuka oraz kilku jeszcze innych gospodarzy. Sołtys Łomaz wskazał na opustoszałą chałupę w rynku, którą należało zabrać do Jagodnicy.

Dwaj stolarze, Szymoniuk i Czerkles, oznaczyli i ponumerowali

- przy rozbiórce - poszczególne elementy chałupy, belki i krokwie, deski, drzwi, aby łatwiejsze było jej zmontowanie na miejscu. Chłopi załadowali rozebraną chałupę na wozy i pogonili batem konie, udając się w drogę powrotną. Jechali całą noc, aby wczesnym rankiem zatrzymać się na naszym podwórku. I nie upłynął nawet tydzień, gdy - po dokonaniu przeróbek - żydowska chałupa stała się jednocześnie chlewnią, oborą i stajnią. Mama zasiedliła ją zwierzakami, które dotychczas marzły pod gołym niebem.

Niemcy, pozbawieni skrupułów wobec dotychczasowych mieszkańców tego domu, okazali się praktyczni. Byli zadowoleni, że dawnych mieszkańców tej chałupy wypędzili i zamordowali. Natomiast chałupa mogła się jeszcze na coś przydać. A co myśmy mieli począć?

Nam pozostała świadomość, że ściany, w których stoją zwierzęta, przesiąkły troskami i radościami, smutkiem i płaczem dwóch czy może nawet trzech i czterech pokoleń Żydów. Były nasycone ich modlitwą i doznaniem, uniesieniami.

Ilekrót przyszło mi przekraczać próg żydowskiej chałupy, idąc do zwierząt, rodziły się samoistnie przykre wspomnienia o wymordowanych jej mieszkańcach. Było mi ich żal. Kim byli ci ludzie? Z czego



*Wojna i związane z nią cierpienia trwałym śladem odcisnęły się na psychice i doświadczeniach Polaków. Tak wyobrażał sobie tę sprawę i ją dokumentował domorośli podlaski twórca S.K.*

żyli? Jak duża była to rodzina? Jak zginęła? Cisnące się do głowy pytania pozostawały bez odpowiedzi.

Z czasem sprawa chałupy zamienionej na oborę przybrała zaskakujący obrót. Lecz zrodziła się ona dopiero wówczas, kiedy - a były to już lata 60. zeszłego wieku - mój brat Antoni rozebrał tę żydowską chałupę, aby zbudować w tym miejscu oborę murowaną. Tamta chałupa była już mocno zmurszała i spróchniała, ponadto już nie odpowiadała potrzebom i nie mieściła wszystkich zwierząt, jakie on posiadał.

Wtedy zrodziły się dziwne skojarzenia. Bo te zużyte do budowy kamienie pochodziły w części z podworskiego pałacu w Ludwinowie, w którym przed wojną mieszkali dawni właściciele jagodnickiego folwarku, zatem „panowie” moich dziadków i ich dzieci, a więc również mojej mamy. Historia lubi płatać figle. Po przemianach ustrojowych dawna służba dworska przeniosła się z czworaku do pałacu, który po kilku latach doprowadziła do kompletnej ruiny.

Lecz to dopiero pierwsza odsłona zdarzenia. Była i druga. Jeden z mieszkańców Jagodnicy, Józef Brzyski, który pochodził ze Szpaków i wżenił się w rodzinę Saczuków, okazał się człowiekiem nienawistnym wobec mego brata, któremu się powiodło. Wymyślił i puścił w obieg zaskakującą plotkę. O tym jakoby Antek znalazł podczas rozbiórki żydowskiej chałupy złoto ukryte w belce. Mięli je umieścić tam Żydzi, gdy wybuchła wojna, lecz nie zdążyli stamtąd zabrać, ponieważ zginęli. Wysypało się ono - niby to - ze schowka podczas rozbiórki, dostając się w ręce brata.

Niedorzecznymi domniemaniami ów człowiek zainteresował milicję i prokuraturę, które - nie wiedzieć dlaczego - zajęły się donosem. Tajemnica powodzenia brata była tymczasem prozaiczna. Polegała na zaradności i pracowitości Antoniego i jego żony Franciszki. A że zawsze składało się tak, że obojętnie gdzie bym nie przebywał, czego nie robił, nie zrywałem nigdy kontaktu z rodzinną wsią i jej mieszkańcami, wiedziałem więc dobrze, co się tam działo.

Więź tę, na ile mógł, podtrzymywał również Janek, najmłodszy z braci, a ponadto moja żona Halina. Pozwalało mi to zareagować szybko na rzekomą aferę ze złotem. Proponowałem Antkowi, by na wszystko machnął ręką i dał sobie spokój.

Jak się okazało, nie doceniałem jego ambicji i poczucia godności,

które zostały naruszone. I dlatego nie dawał sobie niczego wytłumaczyć. Zabolało go mocno zwłaszcza to, że zlekceważone zostały jego wysiłek i solidność obywatelska. Nie był w stanie pogodzić się z bzdurnymi pomówieniami. Jak też z urzędowym dochodzeniem, wszczętym serio przez milicję sprawy powstałej na podstawie na plotki. Tak bardzo wbił to do głowy, iż był już bliiski rozstroju nerwowego.

Zaprzeczał wszystkiemu szwagier Henryk Juszcuk, który pomagał Antkowi w rozbiórce pożydowskiej chałupy. Zeznał milicji, iż nie było żadnego złota. W imieniu Antka pisałem listy do organów milicji i władz administracyjnych powiatu. Pisałem do Białej Podlaskiej i Lublina. Kpiłem ze sprawy, tłumaczyłem, żeby czym prędzej ją oficjalnie zakończyć i odwołać się do logiki, gdyż plotka od początku jest bzdurna i zmyślona. Swoim piórem wsparł mnie Mietek Pisarek, dziennikarz rodem spod Janowa Podlaskiego, z którym studiowałem. Wydrukował reportaż w poczytnym tygodniku, interweniował u władz. Był u mnie na Podlasiu i na miejscu poznał tę sprawę.

Plotka zakorzeniła się jednak tak mocno, trafiając na podany grunt, że żyła już samoistnie. Rozum najwyraźniej przegrał z niedorzecznością. Brakowało faktów, ale była sprawa. W końcu uszła śmiercią naturalną. Lecz Antoni przez długie lata - właśnie z tego powodu - odczuwał krzywdę i zawiedzenie. Na własnej skórze odczuł, ile zła i upokorzenia wyrządzić może ludzka zawiść.

## List z Jagodnicy

### Nasi drodzy!

Zbierałem się już dawno napisać do Was kilka słów, ale nijak nie mogłem się do tego zmobilizować, bo zniechęciłem się do wszystkiego. Chciałem nawet zrobić się pijakiem, po wódce boli mnie jednak głowa i czuję się podle. A potem pomyślałem sobie, że przestanę pracować. Niech będzie bieda, to może wtedy odczepi się ode mnie czerwona władza. Głupi ludzie za zdroszczą mi tego, do czego doszedłem sam uczciwą drogą, bo myśleli chyba, że jeśli zostaliśmy sierotami, to już się nie podniesiemy i wyginie marnie. Tymczasem stało się inaczej.

Jeżeli ludzie są niemądry, to dlaczego zgłupiała też milicja? Ciagle nachodzi, wypytuje świadków, gdzie jest to złoto? Pyta o nie, a ja żadnego złota nie widziałem. Wezwali mnie do powiatówki, zadają głupie pytania. Byłem mocno zdenerwowany, a złość potęgowała się tym bardziej, że czekałem niepotrzebnie od godziny



## *Sroga zemsta*

Chodząc do witalińskiej szkoły w parku - czyli, jak mówiliśmy, we dworze - miałem przed oczami pogorzeliśko pałacu rodowego Wężyków. Zaliczał się do cennych zabytków Podlasia. Wzniesiono go około 1670 r. z bierwion modrzewiowych, ustawionych na wysokim ceglany fundamencie. Stał w parku, za którym leniwie płynęła rzeka Klukówka. Pałac prezentował się znakomicie, świetnie wkomponowany w otoczenie. Pamiętam go z okresu, kiedy jeszcze stał nienaruszony. Był to klasycznie polski pałac ziemiański. Przed nim, od strony drogi, rosły rzędem wysokie świerki i siał się szeroko rozległy kwietny klomb.

Spłonął pod koniec okupacji. Uważa się powszechnie, co zresztą donoszą przewodniki, iż spalili go partyzanci. Lecz to nieprawda. Strawił go ogień - co bardzo żałowałem, gdyż gdyby przetrwał wojnę stałby się siedzibą szkoły albo muzeum - podłożony przez radzieckich jeńców. Po nim pozostała tylko legenda i duża przyzma gruzów i spenetrowanych po wielokroć piwnic.

Znam szczegóły tego pożaru. Być może już jako jeden z nielicznych, komu - chociaż mimowolnie - powierzona została ta tajemnica. Ogień podłożył „Miszka” i jego kompani. Była to zemsta za śmierć dwóch kolegów „Miszki”, w tym jego przyjaciela i partnera - „Griszę”.

Pałac - pamiętam to dobrze - palił się niczym olbrzymi skład smolnego drewna. Przykrywające go gonty, wyschnięte na proch, trzaśkały z hukiem. Płonące w powietrzu fruwały niczym sztuczne ognie. Patrzyłem na pożar poprzez łąki i park, od strony Jagodnicy. Zanim nie spłonął - był widoczny z naszego podwórka. Noc była ciemna. Nad łąkami unosiła się mleczna mgła. Łoskot palonych bierwion modrzewiowych niósł się daleko i z daleka było można dostrzec łunę pożaru.

Znajdujący się w Witalinie dawny majątek Wężyków - posiadający rozległe pola i las, gorzelnię i spichlerz, stodołę i oborę oraz inne zabudowania, a ponadto duże stado krów i koni - zarekwirowali Niemcy. Osadzili swego zarządcę Wilhelma Stepuna, odnoszącego się nienawistnie do Polaków.

Zetknąłem się z nim przypadkiem. Dzieckiem jeszcze będąc chodziłem za rzekę do lasu zbierać grzyby. Zazwyczaj z mamą, a potem także sam. Pasja ta zawładnęła mną na całe życie. Podobnie zresztą jak

obu moich braci. Mama soliła na zimę grzyby - to chyba od niej przejełiśmy zamiłowanie do grzybobrania - w dębowej beczcze. Zwłaszcza świnki i opieńki, także olszówki i rydze, które wraz z ziemniakami zjadaliśmy potem ze smakiem.

Od najmłodszych lat lubiłem wybierać się do lasu. Tak do „Kuranowa”, jak też „Borku” i „Krówki”. Bywałem tam, jeżeli tylko pozwalał czas, na jagodach, malinach i poziomkach. Nawet wiedziałem gdzie znajdują się dzikie porzeczki i rośnie dzika grusza, mająca smakowite owoce.

Na wzgórkach, gdzie uprawia się teraz zboża i ziemniaki - tam jest też pastwisko - rósł wówczas wysokopienny las sosnowo-dębowy, stopniowo wycinany. Na porąbie rozłożyły się okazałe poziomki. Nam zabraniano tam wchodzić. Stepun podtrzymał tę tradycję. Zarządca występował ostro przeciwko wałęsaniu się po lesie. Ze względu na zarośla i kępy drzew, od strony Jagodnicy dawało się niepostrzeżenie przedostawać do lasu. Na rzece mieliśmy ukryte kładki. Forsowaliśmy ją też w pław, wiedząc doskonale, gdzie znajdują się w jej nurcie płycizny.

Stepun znany był też z tego, że nieproszonych gości szczuł psem, a ponadto zdarzało się i tak, iż strzelał do nich solą z dwururki. Kto został trafiony takim ładunkiem, nie umierając cierpiał długo i boleśnie. Z uwagi na ból nie mógł nawet usiąść na pupie.

Pomimo to wyprawiałem się tam chętnie. Pokusa przeważała nad lękiem. Feralnego dnia, mając już do połowy napełnioną

8.35 do 14. Zostawiłem w domu robotę, której za mnie nikt nie wykona. Dokuczałem milicji, jak tylko mogłem, żeby przędzę mnie przesłuchała, a oni mówili bez przerwy, że tę sprawę prowadzi kornendant i ja mam obowiązek cierpliwie na niego czekać.

Caby dzień? Powiedziałem im dlatego, że oni nie powinni zabawiać się w plotki, bo szkoda na to czasu i zachodu, a tylko pilnować porządku. A oni na mnie z gębą, ja z kolei na nich - i zrobiła się pyskówka na całego, że aż śmiech. Mnie już na niczym nie zależało i niechby nawet mnie zamknęli, to bym przynajmniej wiedział za co siedzę.

Ty bracie, jak myślę, rozumiesz mnie i moją sytuację. Pracuję ciężko z Franią, dzieci pędzą do roboty, a oni bez przerwy umawiają mi, że mam złoto, gdyż inaczej w tych czasach bym się nie budował. A czy to dziwne, że chcę coś postawić po 15 latach ciężkiej harówki? Tyle nocy nie przespianych, tyle niedostatku i wyrzeczzeń, wielkiego trudu - i taka zapłata!

kankę, usłyszałem gardłowe ujadanie psa. Ujrzałem Stepuna przechodzącego się duktem. Na wpół martwy, wylęknięty, zapadłem w gęsty krzak.

Od zarządcy dzieliła mnie przestrzeń krótsza od stu metrów. Pies, jak to pies, nieustannie krążąc węszył zapach ziemi, a ponieważ wiatr wiał od niego w moją stronę, a nie odwrotnie, byłem pewny, iż nie zwęszy mnie i mogłem dlatego próbować wycofać się z zagrożenia. Jednak strach na tyle mnie sparaliżował, ciągle słysząc ujadanie wilczura, że nie byłem w stanie zrobić nawet kroku do przodu.

Przebierałem w miejscu nogami, włosy stały mi dęba, a o ucieczce nie mogło być mowy. Ani przedtem, ani potem czegoś podobnego nie doświadczyłem. Dopiero, gdy ucichło ujadanie psa, mogłem ruszyć do przodu.

Zabytkowy pałac Wężyków, ładnie usytuowany i urządzony, z bogatą biblioteką starodruków i książek współczesnych oraz galerią starych obrazów, w tym dziedziców rodu, okupant przeznaczył na ośrodek wypoczynkowy i rehabilitacyjny lotników. Przebywało w nim, pomijając służbę i osoby zajęte ochroną gorzelni, zwykle kilku żołnierzy. Gotowych - w razie zawezwania - spieszyć z pomocą podczas akcji przeciwko partyzantom i bandytom. Tej akurat nocy pałac mieścił mało gości.

Przed pożarem miejsce miała mało licząca się obława na uciekinierów z hitlerowskiego obozu. Sprowokował ją Emil Bąk, jeden z mieszkańców Jagodnicy, zamieszkały na kolonii, którego odwiedził nocą uciekinier, prosząc o chleb. Emil Bąk wyszedł kryjówkę uciekinierów, która mieściła się w śródpolnym kopcu ziemniaków.

Przychodząc na obławę, Niemcy odwiedzili - a było to już, wczesnym rankiem - chałupę Stanisława Maziejuka, stojącą samotnie na terebelskiej kolonii, skąd blisko było do tego kopca. W domu ukrywała się Żydowska rodzina. Niemcy poprosili o łopatę, nie wchodząc do wewnątrz. Gdy zbliżali się do kryjówki, dwaj jej mieszkańcy poczuli uciekać w różnych kierunkach. Jeden poległ w polu. Drugi został ranny na łące. Dobijał go łopatą rodzony brat owego zdrajcy.

I to właśnie zrodziło w „Miszce” postanowienie o zemście na Niemcach. Emil Bąk współpracujący z okupantem, zaraz po wojnie uciekł ze wsi na Ziemię Zachodnie, obawiając się karnej odpowie-

działności za swoją postawę. Tam stał się aktywnym działaczem PZPR.

Można by spytać, jak to możliwe, żeby grupa dobrze uzbrojonych hitlerowców dała się zaskoczyć dwójce ludzi z lasu? „Miszka”, jak wspomniałem, odznaczał się odwagą i brawurą, sprytem, a do tego był podstępny i bezwzględny. Pilotów zaskoczył nocą, w pierw obezwładniając wartowników, aby nakazać im w języku niemieckim, żeby czym prędzej opuścili pałac, jeżeli nie chcą zginąć od ognia.

Niemcy, na wpół nadzy, opuścili go bez broni i z podniesionymi w górę rękami. Na rozkaz „Miszki” weszli następnie do wody w pobliskim stawie rybnym. Na potwierdzenie tego, że „ruscy” nie kłamią, Niemcy usłysze-  
li wystrzały karabinowe z paru kierunków. Sprawił to „Fiedia”, kompan „Miszki”, po-  
ciągając za sznurki uczezione wcześniej do spustów karabinów przytwierdzonych do parkowych drzew. Strzały przeraziły na serio lotników, wymuszając ich posłuszeństwo.

Lotnicy weszli posłuszenie do wody kie-  
dy, płomienie lizały już ściany i dach pała-  
cu. Niełatwo dociec, dlaczego „Miszka” nie  
pozabijał pałacowych lokatorów? Być może  
obawiał się, że okupant rozstrzela w odwe-  
cie wielu mieszkańców Witulina, Jagodni-  
cy oraz innych jeszcze wiosek. Nie ucichły  
jeszcze echa okrutnie spacyfikowanej wsi  
Sulinki, sąsiadującej z Witulinem. Każdy,  
kto chciał, dobrze wiedział i rozumiał, na  
co stać Niemców.

Na pogorzeliśku znalazłem się na dru-  
gi czy też trzeci dzień od tego wydarzenia.

Gdy przypomnę sobie,  
jak rozpocząłem się budo-  
wać, to ludzie pokpiwali  
ze mnie, że po co ja tak się  
męczę, skoro będą kołcho-  
zy? Inni nic nie robią, a  
ja, taki głupi i naiwny...

Ja wtedy właśnie kupo-  
wałem drewno na budulec,  
bo było tanie, ponie-  
waż chłopskie lasy miały  
zostać upaństwowione.  
Ładną sosnę można było  
kupić za 100 do 200  
złotych, grubą nawet do  
150 centymetrów.

Mogłem przepijać  
pieniądze, jak inni, czemu  
nie, ale ja tego nie robi-  
łem. Nie oglądając się na  
to, że powstaną kołchozy,  
kupowałem grubiznę  
też na dom, bo chałupa  
dziadkowa już spróch-  
niała. Pomyślałem sobie,  
że jak powstaną te koł-  
chozy, to ja przynajmniej  
pomieszkać po ludzku.  
Jak kupowałem cegłę na  
oborę, to ona leżała wtedy  
w GS, bo nie było na nią  
kupca. Nawet i 100 tys.  
sztuk mogłem kupić bez  
żadnego przydziału, tak  
ludziom poopadały ręce.  
Wziąłem mniej, ale też  
bardzo dużo. Ułożyłem te  
cegły w stosi i tak leżały  
one u mnie 3 lata, gdyż

Ogień strawił doszczętnie pałac. Spopieleił też - podpalone wtedy - sto-  
dołę i oborę oraz stajnię. Widok martwych zwierząt - nadpalonych,  
poskręcanych z bólu, którym z orbit powychodziły oczy, które mia-  
ły pogryzione języki - śnił mi się po nocach. Wyciskał łzy i oburzał.  
Zwierzęta spłonęły żywcem. Ginęły w okrutnych mękach, przeraźliwe  
ryczenie bydła i rżenie koni podczas pożaru dobiegało do Jagodnicy.

Nabrałem wstrętu do sprawców tego nieszczęścia. Zdumiony  
byłem, będąc przecież dzieckiem, iż znalazły się wśród ludzi osoby  
tak bardzo okrutne i niewrażliwe na los zwierząt. A kiedy patrzyłem  
na martwe zwierzęta i widziałem jak niektórzy spośród mieszkańców  
Witulina, a może i skądinąd, wycinali z ich ciał co bardziej atrakcyjne  
kąski - zrywało mnie na wymioty.

Wtenczas jeszcze nie wiedziałem, kim byli sprawcy. To ujawni-  
ło się dopiero potem, kiedy „Miszka” chwalił się swoim wyczynem.  
Z tego powodu nie zyskał on w moich oczach uznania. Przeciwnie,  
nabrałem do niego wstrętu. Co zawinił - rozumowałem po swojemu  
- piękny pałac? Co zawiniły zwierzęta?

Zaskoczony byłem przestraczem Niemców. I nie dlatego, iżbym im  
współczuł. Zastanawiało mnie to, jak łatwo dali się zaskoczyć. Sądziłem,  
że dlatego, iż bali się panicznie „iwanów”, o których poczynaniach krą-  
żyły i tutaj przerażające wieści. A jednak, pomimo wszystko, nie miałem  
dla Niemców jakiegokolwiek współczucia. Powszechna i autentyczna  
nienawiść do nich, panująca we wsi i rodzinie, udzielała się także mnie.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, gdyż ujawniło się to później, że  
tej samej nocy, wykorzystując zamieszanie, „Miszka” spalił również  
niemieckie baraki w Terebeli. Stały na skraju łąk „Błota”, naprzeciw-  
ko unickiego cmentarza, a ich mieszkańcami byli -nie licząc strażni-  
ków - radzieccy jeńcy wojenni, wykorzystywani do wyrobu brykietów  
z torfu. Baraki pokryte były papą. „Miszka” ostrzelał je zapalającymi  
kulami z oddali, ukryty poza rowem.

### *Nigdy im nie wybaczę*

Dał się on we znaki także nam. Szantażował mamę, której jedno-  
cześnie pomagał ukradkiem w robocie, obawiając się, iż wie zbyt wiele

i mogłaby wydać go Niemcom. Zabraniał jej opuszczać wioskę. Mama usiłowała, ale bezskutecznie, pozbyć się jego. Pewny siebie i agresywny, pojawiał się znienacka, nie-spostrzeżenie, mając w odwodzie zapasowe kryjówki, które często zmieniał. Z przebiegłością lisa przenosił się na krotko z jednej do drugiej.

Zimową nocą 1943 roku, gdy doszło do nieszczęścia, które on sprowadził na nas, „Miszka” przebywał akurat w naszej chałupie. Spał, jak zwykle, w kuchni, podczas gdy my z mamą zajmowaliśmy pokój. Krótko po północy rozległo się nerwowe łomotanie do okna. Noc była niezbyt ciemna, mroźna, spoza chmur od czasu do czasu wyglądał księżyc, więc kiedy mama podeszła do okna, by zorientować się kto się dobija, „Miszka” był już na nogach. Wyglądając przez szybę, mama nie była w stanie rozpoznać kobiety, okutanej w grubą kraciatą chustę, która wyznała, że jest krewną i mieszka w mieście. Był z nią obcy mężczyzna. Kobieta prosiła, żeby wpuścić ją do mieszkania, a wtedy opowie, co sprowadza ją o tak niestosownej porze.

Mama zabierała się już do zapalenia lampy, chcąc otworzyć drzwi, gdy „Miszka” bez słowa wyrwał ją z jej rąk. Zorientował się, iż zapowiada się coś niedobrego. Zasadka. Poprzez zaciemnione okno dostrzegł dwóch żandarmów stojących obok płotu.

Nakazał mamie, żeby nie spieszyła się z otwieraniem drzwi. Sam chwycił starą siekierę z krótkim trzonkiem, którą tłukłem

ciągle nie miałem jeszcze możliwości zabrać się za budowę, a jak zabrakło mi potem 100 sztuk cegieł na komin - to wtedy była tragedia, żeby tę ilość kupić legalnie. Krzyczeli na mnie w GS, że ja i tak już mnóstwo cegły nakupiłem i jeszcze chcę kupić więcej, a do tego potrzebuję materiał na oborę. Nasłuchałem się ja różnego rodzaju głupstw co niemiara.

Wtenczas powiedziałem sobie twardo, że nie będę czekał z założonymi rękami, co ma się stać, a tylko na złość wszystkim wezmę się za budowę. Po to, żeby później, kiedy już będę starszy, można było lżej żyć. A teraz - jak widzisz - mam wynagrodzenie za tę pracę. Za pracę i swoją postawę. Gdybym postępował inaczej, dajmy na to tego popijał, byłoby dobrze?

A oni ciągle mi to samo: ażebyś nie miał złota, to byś na budowę się nie porywał! Milicja umawia mi, powtarzając głupią plotkę, jaką złośliwie rozpuścił Józef Brzycki, że jak rozbierałem starą chałupę, która stała się oborą, to znalazłem



torf i czym prędeż wyskoczył z nią do sieni, a stąd po drabinie na strych. Znajdowały się tam - od strony podwórka - drzwiczki, wcześniej używane przez ojca dla potrzeb gołębi. „Miszka” zamierzał tędy wyskoczyć na dwór. Uchylił po cichu drzwiczki i wypatrzył kolejnych dwóch żandarmów stojących za bramą z karabinami gotowymi do strzału. Odstąpił wobec tego od zamiaru, poszukując nerwowo innego wyjścia z tej zasadzki.

Tymczasem w sieni stali już niespodziewani goście. Prowadzili rozmowę z mamą. Obcy mężczyzna udawał, że zna „ruskiego”, odezwał się do niego po imieniu, gdy ten był jeszcze na strychu, proponując mu „zakurkę”. „Miszka” powoli, szczebel po szczeblu, schodził drabiną w dół.

Zwietrzywszy podstęp, „Miszka” ukrył za plecami siekię, zaś drugą rękę wyciągnął po podsuwanego mu papierosa. Tamten chwyciwszy go za koszulę, zawołał do Niemców „kom”. Lecz „Miszka”, zdecydowany na wszystko, dzielił w tym czasie nieznanego obuchem siekiery w głowę i pchnął w stronę drzwi. Obcy upadł na schody.

Sądząc, że to „ruski”, żandarmi skierowali karabiny na powalonego mężczyznę. Tymczasem „Miszka” pędem wyskoczył - jak stał, w kalesonach i koszuli - na zewnątrz i dzielił obuchem żandarma. Jednym susem sforsował płot i wyrwał jak błyskawica w pole.

Prawie natychmiast zniknął żandarmom z oczu. Po śladach odcisniętych na śniegu, które oglądaliśmy potem, widać było, iż biegł zryzakiem wielkimi susami w stronę wsi.

Niemcy strzelali chaotycznie tam dokąd uciekał, niczego nie dostrzegając. Na podstawie odgłosów padających kul uznali jednak, że udało się im go trafić. Kiedy poszli w pole szukać trupa, natknęli się na przyrmę obornika, jaki sąsiad wywiózł, aby wiosną go przyorać. Powrócili wściekli.

„Miszce” i tym razem dopisało szczęście. Natomiast dla nas, zwłaszcza mamy, zaczęła się sądna noc. Nieszczęście. Dramat.

Kobiety, która posłużyła za wabia, już nie było, ani też mężczyzny, który odniósł ranę od uderzenia siekię. Niemcy - w swoim stylu - przystąpili niezwłocznie do przesłuchiwania mamy.

Bijąc ją z nienawiścią i bezlitośnie pałkami po plecach i nogach, pięściami po twarzy, wypytywali, skąd wziął się „ruski”, kim jest dla

niej, gdzie ma kryjówkę, gdzie ukrył broń, kto inny jeszcze przychodzi z lasu, dlaczego nie doniosła im o tym...

Wiele pytań i dotkliwych razów. Dużo krzyku i wrzasku, wyzwisk, przekleństw. Wściekłość i nienawiść. Mama odpowiadała z trudem, głośno płacząc, a potem już tylko popiskiwała z bólu, prosząc Boga o litość. I my, jej synowie, wystraszeni, także płakaliśmy. Uczepiliśmy się kurczowo mamy - Antek, Janek i ja - chroniąc ją tak, jak mogliśmy. Niemcy byli okrutni. Nasz płacz, ani tym bardziej mamy, nie robił na nich żadnego wrażenia. Oderwali nas siłą od mamy, ciskając na łóżko, aby nadal ją obijać. Wściekali się nieludzko, że nie udała się im ta wyprawa.

Kto ich nasłał? Kto mógł wiedzieć, że akurat tej nocy „Miszka” zanocował u nas? Na ten temat było wiele domniemywań i przypuszczeń. Mama podejrzewała mieszkającą wówczas w Białej Podlaskiej siostrę ojca, Feliksę, ponieważ mogła mieć powód do zemsty. Wcześniej procesowała się o ziemię z moimi rodzicami. Felka przysięgała później, że tego nie zrobiła.

Jednakże ktoś zakapował. Zdradził. I musiał to być ktoś blisko mieszkający, kto mógł podpatrzeć, co się u nas działo. Pokątnie mówiło się w domu - sam też jestem tego zdania - że uczynił to jeden z mieszkańców Jagodnicy. Człowiek z gruntu zakłamany. Nieuczciwy. Zły. Ten, który już wcześniej wysługiwał się Niemcom. Kto diabła miał za skórą, a w kościele rozciągał się krzyżem. Mówiło się o nim, że to taki człowiek, który

ukryte w niej złoto. *Caluski skarbiec złota!*

Toż wtedy, kiedy rozbierałem starą oborę, to już stał nowy spichrz, w którym - jak pamiętasz - przez pół roku mieszkaliśmy z całą rodziną. Był już wtedy zgromadzony materiał na nowy dom i stolarka do niego też była już gotowana.

Ty, bracie, znasz tę sprawę, często nas odwiedzasz, więc wiesz jak jest, toteż nie muszę ci wszystkiego tłumaczyć. A ja tak mocno zostałem napiętnowany za tę swoją zapobiegliwość... To bardzo boli!

Czy mam chodzić od chaty do chaty i tłumaczyć się z tego, co robię i zaprzeczać temu, czego nie było, bo ludzie ciągle powtarzają, że „gdyby nie miał złota, to by milicja się nim nie interesowała.” A tu, bracie drogi, bądź mądry i wytłumacz się z tego, czego w ogóle nie było. Czego nie ma wcale, bo to tylko złośliwy ludzki wymysł i nic więcej... Jak? A jakby nie dość tego, to jeszcze złośliwi ludzie przezywają nasze dzieci „złotnikami”. Nijak inaczej, a tylko „złotniki” i „złotniki”...

dla pieniędzy gotów byłby po ściernisku pogonić wesz do Gdańska. Powodów jego uprzedzenia i podłego stosunku do naszej rodziny, którą również okradał, nie udało mi się dociec.



*„Piekło na ziemi” - tak zatytułował S.K. swój rysunek, nie mogąc pozbyć się okupacyjnych i wojennych wspomnień*

ostateczne rozstanie z mamą. Płacz wypełniał podwórko i niósł się za odjeżdżającymi sankami.

Antek powrócił z miasta kompletnie załamany. Wzbudzając przestraszenie, gestapo wywoływało jak najgorsze skojarzenia: przerażenie i nienawiść do Niemców. Trafic tam, w ręce oprawców, to tak jakby stanąć na progu piekielnej otchłani. Pozbawieni zostaliśmy prawa

Niemcy zaprzestali przesłuchiwać mamę, gdy ta straciła świadomość. Mdląca raz po raz. Kiedy odjeżdżali, nakazali surowo, aby następnego dnia mama stała się w południe w białskiej siedzibie gestapo.

Obolałą i pobitą, z sińcami, nieszczęśliwą, odwiózł ją tam Antek na sankach. Żegnała się z nami tak, jakby po raz ostatni. Było wiadomo przecież, że stamtąd mało kto powracał żywy i cały. Zapłakana, tuląc nas do siebie, głaszcząc po głowach, patrząc nam w oczy, starała się - bez słów - zapamiętać nas takimi, jakimi byliśmy.

Pólsieroty, które wkrótce stać się mogą kompletnymi sierotami. I my, młodzi i zagubieni, którym przypadała ta trudna rola, żegnaliśmy ją tak, jakby było to

do odwiedzania mamy. Zabroniono nam dostarczać jej paczki z żywnością i odzieżą. W podziemiach kaźni mieściły się karcery i pomieszczenia do odbywania przesłuchań. Stanowiły znienawidzony synonim zła. Nieludzkiego traktowania więźniów i odzierania ludzi z wszelkiej godności. Przemysłnego i bezwzględного ich maltretowania.

Czyż można więc dziwić się - mnie i tym, co byli w podobnej sytuacji - że pomimo upływu lat wciąż nie jestem w stanie pogodzić się z okrucieństwem niemieckich oprawców? Nikt też, co do tego także jestem pewny, nie byłby w stanie - gdyby zechciał - przekonać mnie do potrzeby przebaczenia im wyrządzonego zła, chociaż jestem katolikiem i powinienem umieć wybaczać.

Za bardzo, lecz przecież niebezpiecznie, znienawidziłem ich wtedy, żebym teraz miał o tym nie pamiętać. Jakkolwiek, nie będę zaprzeczać, da się odnotować przez minione lata pewien postęp, gdyż czas zatarł po części kontury nienawiści do hitlerowców. Wkrótce po wojnie byłem w takim stanie, że gdyby zaistniała stosowna możliwość, bez żadnych zahamowań i drżenia rąk mógłbym strzelać do nich, choć ani wcześniej ani potem nie odważyłem się zażyć nawet zwierzęcia.

Niech młodzi Polacy i Niemcy, żyjący w zgoła innych czasach, przyjaźnią się i kochają. Bo też dzieci nie ponoszą odpowiedzialności za czyny ojców, a tym bardziej dziadków. Ja nie byłbym jednak w stanie

*Frania dostała od tego  
wszystkiego nerwicy serca.  
I masz tu człowieku, taka  
cię spotyka nagroda od  
Polski Ludowej za twoją  
rzetelną pracę!*

*Sam już nie wiem, co  
teraz począć? Udawać,  
że niczego nie ma czy  
też przestać pracować i  
gospodarkę doprowadzić  
do ruiny? Zdeprawować  
wszystko, cały dorobek  
życia, w co i ty, bracie,  
wkładałeś rękę? A do tego  
już władza zapowiada, że  
wymierzy mi podatek od  
wzbogacenia. Niby za te  
złoto, które znalazłem. A  
może lepiej kupić na złość  
ludziom telewizor i sie-  
dzieć ciągiem przed nim,  
patrzac jak sroka w kość?  
Czy też jednak machnac  
ręką i pracować dalej?*

*Proszę Cię poradź mi,  
drogi bracie, co ja mam  
w tej sytuacji począć? Co  
robić? Napisz to w liście,  
a najlepiej byłoby, żebyś  
przyjechał do Jagodnicy, to  
byłby czas, żebyśmy sobie  
szczerze pogadali.*

*Myszę sobie, że gdyby  
mi przyszło odstąpić od za-  
miarów i nastawić się na  
łżejszą robotę, to wtenczas  
byłby jedynie wolniejszy  
upadek - i nic więcej...*

wykreślić z pamięci zła, jakie oni wyrządzili mojej rodzinie i mojemu krajowi.

Na moją postawę, jakby nie zabrzmiało to górnolotnie, wpłynęła wojna i wszystko, co przyniosła ona ze sobą. Młodzi żyją na szczęście bez tego koszmaru, jaki był moim udziałem, lecz wszelako - jeżeli wolno - radziłbym jednak patrzeć uważnie Niemcom na ręce. Wnikać w ich umysły, obserwować i pamiętać o historii, która nie jest wcale tak odległa, jakby się mogło wydawać.

To na marginesie. Wracając zaś do zasadniczego tematu wspomnę, że po kilkunastu dniach pobytu mamy w bialskim gestapo do stryja Stanisława Maziejuka w Terebeli dotarła wiadomość, iż może on ją stamtąd odebrać. Byliśmy szczęśliwi, gdyśmy dowiedzieli się o tym.

Stryj pojechał do Białej, a my w trójkę z wielką niecierpliwością oczekiwaliśmy powrotu mamy. Nie wydaje mi się, ażebym w swoim życiu kiedykolwiek potem oczekiwał na kogoś równie niecierpliwie. Gdy stryj zatrzymał konia na naszym podwórku, ujrzałem mamę na wpół żywą, leżącą w grochowinach wiklinowego wasągu na saniach. Twarz miała opuchniętą, fioletową od siniaków, pokryta zaskorupiałymi ranami. I bardzo, bardzo zabiedzona. Nawet dla nas z trudem do rozpoznania. Gdy to piszę, po tak przecież odległym czasie, przypominają mi się szczegóły i w kącikach moich oczu pojawiają się łzy...

Stryj Stanisław, już od kilku lat owdowiały, powodowany być może poczuciem tradycyjnej odpowiedzialności za rodzinę rodzonnego brata, albo czymś innym, zaproponował mamie małżeństwo, co zresztą czynił także wcześniej. Był starszy od naszego ojca Franciszka.

Znany i ceniony - mieszkał wówczas po środku wsi, gdzie mieściło się siedlisko dziadka Leona, wtedy jeszcze gęsto zabudowanej. Po drugiej stronie szerokiej ulicy znajdowała się działka naszego ojca, którą później zajął ktoś inny, gdy on przeniósł się z Terebeli do Jagodnicy. Gdybym miał talent malarski, pokusiłbym się nawet teraz przenieść na płótno obraz dawnej wioski, jaki zapamiętałem. Z całym jej prymitywem i urokiem.

Stanisław Maziejuk, ubierający się z poleska, postawny i krępy, z bujnym wąsem, nosił przydomek „Czepec”. Zastanawiałem się długo, skąd wzięło się to dziwne określenie, aż w końcu wszystko się wyjaśniło. Jako poddany rosyjskiego cara, stryj trafił na wojnę rosyjsko - nie-



miecką, która zakończyła się dlań niewolą. Kilka lat przesiedział w obozie jenieckim ma terenie Węgier. Wrócił stamtąd zdrowy i cały, mając na głowie beret, który stał się powodem do nadania mu owego pseudonimu.

Mama odrzucała jego małżeńskie propozycje. Tłumaczyła nam, kiedy byliśmy już starsi i nieśmiało pytaliśmy ją o to, że uczyniła to dla naszego dobra. Nie chciała, żebyśmy mieli ojczyma, którego stosunek do nas, jej synów, był trudny do przewidzenia i mógłby okazać się zły. To niewątpliwie bardzo szlachetna intencja, ale - zastanawiałem się po wielokroć - czy aby uzasadniona? Być może gdyby przyjęła tę propozycję, los nasz potoczyłby się inaczej. Lepiej?

Położenie naszej rodziny stawało się od tego zdarzenia coraz gorsze i trudniejsze. Mama nie odzyskała już utraconego zdrowia. Nie zdołała też go poprawić czy ustabilizować na jako takim poziomie. Znalazło się ono na równi pochyłej. Z każdym, niestety, rokiem zdrowie mamy podupadało, zapowiadając zbliżającą się śmierć.

A nam, jej synom, przybywało lat i sił. Nie przestając być dziećmi - stawaliśmy się silniejsi i bardziej samodzielni. Usiłując przejmować na siebie zadania i większe, i trudniejsze - dorastaliśmy szybciej, niż by należało. Mamę cieszyło to bardzo, lecz wskutek utraty sił pogłębiał się jej smutek, co i nam rzucało się w oczy, pokątnie płakaliśmy, nie dając jej poznać tego; czego nie dawało się jednak ukryć. W tej atmosferze dojrzewaliśmy szybko i przedwcześnie.

*A smutna prawda jest Heńku taka, że gdyby rzeczywiście było to złoto, o które dopytuje milicja, to nasza Mama jeszcze by żyła i cieszyła się nami, bo byłoby za co ją leczyć. Czyż nie tak? Lecz gdzież szukać prawdy, kiedy ci nie chcą uwierzyć!*

*Dziękujemy Wam, tobie i Hali, za troskliwą opiekę nad Zbyszkim. Dzisiaj Zbyszek jest w domu, jutro odjeżdża do szkoły. Nauka idzie mu nie najgorzej, ciężko tylko z językiem rosyjskim. Szkoła ma założyć kółko douczania rosyjskiego, bo potrzebuje tego kilkoro uczniów, ale trzeba płacić po 100 złotych miesięcznie. Sprzedam kapustę i jakoś dam sobie radę. Kapusta u nas droga, płaci się za nią po 200 złotych za 100 kilo. A ja mam kapusty przeszło, jak obliczam, 30 metrów, bo ona u nas pięknie obrodziła. Ziemiaki też były ładne. Może weźmiesz trochę dla siebie, kiedy przyjedziesz do nas z żonką? Zapraszamy z całego serca.*

*Antek*

*Jagodnica*

*12 października 1969 rok*



### III. TRWOGA I NADZIEJA

#### *Wolność dotarła w niedzielę*

Trwająca na wschodzie wojna także w Jagodnicy odbijała się głuchym echem i pomrukiem. Gdy ziemię nocą skuł ostry mróz, dobiegało do nas dudnienie ciężkich transportów kolejowych, jakie przetaczały się z łoskotem w stronę Brześcia. Załadowane sprzętem wojskowym pociągi sunęły jeden po drugim. Do lasu - poza rzeką Krzną, w okolicach Sokul, Porosiuk i Surmaczy - w prostej linii jest z Jagodnicy około 10 km. A tamtędy właśnie przebiegają tory kolejowe.

Wśród hitlerowców wzrastała niepewność i wściekłość, spowodowana porażkami. Natomiast wśród Polaków wzmagą się nadzieje zbliżającego się wyzwolenia Polski. Kiedy partyzanci, tak polscy, jak też radzieccy, wysadzali z hukiem śródlądne tory kolejowe, także u nas słychać było wybuchy, i były one przyjmowane z satysfakcją.

Im zaś bliżej był front, tym bardziej nasilała się aktywność dywersyjna partyzantów i wzrastało przeświadczenie o nieuchronnej porażce Niemców. Partyzanci AK i BCh dawali o sobie znać. Po sąsiedztwie, w Witulinie i Worgulach, rozbili zlewnie mleka, dostarczane go okupantowi w ramach kontyngentów. Niszczyli w urzędach kwity i dokumenty, spisy ludności i wykazy osób podejrzanych. Palili zboże odbierane chłopom. Wysadzali mosty.

W murach leśniańskiego kościoła ojców paulinów funkcjonowała tajna szkoła podchorążych Batalionów Chłopskich, w której przebywał komendant główny tego ugrupowania Franciszek Kamiński. W osadzie tej, promieniującej na całą okolicę, w ruchu konspiracyjnym uczestniczyli nauczyciele i wychowankowie przedwojennego Seminarium Nauczycielskiego.

Wituliński proboszcz ks. Paweł Zubko, rodak z Grodna, od początku był aktywny w ruchu oporu. Potajemnie sporządzał teksty nadsłuchów radiowych z Londynu, służące do redagowania i wydawania oraz kolportowania podziemnej gazetki informacyjnej AK, zatytułowanej „Nasze Wiadomości”. Najpierw były one wydawane - w formie maszynopisu - na plebanii ks. Pawła Zubki „Witalisa” w Witulinie, a później w Leśnej Podlaskiej.

W pracę konspiracyjną zaangażowało, się m.in. małżeństwo nauczycielskie Ireny i Franciszka Kędzierzawskich. W ich leśniańskim mieszkaniu mieścił się konspiracyjny punkt kolportażu „Naszych Wiadomości”. Irena Kędzierzawska, nosząca w konspiracji pseudonim „Irena”, opłaciła to śmiercią. Aresztowana w grudniu 1943 r. była więziona przez hitlerowców w kaźni na Zamku Lubelskim, a następnie rozstrzelana w obozie zagłady w Majdanku.

Bitą i maltretowaną podczas przesłuchań nikogo nie sypnęła. Jej mąż Franciszek, z uwagi na zainteresowania muzyczne zaprzysiężony w AK pod pseudonimem „Bemol”, resztę okupacji spędził w Biłgoraju, ukrywając się pod fałszywym nazwiskiem. Po wyzwoleniu wrócił do Leśnej Podlaskiej, by nadal uczyć w Liceum Pedagogicznym muzyki i śpiewu.

Nie mogłem przypuszczać, iż po upływie wielu lat spotkam syna tego zasłużonego małżeństwa, urodzonego na Podlasiu Janusza Kędzierzawskiego. Spotkaliśmy się na studiach dziennikarskich w Warszawie, nawiązując często w rozmowie do spraw związanych z Leśną Podlaską i Witulinem. Przez długie lata Janusz szefował Polskiej Kronice Filmowej. Łączy nas nieprzerwanie serdeczna więź koleżeńska.

Byłem zbyt młody, aby konspiracyjne wieści mogły do mnie docierać, ale też - nie dawało się przecież tego uniknąć - tak czy inaczej objęły się one o moje uszy. Przenoszone potajemnie - były na tyle jawne, żeby nie dać się ukryć. Pojmowanie sensu tych wydarzeń przetrastało wówczas moje możliwości, jednakże bliski był mi strach związany z nimi.

Zwłaszcza rok 1943 obfitował w działania partyzanckie i sabotażowe oraz represyjne, dziejące się w pobliżu Jagodnicy. Wcześniej, we wrześniu 1942 r., została przeprowadzona akcja AK i BCh na majątek w Witulinie, zarządzany - jak pisałem - przez administrację niemiecką. Przy współudziale miejscowych partyzantów, kowala Wiktora Szarubki, ogrodnika Jana Śnitki i karbowego Klemensa Wojtkiewicza, wprowadzono stąd kilka krów, a na wozy załadowano zboże ze spichrza i także dwie beczki okowity z gorzelnii. Ta duża zuchwałość podziemnych żołnierzy polskich dodawała ludziom otuchy. Tym bardziej, że podobne akcje sabotażowe objęły dwie inne nieodległe od nas wioski, Nosów i Wólkę Nosowską.

Leśna Podlaska ogniskowała potęgujący się w tej okolicy ruch partyzancki. Z uwagi na to Niemcy wzmocnili posterunek żandarmerii, a w połowie kwietnia 1943 r. przysłali na teren gminy karną ekspedycję, która plądrując wioski, szczególnie Witulin i Mariampol, rabowała rolnikom resztki zboża i zwierzęta gospodarskie.

Nasilała się jednocześnie aktywność partyzancka i zapiękość okupanta. Wśród ludzi krążyły na ten temat różnego rodzaju wieści. A to o strzelanie w kolejce wąskotorowej, w której zginął żandarm, a to o uśmiercaniu zdrajców i sługusów okupanta, a to znowu o tak zwanej „akcji omłotowej”, w wyniku której - by utrudnić Niemcom aprowizację - następowało niszczenie młocarni i podpalanie stert zboża w majątkach czy też pozbawianie chłopów części do kieratów.

Jedne wieści cieszyły, drugie smuciły. Na początku maja roku 1941 zespolone siły AK i BCh przeprowadziły kolejną akcję na majątek w Witulinie. Dużą grupą żołnierzy AK dowodził słynny „Zenon”, wtedy por. Stefan Wyrzykowski, rodem z Mariampola, którego oddział bojowy rósł w siłę i odwagę. Dużą grupą BCh-owców dowodził „Kruk”, to jest Marian Celiński, a jego zastępcą był „Strzała”, czyli Stanisław Celiński, którzy rekrutowali się z silnej placówki Sulinki - Komarno. Znajdowała się w pobliżu Konstątnowa, gdzie ulokował się mjr Aleksander Wereszko „Roch”, Komendant Rejonu AK.

Partyzanci przybyli nocą do witulińskiego majątku od strony cmentarza, aby zarekwirować dla potrzeb partyzantów artykuły rolne i spirytus. Akcja była połączona ze strzelaniną i ofiarami. Pałac modrzewiowy zajmowali hitlerowscy rekonwelescenci i strażnicy. Stąd więc rozległy się pierwsze strzały, gdyż partyzanci powzięli próbę jego zdobycia. Podczas jej przeprowadzania zginął jeden partyzant, a dwaj inni zostali ranni.

Wozy ze zrabowanym towarem przedostały się poprzez Jagodnicę, Zaberbecze i Worgule do lasu „Floria”, aby stamtąd dotrzeć do zgrupowań w pobliżu Siedlec. Jednak tym razem Niemcy podjęli na szeroką skalę kontrakcję. „Florię” obstały zgrupowane oddziały wojska, żandarmerii i granatowej policji, by zdławić znajdujących się w lesie partyzantów.

Potyczki przerodziły się w otwartą bitwę, do której użyto nawet samolotu i doprowadziła ona do strat po obu stronach. Zginęło kilku

partyzantów, kilku zostało rannych, ale polegli też Niemcy. Jednakże w wyniku brawurowej akcji udało się wyjść z okrążenia „Zenonowi” i większej liczbie jego żołnierzy.

Bezradność hitlerowców przeistoczyła się wkrótce w bestialstwo. Ich nienawiść obróciła się zwłaszcza przeciwko wsiom stanowiącym partyzancką bazę. Wczesnym rankiem 27 września 1943 r. zespolone siły zbrojne okupanta, składające się z wojska, policji i żandarmów, otoczyły wieś: Sulinki, Pasiekę, Ossówkę, Kolonię Witulin i Komarno, żeby dokonać pacyfikacji. Spłonęło wiele zabudowań, ludność wypędzona została z domostw. Część z nich poległa albo trafiła do aresztu w Białej Podlaskiej. Łuny palących się gospodarstw były widoczne z Jagodnicy. Ja też je widziałem i słyszałem strzały.

I jakby nie dość tego okrucieństwa, w połowie grudnia 1943 r. Niemcy urządzili w Leśnej Podlaskiej egzekucję publiczną Polaków. Spędzili pod przymusem okoliczną ludność. Samochody przywoziły z Białej 18 mężczyzn skazanych na śmierć. Ludzie ci, pochodzący także z pobliskich wiosek, mieli zagipsowane usta i związane ręce. Nie byli w stanie krzyczeć, kiedy ustawieni pod murem ginęli od kul wroga. Egzekucją dowodził zniechęcony Maks Kubin, szef białskiego gestapo.

Był to, jak pamiętam, prawdziwy wstrząs dla Polaków. Co prawda byli przygaszeni wstrząsającą akcją, załamani, lecz wcale nie skorzy do uległości. Animuszu ruchowi oporu dodawał odgłos zbliżającego się frontu. Nasiliły się akcje dywersyjne partyzantów. Ich aktywność pobudzała ogłoszona przez dowództwo AK akcja „Burza”.

W jej ramach którejś kwietniowej nocy 1944 r. drużyna z oddziału AK „Zenona” przejęła na polach między Witulinem a Komarnem, z dala od głównych dróg, zrzut samolotowy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Uzyskano w ten sposób duże ilości broni, amunicji oraz materiałów minerskich i umundurowania. Prawie natychmiast trafiły one do dyspozycji oddziałów partyzanckich AK w rejonie Siedlec i Białej Podlaskiej. Podobnych akcji było zresztą więcej.

Od tego czasu upłynęło wiele lat. Jednak pamięć o tym, co było pozostała w ludziach. Na pewno zaś we mnie. Słyszac coś o tych wydarzeniach wtedy, kiedy one miały miejsce - dopiero długo potem poznawałem szczegóły. W wyniku rozmów z ludźmi, ale przede

wszystkim z opowieści znajdujących się w gazetach i książkach. Interesując się od dawna swoim regionem, przeczytałem liczne opracowania książkowe i wydawnictwa naukowe. Wzbogaciły one moją wiedzę i pozwoliły zrozumieć jej sens i znaczenie. Czasem żałuję, chociaż obecnie za późno na to, że nie pokusiłem się o napisanie od siebie czegoś istotnego o tej przeszłości, która powoli przechodzi w zapomnienie.

Pewnego dnia żandarmi urządzili u nas łapankę młodzieży, aby wywieźć ją na roboty do Niemiec. Młodzieży było sporo. Łapanka jednak się nie udała. Ostrzeżeni w porę zbiegli do lasu i śródłukowych zarośli.

Nigdy bym nie przypuszczała - opowiadała Janina Czerkies - że zdobędę się na tak dużą odwagę i siłę. Na rzece stała wąziutka kładka, którą przedtem nigdy nie przechodziłam, a wtedy przebiegłam po niej jakbym była wiewiórką. Tak bardzo się bałam, żeby nie dostać się w łapska szwabów.

Gdy zaś idzie o partyzantkę, Jagodnica nie była aktywna. Lecz kilku jej młodych mieszkańców było zaprzysiężonych i należało do ruchu oporu. W szeregach AK był Paweł Jakimiuk, który potem, niestety, nie odegrał pozytywnej roli, a wręcz przeciwnie. Podjął, zapewne przymuszony, współpracę z NKWD i sygnął kolegów. Przeniósł się potem aż do Poznania, zacierając za sobą ślady.

Bardziej powszechną organizacją, gdzie indziej mało znaną albo w ogóle nieznaną, była „Konfederacja Narodu”, deklarująca jednoczesną walkę z hitleryzmem i komunizmem. Jedną, wspólną grupę „konfederatów” tworzyła młodzież męska rekrutująca się z Terebeli, Jagodnicy, Witulina i Rokitna. Komendantem był Czesław Wadowski z Jagodnicy, którego Niemcy wzięli w swoje ręce krótko przed nadejściem Sowieckiej Armii.

Konfederatami w Jagodnicy byli ponadto: Kazimierz Godlewski, Bolesław Tąkiel, Marian i Stanisław Czerkiesowie, a także Marian Chalimoniuk. Być może był też jeszcze ktoś inny, o którym nie mogłem się dowiedzieć.

Niemcy aresztowali również brata Czesława Wadowskiego, Mieczysława, który jednakże został zwolniony. Natomiast Czesław Wadowski przeszedł straszne tortury na Zamku Lubelskim. Niczego nie

ujawnił i nikogo nie sypanął. Zmarł w obozie zagłady w Oświęcimiu.

Nie biorąc udziału w bezpośrednich działaniach bojowych, konspiracyjni „konfederaci” byli przeszkoleni i odbywali tajne spotkania. Do dyspozycji mieli zaledwie jeden karabin, ukryty na strychu murowanej obory Stefana Wadowskiego. Jeden z członków tej organizacji, Józef Maziejuk z Terebeli, dokonał na jej rozkaz rozpoznania istniejącego na tamtejszych „Błotach” niemieckiego obozu jenieckiego. Uwięzieni tam zajmowali się kopaniem i brykietowaniem torfu.

Rozpoznanie usytuowania wartowni i magazynów miało posłużyć do napadu w celu zdobycia broni dla potrzeb partyzantów. Lecz do planowanego ataku nie doszło, bowiem wcześniej, jak wspomniałem, baraki spalił „Miszka”.

Szerokim echem, wzmacniając morale ludności, odbił się udział oddziału bojowego AK w pasterce, odbytej w leśniańskim kościele. Przyprowadził go por. Stefan Wyrzykowski, występujący pod pseudonimem „Zenona”, urodzony i mieszkający przed wojną w pobliskim Mariampolu. Gdy do kościoła wkroczyło w dwuszeregu wojsko dobrze uzbrojone i ubrane, w pełnym szyku bojowym, wśród wiernych powstało duże poruszenie.

Wzruszenie mieszało się jednak z niepokojem. Była duża obawa, iż pojawić się mogą hitlerowcy i dojdzie do strzelaniny, w której może polec wiele osób. Byłem z mamą na tej mszy. Pamiętam entuzjazm, jaki wybuchł kiedy - zawodząc z podlaska - wierni zaśpiewali zakazaną piosenkę „Boże coś Polskę...”. Łzy załamywały głos, ale i tak niósł się on daleko i potężniał w starych murach świątyni. Powiało na krótko wolnością. Na szczęście AK-owcy odeszli po mszy zwartym szeregiem do pobliskiego lasu. Nic złego więc się nie stało.

W pamięci utkwilo mi więcej zdarzeń, które wskazywały na niedaleki koniec okupacji. Zapamiętałem przelot nad wioską ugrupowania amerykańskich bombowców, osłanianych przez ruchliwe myśliwce, którego hitlerowcy nawet nie odważyli się atakować. Sporadyczne strzały oddane z działek przeciwlotniczych ulokowanych w Białej Podlaskiej nie były w stanie zrobić na amerykańskich pilotach większego wrażenia.

Patrzyłem z Antkiem na tę przelatującą wielką ławicę powietrznych fortec ze wzgórką na polu Czerkiesów. Samoloty leciały na wy-



sokim pułapie w stronę Swór, czyli na południowy zachód. Od wycia silników aż świdrowało w uszach, niebo zaś na kilka minut ściemniało.

Poza Sworami, gdzie mieszkali nasi krewni, spadł w okolicach Woronia jeden z bombowców, wlokąc za sobą czarny warkocz dymu. Obserwowaliśmy z daleka tę dramatyczną scenę. Widać było wyzście lotników opadających na ziemię na spadochronach. Niemcy, jak się potem okazało, sobie przypisali zestrzelenie „ciężarowca”, podczas gdy stało się to wskutek awarii. Prowadzone przez żołnierzy i żandarmów oraz policję poszukiwanie amerykańskich lotników zakończyło się niepowodzeniem. Wyprzedzili ich partyzanci AK, przejmując pod swoją opiekę uratowaną załogę bombowca. Przechowali lotników w tajnych i pewnych melinach, aby potem odesłać ich w samolotach, odbywających konspiracyjne loty, do Anglii.

We wsi Budziszew, leżącej tuż przed miastem, patrząc od strony Terebeli, hitlerowcy dokonali mordu na rodzinie Bocianów. Syn Bociana działał aktywnie w drużynie AK. Jego żona, zanim pojawili się żandarmi, ukryła w studni rewolwer i tajne gazetki, znajdujące się dotąd w mieszkaniu. To sprawiło, iż rewizja niczego nie wykazała.

Niemcy zażądali, ujawnienia pobytu syna. Małżonkowie nie wiedzieli tego, gdyż był on zgrupowany w leśnym oddziale. W odwecie spalili dom. Na spalenisku sąsiedzi znaleźli zwęglone ciała Bocianów. On miał połamane ręce i nogi, co było rezultatem zbrodniczego przesłuchania. Ona nie nosiła aż tak dotkliwych śladów pobicia, chociaż też była maltretowana. Byli to leciwi ludzie.

Strzępy niepokojących wieści docierały do Jagodnicy z lasu „Bagonica”, znajdującego się między Sitnikiem a Rakowiskami, blisko naszego pola w Terebeli; tuż za „Błotami”. Wiedzieliśmy, że hitlerowcy dokonują tam masowych rozstrzeliwań Polaków i Żydów. Nasz ojciec miał w „Bagonicy” wąską działkę leśną, skąd wcześniej przywoził drewno na opał. Podczas okupacji nikt z rodziny nie miał jednak odwagi zapuszczać się tam.

Las otaczał mrok lęku. Nie było jednakże tajemnicą ani to, że ukrywali się tam Żydzi, którym udało się zbiec z getta, ani też to, iż docierała tam partyzantka. Znaleźli się również w Terebeli ludzie podli, o skłonnościach bandyckich, którzy żerowali na nieszczęściu zaszczu-

tych i upodlonych Żydów, odbierając im resztki ukrywanego majątku. Chociaż mieszkańcy wioski znali ich z imienia i nazwiska, zabrakło po wojnie tak odważnych i sprawiedliwych, którzy by zechcieli ujawnić prawdę. Woleli zabrać tajemnicę do grobu, aniżeli podzielić się nią z tymi, którzy chcieliby wymierzać sprawiedliwość. „Bagonica” ukrywa dotąd wiele tajemnic.

Docierały do nas wieści o spadających nad Bugiem i w okolicach miasteczka Sarnaki niemieckich rakietach odrzutowych typu V-1 i V-2. Chłopi zmuszani byli zbierać i oddawać Niemocom szczątki rakiet.

Fascynując się tym tematem, poznałem po latach szczegóły tej akcji. Przyjaźniłem się wtedy z Michałem Wojewódkim, redaktorem naczelnym „Expresu Wieczornego”, który jako pierwszy przeniósł tę historię na łamy książek. Pisał, jak udało się przejąć i ukryć, a następnie rozebrać na części i przetransportować samolotem do Anglii, jedną z takich rakiet, która nie wybuchła. Mam w swoim księgozbiorze książkę opatrzoną autografem i dedykacją tego autora.

Front zbliżał się do Jagodnicy. „Miszka”, o którym pisałem, chociaż bardzo tego pragnął - nie doczekał wyzwolenia. Nie popełniłbym błędu, gdybym pominął ów fragment wspomnień, dotyczących tego człowieka. Skoro jednak wplątał się on w moją biografię, muszę jego historię doprowadzić do końca.

„Miszka” wcale nie ukrywał, że obawia się Polaków bardziej niż Niemców. Był przekonany, że z drugimi, da radę, ponieważ ma na nich sposoby, gorzej będzie natomiast z Polakami.

I tak też się stało. Późną wiosną 1944 r., krótko przed wyzwoleniem, ostatecznie się rozegrał zapowiadany dramat. Prawdę o nim poznałem dopiero później, chociaż strzępy wiedzy dotarły do nas zaraz po zdarzeniu. Na tej podstawie można było wywnioskować, kto zawinił i dlaczego stało się tak, a nie inaczej.

Prawdziwe fakty ujawnił mi w zaufaniu ktoś, kto również znał „Miszkę”, mieszkając w sąsiedniej Terebeli, któremu wyznała je w tajemnicy osoba, wykonująca na „Miszce” wyrok śmierci. Upłynęło od tam tak wiele czasu, że zbędne już jest ukrywanie nazwisk. Otóż decyzję o zabiciu „Miszki” wydał podziemny ruch oporu. Powód? Uznano

go za niebezpiecznego i notorycznego rabusia. I on rzeczywiście na tyle się rozzuchwiał, iż urządził napady rabunkowe na chłopów.

Sądneho dnia „Miszka” spotkał się z dwoma „konfederatami”, którzy byli mu bliscy. Znali się dobrze, będąc niemalże rówieśnikami. Nieraz wspólnie popijali alkohol. Być może właśnie dlatego „ruski” stępił swoją czujność.

Podczas, gdy jeden z „konfederatów”, Kazimierz Godlewski, syn naszego sąsiada, zapalką przypalał „Miszce” skręta, drugi, to jest Czesław Wadowski, strzelił mu z pistoletu w tył głowy. Podstępnie i zniechęca. Rozegrało się to wczesnym rankiem na rozstajnych drogach poza Jagodnicą. Naprzeciw tego miejsca, gdzie po wojnie osiedlili się Szołuchowie z Worgul. „Konfederaci” zawlekli zabitego bolszewika na łąkę znajdującą się poza polem, aby wrzucić go tam do rowu. Z uwagi na brunatną wodę, wynikającą z utrzymującej się tam rudy darniowej, rów ten nazywany był „rudym”. „Rudy rów”, o czym poza wykonawcami wyroku nikt nie wiedział, stał się na zawsze mogiłą „Miszki”.



*Na skraju rozległych wówczas bagien, nazywanych przez mieszkańców wsi „Jeziorko”, pozostał dotąd „rudy rów”, do którego w 1944 r. „konfederaci” wrzucili ciało zabitego „Miszki”*

Sprawa nie została nigdy ujawniona. Zapadła, jak się to powiadało dla dobra ogółu, w głęboką niepamięć. Mieszkańcy Jagodnicy - jak w innych przypadkach - milczeli jak zamurowani, by uniknąć do-

ciekliwych i kłopotliwych rozliczeń z przeszłości. Zależało im wtedy przede wszystkim na zachowaniu spokoju i zgody. Taka postawa była powszechna. Także, gdy idzie o moją rodzinę, mającą również powody do dochodzenia sprawiedliwości. Głównie jednak dlatego, iż nie było w niej kogoś takiego, kto miałby dużą odporność i siły wystarczające do tego, aby w urzędach upomnieć się o swoje. Czas złagodził i zabił rany, powstałe w okresie okupacji.

Nocą z 26 na 27 lipca 1944 r., a miałem wtedy niespełna dziewięć lat, niemieckie jednostki wojskowe pośpiesznie opuściły Jagodnicę, udając się poprzez Ludwninów w stronę Łosic. Tak się stało w całej okolicy. Terebe-



*Stoję u wejścia do nieistniejącej już murowanej piwnicy Emilii i Mariana Godlewskich, sąsiadów Maziejuków w Jagodnicy, w której spędziłem w lipcu 1944 r. natarcie wojsk sowieckich i ucieczkę żołnierzy faszystowskich Niemiec.*

lę zajęli już wtedy sowieci. Niemcy odstąpili na szczęście od pomysłu utworzenia w Jagodnicy linii wzmocnionej obrony, którą zaplanowano ostatecznie w Terebeli. Jednak i w Jagodnicy powstały płytkie okopy, które na jakiś czas obsadzili Węgrzy. Lecz gdy nad linię okopów nadleciały radzieckie kukuruźniki, pouciekali oni stamtąd w kalesonach.

Była to, jak pamiętam, niedziela. Na łąkę od strony Terebeli, którą prowadziła ścieżka, którą i ja chodziłem często do tej wioski, weszła sowiecka „razwietka”. Idąc powoli i ostrożnie, a dostrzegliśmy żołnierzy już z daleka, obserwując łąkę spoza płotu, czerwonoarmiści weszli na podwórko Kawków. Było ich czterech. Na plecach nieśli dłu-

gą rusznicę przeciwpancerną i radiostację polową. Byli uzbrojeni w pepesze, za pasem mieli granaty, zaś w torbach zapasowe magazynki z amunicją.

Powitanie Rosjan odbyło się na podwórku. Bez kwiatów i przemówień. Była natomiast szczerą radość, wywołana nadejściem wyzwolenia. Dorośli, tworząc niedużą grupę, stali obok podworskiej studni, a dzieciaki, w tym ja, przykucnęły obok płotu. Zapanowała krótkotrwała cisza, którą przerwał „komandir”, pytając:

- Giermańcew niet? Kuda ani uszli?

- Udrali - ktoś odrzekł łamaną ruszczyzną, wskazując ręką kierunek ucieczki. Inni też włączyli się do rozmowy.

Sowieci poczuli się raźniej i pewniej. Naszym też przybyło odwagi. Któryś z mężczyzn sięgnął do kieszeni po „cigaretki”, żeby poczęstować nimi gości, oni zaś wyjęli woreczki z machorką i strzępem gazety do sporządzania skrętów. Spocone twarze przecierali furażerkami, zaciągali się mocno, wciągając głęboko dym. Języki rozwiązały się wtedy mężczyznom na dobre.

Usiedli na murawie. Kobiety zakręciły się za chlebem wypieczonym z ziarna żyta przemielonego na żarnach i dzbanami zsiadłego mleka. Radzi ze skromnego poczęstunku, przybysze chętnie spożywali skromny poczęstunek.

- No, żołdacy, pajdiom dalsze! - zawyrokował komandir, wstając ociężale na nogi. - Snaczała na Warszawu, a potem na Bierlin!

Starsi jeszcze długo wiedli dyskusję, dzieląc się wrażeniami i snując przypuszczenia dotyczące przyszłości. Byłem zbyt młodym, żebybym mógł cokolwiek sądzić o tym, czym ona stanie się dla nas. Nijak nie byłem w stanie pojąć, że nadeszły oto czasy całkiem nowe, które pół wieku później zostaną wyklęte i przekreślone. Wtedy zapowiadały się jako uczciwe, sprawiedliwe i równoprawne, które obejmą także mnie osobiście.

Wielka polityka rozgrywała się wówczas daleko poza Jagodnicą. Nawet nie wiedzieliśmy, że w Lublinie powstaje rząd i jest Manifest Lipcowy PKWN, ani też o tym, co wynika dla nas z niego. Jak mogłem przypuszczać, że zawarte tam hasła za niewiele lat zapadną również w moją świadomość i w dużej części sprawdzą się - nie przesądzając niczego do końca - w moim przypadku, a narodowi przy-

niosą zniewolnienie?

Ze zgrzytem i łomotem wtargnęły do wsi po paru kwadransach czołgi, zdążające od Terebeli. Dwa tanki z czerwonymi gwiazdami. Zajęły pustą działkę między siedliskiem Sawczuka i Wróbla. Wkrótce zeszły się tutaj niemalże wszyscy chłopcy z Jagodnicy, ciekawscy ich widoku, jak również spotkania z ruskimi żołnierzami. Ja też tam byłem.

Z włazów czołgów wyszli czołgiści, usmarowani i przesyleni swądem, wdając się łatwo w rozmowę z chłopami. My młodzi dotykaliśmy z ciekawości i w podnieceniu, ostrożnie, nagrzane stalowe cielska. Pukaliśmy w gąsienice i koła pokryte grubą warstwą gumy. Zaglądaliśmy do włazu, a co bardziej odważni chłopcy - próbowali wdrzeć się na wierzch czołgów i podskakiwali do wylotu luf.

Znalazła się wódka, jakiej podczas okupacji nie brakowało, była skromna „zagrycha”. Czując się dobrze, odprężeni tankiści zbierali się niechętnie do odjazdu, wzywani radiotelefonem przez dowódcę. Zapalili motory i z kawaleryjską fantazją tak zakręcili potężnymi tankami, wydostając się na drogę, że niemal - przynajmniej tak mi się wydawało - potracili gąsienicami bose stopy moich nóg.

Trwały akurat żniwa. Chcąc sprawdzić, co stało się z naszym żytem, które przed nadejściem frontu zdążyliśmy skosić, powiązać i ustawić w mendle, Antek wybrał się furmanką do Terebeli. Był zdecydowanie ode mnie śmielszy i odważniejszy. Zabrał mnie ze sobą, a mama nawet nie protestowała. W pobliżu drewnianej szkoły, stojącej za ruskim cmentarzem, gdzie pozostawiliśmy późniwie rżysko, nasze pole - jak inne poletka - było zryte niemieckimi okopami. Pozostało kilka nietkniętych kupek zboża. Jedne spłonęły całkowicie, inne posłużyły żołnierzom do wymoszczenia okopów.

Ocalałe snopy zbóż powkładaliśmy na drabiniasty wóz, by zabrać do domu. Interesowało nas nie tyle zboże, ile to, co pozostawił po sobie front. Były porozrzucone gilzy, skrzynki pełne nabojów, pociski do moździerzy i granaty ręczne różnego kalibru. Słowem - pobojowisko.

Naszą uwagę zwróciły puste butelki po francuskim winie. Gdy „ruskie” nacierali na Niemców od strony Rakowisk, ci dla kurażu i nabrania odwagi popijali ów alkohol. A kiedy „ruscy” zdobyli niemieckie linie oporu, zajęli się sami opróżnianiem tych butelek, które



jeszcze były pełne.

Faszyści wywieźli ze sobą poległych kolegów, natomiast zabici radzieccy żołnierze wciąż tam leżeli. Zostali wszędzie tam, gdzie padli i dopiero później trafili na cmentarz wojenny w Sławacinku. Ich ciała były wykrwawione i poszarpane od ran. Czasem nie nosiły śladu śmierci i wyglądało, że żołnierze śpią. Osoby starsze i bardzo młode, jakby - wydawało się - zbliżone wiekiem do nas, co tym bardziej wzbu-  
dzało żal i współczucie. Zwłaszcza - przerażenie.

Mocno utkwiał mi w pamięci następujący obrazek: Na dnie okopu wykopanego na środku naszego pola, w jego rogu, widniał przykucnięty żołnierz, oparty plecami o ziemię, którego kula - jakim sposobem? - trafiła w odsłoniętą głowę w chwili, gdy się posilał. W rękach trzymał menażkę, ustawioną na kolanie, którą napełniła zastygła krew. Obok leżał hełm, jaki zapewne zdjął z głowy, kiedy zabierał się do jedzenia.

W pobliżu drugiego „poletka”, tuż przy bialskim gościncu stał wypalony czołg rosyjski, o którym zaczęły już krążyć legendy. Jeden z czterech, które uczestniczyły w bitwie o Terebelę. Trafił go artyleryjski pocisk przeciwpancerny. W tę stronę były baterie dział ustawionych w Jagodnicy i za chałupą naszego wujka Stanisława Maziejuka z terebel-  
skiej kolonii. Ogniem kierował żołnierz niemiecki, ukryty w kalenicy najwyższej stodoły w Terebeli. W pewnej chwili zszedł stamtąd, obawiając się śmierci, jednak dowódca pod groźbą użycia pistoletu znowu go tam wysłał.

Drugi czołg ugrzązł w bagnie „Bahonik” i wydostał się z niego dopiero wtedy, kiedy przyszyły mu z pomocą dwa inne czołgi. Spalony czołg stał kilka miesięcy. Straszyl lufą skierowaną groźnie w stronę wsi. Potem został pocięty ma fragmenty i wywieziony do huty. Wokół tego miejsca, gdzie on stał, długi czas ziemia była jałowa i nie chciała niczego rodzic.

Byliśmy jednymi z pierwszych, którzy odważyli się spenetrować wrak czołgu. Uznaliśmy, że przyda się nam twarda guma z nadpalonego transportera służącego do przeciągania gąsienic. Jak - głowiliśmy się - urwać grubszy kęs tej gumy? Natrafiliśmy na bagnet wewnątrz czołgu, którym wydłubaliśmy kilka mięsistych kęsów gumy, żeby wy-  
rabiać potem z niej piłki do gry w palanta i spażaka. Zrobili to także

terebelescy chłopcy, toteż niedługo lana guma czołgowa zniknęła całkowicie.

Obok wypalonego czołgu leżały opasłe pociski. Jeden, męcząc się solidnie, przenieśliśmy na pobliskie swoje pole, ukrywając go w ziemi pod miedzą. Następnie Antek, przy jakiejś okazji, kiedy był tam wozem, przetransportował go do Jagodnicy, ukrywając to przed mamą. Którejś niedzieli, wspólnie z Jankiem Kawką, włożył pocisk do ogniska, by sprawdzić siłę wybuchu. Był tak potężny, że aż narobił we wsi nie mało przestraszu. A tam, gdzie leżał on w ogniu - w ziemi powstała wielka wyrwa.

Szukaliśmy furazerek opatrzonych czerwoną gwiazdą, które po przejściu frontu stały wśród chłopców modne. Jak jednak pozbawiać martwych żołnierzy okrycia głowy? Byłoby to, jak się nam zdawało, mocno nieprzyzwoite. Poszukiwaliśmy wobec tego furazerek zagubionych. Jedna leżała porzucona w redlinach ziemniaków na sąsiednim „poletku”, a druga, którą wziąłem dla siebie, znajdowała się - poszarzała od słońca i deszczu - na dnie schronu.

Siedząc dumnie na furze ze snopami żyta, wracaliśmy z wyprawy z furazerkami na głowach, dodając sobie w ten sposób lat i odwagi.

## *Zdani na siebie*

We wsi zmiany zachodziły powoli albo w ogóle ich brakowało. My borykaliśmy się nadal ze swoimi kłopotami. Chwile, które można by uznać za radosne i szczęśliwe, omijały naszą rodzinę. Ja ich w każdym razie nie pamiętam.

Jako niespełna 10-letni chłopak nie byłem w stanie pojąć sensu zmian zachodzących tuż po wyzwoleniu, które przyszło do nas zdecydowanie wcześniej aniżeli do reszty kraju. Zapamiętałem niektóre wydarzenia z tego okresu.

Sowieci, co poruszyło także mieszkańców mojej wioski, aresztowali proboszcza Witulina ks. Pawła Zubkę, wysyłając go do obozu w Ostaszkowie. NKWD wziął go za osobę współpracującą z Niemcami, co było kłamstwem, gdyż „Witalis” odegrał bardzo pozytywną rolę w AK. Wrócił z Syberii dopiero po kilku latach. Za te same „przewinie-

nia” los ten spotkał również Makułę z Zaberbecza.

Sprawa ta była dla nas tym bardziej bliska, że nasza mama przyjaźniła się z Makuły żoną. Nic nie wiedząc o jego losie, czuła się ona jak wdowa, bliższa tym samym doli naszej mamy. Bywałem wielokrotnie z mamą w jej domku, stojącym na wzgórku przy drodze z Jagodnicy do Zaberbecza, po którym zaginął nawet ślad.

Latem 1944 roku poprzez Witulin i Jagodnicę, idąc od strony Bugu, przeciągnął - zasobny w konne tabory, działka i ciężką broń - duży oddział partyzancki. Prezentował taką siłę, której nikt nie usiłował się przeciwstawić. Należał do słynnej 27 Wołyńskiej Dywizji AK, która zmierzała z odsieczą walczącej Warszawie. Żołnierze podążali na przewidzianą - w ramach akcji „Burza” - koncentrację jednostek bojowych AK w rejonie Siedlec.

Janek, mój brat, oglądał ów przemarsz znad Klukówki, w której kąpał się z kolegami, ja zaś stałem, pozostając pod dużym wrażeniem, przy drodze przemarszu. Dowiedziałem się potem, iż partyzanci nie dotarli jednak do stolicy, aby wziąć udział w powstaniu, ponieważ zostali po drodze okrążeni przez Armię Czerwoną i rozbrojeni.

Pamiętam też namiętne dyskusje, jakie wywołała wśród rolników Reforma Rolna. Dla „dworusów”, do których i ja się zaliczałem, gdyż pochodziłem z rodziny pofolwarcznej, sprawa ta była w istocie obojętna, bo tutaj chłopci już wcześniej zostali rolnikami pełnorolnymi, ale dla „włościan”. Oni wypełniali zasadniczą część Jagodnicy. Im należał się nadział dworskiej ziemi i była to dla nich wielka szansa. Która jednak, jak się okazywało, jednych kusiała i pociągała, za to drugich odstręczała, wzdragała i onieśmiała. Byli bowiem tacy, których bardzo przestraszyła szeptana propaganda przeciwników zajmowania „pańskiej ziemi”. Obawiali się, iż przyjdzie za to zapłacić, oddać życie albo pójść do kryminału.

Jednym i drugim niedługo potem ziemia stawała „kością w gardle”. Pomimo wojny i powstania władzy ludowej, „dworusy” nadal musieli wpłacać do Banku Rolnego zaległe raty kredytowego wykupu gruntów, a ponadto - tak jak i w przypadku tych, którzy skorzystali z reformy rolnej - wszystkim przyszło regulować na rzecz państwa obowiązkowe dostawy ziemiopłodów, które zastąpiły kontyngenty z okresu okupacji.

Na posiadaczy większych gospodarstw, bardzo nielicznych w Jagodnicy, nałożono ponadto podatek progresywny. Podtekstem jego był oczywiście przymus ekonomiczny. Bo też z jednej strony chodziło o to, by na tyle zmiękczyć i osłabić chłopów, aby łatwiej dali się zapęzdzić do „kołchozów”, a z drugiej - żeby kosztem rolnictwa państwo gromadziło fundusze na rozwój przemysłu.

Świadczenia te ciążyły dotkliwie również na naszym gospodarstwie. Trudna sytuacja rodzinna i ekonomiczna nie kwalifikowała się bowiem do zwolnień czy chociażby ulg. A że rolnicy bronili się jak mogli przed wizją „kołchozów” - płakali, klęli i zaciskali pasa, lecz nie zaniebdywali narzuconych im obowiązków.

Jedni więc weszli z pługiem i kosą na przydzieloną ziemię, podczas gdy drudzy, których było zdecydowanie mniej, rezygnowali z podarunku władzy ludowej. Aby później bardzo tego żałować.

Jesienią, gdy już chodziłem do szkoły, byłem świadkiem sceny, która pozostała mi na całe życie. Pobiegliśmy grupą za stodołę Zygmunta Denisiuka w Witulinie, gdzie w kałuży krwi leżał martwy jej właściciel. Zaliczał się do postępowych działaczy społecznych. Czy miał coś niedobrego na sumieniu? Tego nie wiem. Mówiło się, iż jego śmierci winne są NSZ. Zgromadzeni tam ludzie opowiadali, że Denisiuk został wywleczony nocą z łóżka i gdy znalazł się za stodołą, wrogowie nakazali mu, aby ukląkł i modlił się za grzechy. I kiedy on to robił, wtedy został zastrzelony.

Ludzie, oburzeni i wstrząśnięci, kręcili z niedowierzania głowami - i niewiele mówili. A jeżeli już, to półgłosem. Jakby się ciągle czegoś bali.

Zapamiętałem swój pierwszy kontakt z filmem. Niedługo po przejściu frontu do wioski zajechał radziecki samochód z kinem objazdowym. Pokaz odbył się w podworskiej stodole należącej do Kawków. Zebrali się tam prawie wszyscy ludzie Jagodnicy, starsi i młodzi, gdyż nowość ta wzbudziła powszechne zainteresowanie. Jedni, nawet z drugiego końca wsi, przytargali ze sobą krzeselka i taboreciki, inni usiedli na słomie czy wprost na klepisku. Za ekran posłużyło lniane prześcieradło. Byliśmy podnieceni i bardzo ciekawi, jak wygląda film, gdyż dotychczas czegoś takiego nikt z nas nie oglądał.

Debiut wypadł zaskakująco dziwnie. Zaczęło się od wyświetlenia

kroniki frontowej, a dopiero potem była jakaś komedia. Ludzie po raz pierwszy w życiu ujrzeli na ekranie coś, co było dla nich niewyobrażalne i zgoła nierealne. Jak reagowali? Ze strachu i przerażenia odchylali na bok głowy, uciekali, padali na ziemię albo chowali gdzie się dało, żeby uniknąć zderzenia z pędzącym samochodem czy też z konnym taborem, albo wtedy, kiedy świstały kule i z łomotem rozrywały się pociski. Akcję dziejącą się na filmie brali ludzie za rzeczywistość i tak reagowali, jakby sami byli wewnątrz tych wydarzeń.

Reakcję szczytową wywołał pociąg pędzący z zawrotną szybkością. Na czole parowozu widniała duża czerwona gwiazda i umieszczony był wielki portret Józefa Stalina. Kiedy, zajmując cały ekran, parowóz „wpadł” na widownię, ludziska - jakby była to prawda - chcąc uniknąć zderzenia z nim pospadali z wrażenia z krzesel i taborecików, pouciekali w kąty lub gdzie się dało. Nawet na zewnątrz.

Zareagowałem jak inni. Byłem w najwyższym stopniu przerażony, a jednocześnie nieprzytomnie ciekawy. Ciekawość nakazywała mi tkwić na miejscu i obserwować to, co pokazuje film, a przerażenie pozbawiło mnie kontroli nad sobą. W pewnym momencie zorientowałem się, że mam mokre spodnie. Nie stanowiłem jednakże wyjątku, ze strachu i wrażenia posikali się nawet dorośli. Przypadłość ta nie mogła więc prowadzić do śmiechu i żartów.

Przybywało nam lat, więc mogliśmy przejmować na siebie więcej zadań w gospodarstwie i domu, co jednak wynikało w pierwszym rzędzie ze słabnącego zdrowia mamy. Już zarysował się wyraźnie podział obowiązków między nami. Antek, na którego spadły główne zadania, wyrastał na gospodarza, wskutek czego następował rozbrat ze szkołą.

Ze mną było inaczej. Mamie bardzo zależało, żebym przede wszystkim pilnował nauki, która miała zapewnić mi lepszą przyszłość. Antkowi ustępowałem wzrostem, siłą i sprytem, jak też wiekiem i wytrzymałością. Lecz nie były, jakby mogło wyglądać, odpuszczone mi całkowicie obowiązki w domu i w gospodarstwie. Najmłodszy z naszego grona, Janek, zajął się w pierwszej kolejności prowadzeniem kuchni.

- Coś ty, Janku, wtedy gotował? - dopytywała moja żona, gdyśmy po ślubie Eli z Irkiem Łuszczewskim w 2000 roku wspominali dawne lata, pijąc herbatę.

- A cóż takiego mogło to być? - zagadnął brat, grzebiąc intensywnie

nie w pamięci, bo czasy stały się już bardzo odległe. - Były to na pewno kartofle pod każdą postacią, zwłaszcza zupy. Latem wzbogacałem zakupy marchwią i grochem, kapustą. Jeżeli doiła się krowa, wtedy były to także zupy mleczne lub tylko zabielaone mlekiem. Często były to, jak pamiętasz, zupy całkowicie postne, pozbawione chociażby oczka tłuszczu.

Nierzadko bywało głodno i chłodno. Zazналиśmy prawdziwego głodu, a niedosyt był czymś permanentnym.

Cóż mogliśmy robić, żeby pomniejszać głód? Niewiele. Zimą i wczesną wiosną, a ta na Podlasie przychodziła późno, kiedy niemożliwe stawało się łowienie ryb kłomlą, pozostawało nam jedynie łowiectwo, które należałoby właściwie nazwać kłusownictwem.

Antek wyspecjalizował się w nastawianiu wnyków na zające, których wtedy nie brakowało. Od czasu do czasu, wcale jednak nie tak często, udawało się mu wyjmować z drucianych pętli uduszone zające. Mama mogła wtedy urozmaicić i wzbogacić obiad, a w domu pojawiał się zapach gotowanego mięsa.

Ja byłem pozbawiony całkowicie tych umiejętności. A być może przede wszystkim odpowiedniego sprytu i odwagi. No i targwały mną skrupuły. Choć, nie powiem, próbowałem. Raz zdarzyło się nawet, że we własnoręcznie zastawione wnyki, które umieściłem przy krzakach porzeczek i drzewek owocowych, wpadł zając podczas srogiej zimy. Znalazłem go tam zmrożonego na twardą kość. Wychudłego i zabiedzzonego, któremu od męki i bólu wyszły z orbit zakrwawione oczy. Widok ten zrobił na mnie okropne wrażenie. Poczulem się winnym tej śmierci. Płakałem rzęsiстыми łzami nad dolą biednego zająca. Postanowiłem wtedy, iż nie nadaję się do roli kłusownika i odtąd nie będę - pomimo wszystko - narażać zwierząt na tak okrutną śmierć.

Janek lepiej dawał sobie z tym radę. Opanował metodę zastawiania sideł na kuropatwy, które zimą podchodziły pod samą zagrodę, poszukując karmy. Wyrывał koniowi z ogona długie włosy, splatał je następnie i robił ze splotów pętle, które maskując utwierdzał do kawałków drzewa, cegieł lub przyczepiał je do grubszych gałęzi. Na przynętę spał w tym miejscu posład czy też zbożowe plewy.

Ptaki zaplątywały się nóżkami w siała i gdy dopisało szczęście wystarczyło pójść na pole i wybrać z sideł jedną czy więcej kuropatw. Na



takim ptaku mięsa co prawda tyle, co kot napłakał, powstawał natomiast rosół całkiem smaczkowity.

Bywały jednakże sytuacje zupełnie bez wyjścia. Wtedy, kiedy nie było niczego takiego, co by nadawało się włożyć do garnka. Dramatycznie zabrzmiała kiedyś skierowana do Janka prośba mamy:

- Postaraj się - mówiła - złapać chociażby wronę, to będą przynajmniej kostki, na których ugotuję wywar...

Cóż, kiedy wrona jest zbyt silna i sprytna, aby wpaść w sidła, a i z kijem do takiej nie sposób podejść.

Latem były grzyby, które mama soliła na zimę. Tak zwane świnki i kurki, olszówki i opieńki, a najlepiej rydze. Wkładała ona je do beczek i kamionkowych garnków, sypała sól i od góry przyciskała grzyby kamieniami. Potem wystarczyło ugotować kartofle, jeżeli jeszcze były, dodać do nich na talerzu wymoczone solone grzyby - i było danie, które smakowało.

Kto nie zaznał głodu, temu trudno pojąć, jak może się czuć człowiek, kiedy ma pusty, skwierczący żołądek. Myśmy na sobie to odczuwali. Najgorzej mieliśmy w końcu zimy i na przednówku, kiedy już, kończyły się wszelkie zapasy.

- Dopóki - przerwał Janek - nie pojawił się młody dziki szczaw. Gdy już wyrósł na tyle, że dawał się zrywać, bez mała dzień w dzień jedliśmy zupy szczawiowe, ale także lebiadowe. Pamiętasz - zwrócił się do mnie - gdzie najpierw pojawiał się szczaw?

- Na miedzy u Czerkiesów - odparłem bez namysłu, co Janek potwierdził skinieniem głowy, a ja dodałem: - Duże krzaki szczawiu rosły obok kamienia ustawionego na sztorc, którądy chodziliśmy na swoje pole poza gościńcem, między Misiejukami a Wadowskimi. Potem pojawiał się on na dróżce prowadzącej z naszego podwórka na łąkę i na łące worgulców, gdzie rósł szczaw wąskolistny, długi, który był tak kwaśny, że aż wykręcał głę...

Rośnie on tam nadal. Pomimo, że zmeliowana łąka stała się sucha. Przed rokiem byłem tam z Hanką i narwaliśmy tego szczawiu całą reklamówkę, by zawieść do Warszawy i włożyć na zimę do słoików. Smakuje świetnie!

A co do przednówka? To słowo zostało już całkowicie zapomniane. Wtedy było smutną i powszechną rzeczywistością. Przednówek



Rzeka „Klukówka” z czasów mego dzieciństwa i mojej starości - ta sama, a jednak zupełnie inna. Przedtem z lubością kąpaliśmy się w jej wodach. Na górze, od lewej: Ryszard Juszczyk i mój brat Antoni, który był emocjonalnie związany z nią. Na zdjęciu u góry, z prawej: Z urokami rzeki



zdażyła się zapoznać się moja żona Halina, tutaj pluszcząca się z dziećmi Antoniego i Franciszki Maziejuków, Zbyszkiem i Marysią. Potem (oba zdjęcia na dole) rzeka ta zarosła chaszczkami i wszelakim zielskiem, toteż przypomina obecnie rów melioracyjny.



nastawał wtedy, gdy kończyły się kartofle, buraki i marchew, nawet cebula. Kiedy brakowało mąki na chleb i zacierkę, a ponadto nie było na czym upiec placków. Jeśli do tego, a tak przeważnie było, krowa przestała dawać mleko, gdyż trzeba było zapuścić ją przed urodzeniem cielaka, zaś kury nie znosiły jajek, to cóż można było stawiać na stole?

- Mama nauczyła mnie - dzieliłem się wspomnieniami – macać kury i tak podbierać młode ziemniaki spod krzaków, aby nie uschły. Kur trzymaliśmy mało, najwyżej dziesięć czy trochę więcej. Dobrze było wiedzieć każdego dnia, na ile jajek można liczyć, żeby planowo zadysponować nimi i wszystkie pozbierać. Wchodziłem czesnym raniem do kurnika i każdą kurę przed wypuszczeniem na dwór brałem do rąk, aby palcem poprzez odbyt sprawdzić, czy tego dnia zniesie jajko. Dawało się to łatwo wymacać...

Jajka stanowiły przysmak i luksus. Zebrane jajka w pierwszym rządzie trzeba było zanieść do sklepu w Witulinie, by za uzyskane pieniądze kupić sól, cukier, kaszę, makaron, naftę czy zapalki. Wątpię, aby ktokolwiek, nawet najbiedniejszy, macał teraz kury i potrafił to robić, jak ja to czyniłem.

Z tego fragmentu wspomnień uśmieliśmy się porządnie. Lecz co teraz kwalifikuje się do kpin, było wtenczas ważne i autentyczne...

- Lżej mieliśmy latem - wtrącił znowu Janek. - Zbierało się grzyby, jagody, w rzece łowiliśmy ryby... Kiedy brakowało mięsa, wystarczyło wziąć na plecy kłomłę i pójść z nią na dwie czy trzy godziny do rzeki. Worek zapełniał się szybko świeżutkimi i smacznymi płociami i szczupakami, okoniami i jaziami, czasem trafił się lin albo leszcz, były też piskorze i kozy. A ileż było frajdy?

- Pamiętasz, jak było? - Janek zwrócił się do mnie. - Jak nikt inny, poznaliśmy dokładnie każdy zakątek naszej kochanej Klukówki. Po wielokroć zdeptaliśmy dno tej rzeki. Z góry przesądzaaliśmy, jaka ryba w którym miejscu wpadnie nam do kłomli.

Tak, to prawda, byliśmy kłusownikami. Jednak zarazem - zapalonymi rybakami. Tak samo zresztą, co pozostało nam dotąd, namiętynymi grzybiarzami. I to - bez wyjątku - wszyscy trzej.

Nikogo z nas nie trzeba było zachęcać, żeby pobrodzić z kłomłą w wodzie. Była woda była na tyle ciepła, że da się w niej przebywać w

byłe jakich łachmanach.

Poznaliśmy tajniki łowienia ryb z użyciem kłomli. Nic zresztą trudnego. Kłomla to, jak wspomniałem, poleski wynalazek. Zwyczajne dwie strony długiego na półtora metra ożebrowania, wyplecionego łożyną, a najlepiej - jak to myśmy mieli - poszytego siecią o małych oczkach. Złożone ze sobą - tworzą trójkąt, mający jedną otwartą stronę.

Sztuką było cierpliwie brodzić w wodzie mając kłomlę w rękach. Jeden stawał w jednym szczycie kłomli, drugi w drugim - i tak przeczesało się krok po kroku koryto rzeki. Nie należało bać się głębin i błota na dnie, ani też niespodzianek tego rodzaju, że nagle pojawi się szczur wodny czy też śmigie duża ryba, albo pijawka przypnie się do ciała.

Należało umieć, jak najmniej poruszając wodę, robić w niej zakola i pętle. Spokojnie oraz po cichu - ciągnąc kłomlę po dnie rzeki - podkradać się pod brzeg, aby następnie przystanąć na krótko i jednocześnie zabełtać nogami oraz podnieść umiejętnie i bez zrywu kłomlę do góry. I wypatrywać niecierpliwie, co takiego znalazło się na jej dnie? Zdarzało się czasem, że trafiła tam ryba duża i sprytna, która ku naszemu zaskoczeniu i zawiedzeniu wskakiwała z powrotem do wody. Niepokorne okazywały się zwłaszcza szczupaki.

Czasem wiał niemiły wiatr i padał deszcz. Nas to nie odstraszało. Połów ryb w takich warunkach był jednak utrudniony. Nie zniechęcała nas także duża woda, ale wtedy do połowu wybieraliśmy płytsze odcinki rzeki. Główny problem sprowadzał się do tego, żeby wygospodarować czas na połów. Zdążyć z robotą w polu i zagrodzie i znaleźć dla siebie trochę luzu.

Janek zareagował:

- Przed kłomlą chodziliśmy na ryby z dużym koszykiem do ziemniaków i starą wiklinową kołyską, w której spędziłem wiele czasu, będąc niemowlakiem. Zaczęło się właśnie od tego. Od połowu karasek w stawach, rowach i starorzeczu, a także w potorfowych wyrobiskach. Ile radości było, gdy udawało się nam złowić szczupaka?

Połów ryb był naszą wspólną pasją. O ile rybactwo przeszło już dawno do historii, poza Antkiem, który potem wędkował, o tyle aktualne pozostało zamięłowanie do grzybobrania. Byliśmy, co tu ukrywać,

niepokornymi łązęgami. Gdzież nas nie było? Czym myśmy się nie zajmowali? Cóż nas wtedy nie pociągało?

Gdzie się dało, tam zbieraliśmy zielsko dla świń. Poszukiwaliśmy ognichy i powoju, choszczki i dzikiego prosa, występującego najczęściej w redlinach ziemniaków. Za pokrzywą i rdemem, „jęzorami” i białą koniczyną obchodziliśmy okoliczne łąki. Zieloną karmę, zjadaną chętnie przez świny i owce, upychaliśmy do worków albo płachty, które należało taszczyć na podwórko. Nawet z odległości większej od kilometra.

Sierp byłby przeszkodą. Zdarzało się, iż podcinałem nim palce rąk. Ziele, nawet pokrzywę, rwaliśmy nagimi rękami. Lecz świny i tak - w chlewie były zwykle dwie sztuki - osiągały wagę rzeźną dopiero w dwa lata lub więcej. Karmione naturalnie, bez jakichkolwiek stymulatorów, dawały mięso wyjątkowo smakowite. Jeden z warchlaków, którego nazywaliśmy „huncwotem”, żył wyjątkowo długo i szczęśliwie. Nijak nie mógł dorosnąć jako takiej rzeźnej wagi. Był sprytny i nieposłuszny. Nauczył się przełazić, niczym pies, przez wysokie przegrody i latem uciekać na pastwisko.

Zastanawialiśmy się długo, co go tam ciągnie? W końcu podpatrzyliśmy, iż chodziło o krowę, której podkrażał mleko. Gdy pojawił się huncwot, krowa kładła się na bok, by umożliwić mu ssanie. A że krowa była obca, baliśmy się, iż spotkać może nas duża przykrość. Na szczęście właściciel krowy nie podejrzewał „huncwota”, który miał to do siebie, że na noc wracał sam do chlewika.

- Trudno przychodziło ludziom opędać się przed nami - Janek zmienił temat, kiedy przypomniałem mu o naszych tajnych wyprawach do obcych sadów. Swoich owoców nie mieliśmy, gdyż drzewka spłonęły podczas pożaru. Natomiast trudno było zrezygnować z ich kosztowania. Gdzie więc się dało, tam wypuszczaliśmy się - najczęściej o szarówce - „na szaber”. Nie powstrzymywał nas ani wstyd, ani lęk. I nie było żadnych przeszkód. Wiedzieliśmy dobrze u kogo i gdzie rosną jabłonie, gdzie grusze, śliwy czy też czereśnie. Jakie drzewa wydają smaczne owoce. Tego rodzaju rozpoznanie dotyczyło przede wszystkim Jagodnicy, ale także Terebeli, a nawet Witulina. Owoce upychaliśmy do woreczków albo do kieszeni czy za pazuchę.

Byliśmy - wstyd się przyznać, ale to prawda - sprytni i bezczelni.

Znaliśmy utajnione przejścia, dziury w płotach, które nierzadko sami robiliśmy, zapasowe ścieżki do ucieczki i ukryte obejścia, pozwalające na bezpieczny odwrót. Uchodziliśmy, by tak rzec, za wioskowych szkodników. Jednakże wynikało to nie z naszego charakteru, lecz z nędzy i ubóstwa. Taka postawa była czasem tolerowana, a czasem napiętnowana i zwalczana. Ale kto mógł przywołać nas do porządku?

Ze sobą mogliśmy się czubić i wyklócać, natomiast kiedy zastawiali się na nas chłopcy z Jagodnicy czy Terebeli, albo Witulina, by nas siłą przegonić, występowaliśmy wtedy solidarnie, nie pozwalając, żeby ktoś obcy popędził nam kota. Zdarzało się i tak, że wcale nie dla żartów trzeba było sięgać po kamienie. Nauczyłem się celnie i daleko ciskać kamienie z procy i „pracza”.

Daliśmy się też poznać ludziom jako osoby nad wiek pracowite i zaradne. Poszukiwaliśmy różnych sposobów zarobkowania. Chodziło o przetrwanie w trudnych warunkach.

- Zabraliśmy się na przykład - przypomniał Janek, wyjaśniając Halce - za zbieranie ziół. Z kłosów żyta wybieraliśmy sporysz. Zrywaliśmy bławatki chabru, odzieraliśmy kruszynę z kory. Spod łopianu wyciągaliśmy korzenie. Zrywaliśmy listki babki, suszyliśmy na strychu chałupy piołun i rdest, także tatarak. Przychodziło to łatwo, gdyż wiedzieliśmy gdzie co rośnie i jak się do tego dostać. A pamiętasz - zwrócił się Janek do mnie - że sprzedawałem papierosy? I to nie na paczki, a luzem, na sztuki, bo palaczom brakowało pieniędzy. Zarobek, co tu gadać, był lichy, ale wtedy ważny był każdy grosz.

Potem, po upływie lat, okazało się, iż te nasze dodatkowe zainteresowania miały sens i plus. Pozwoliły lepiej poznać najbliższą okolicę i przyrodę, a ponadto wzbogaciły doświadczenia, które później okazały się bardzo przydatne.

- Nikt nie wiedział tak, jak my - kontynuował Janek - gdzie gniazdują dzikie kaczki albo gdzie można było spotkać żółwie błotne, nory lisów i borsuków czy też kun. Jak i to, w którym miejscu pojawiają się cietrzewie i gdzie można natknąć się na wilki, żurawie albo czaple. Poznaliśmy takie zakątki, w które mało kto się zapuszczał..

To było i przeminęło - zauważyłem z żalem. - Już nie ma tam tej bogatej przyrody, mokradeł i bagien, źródełek i krystalicznie czystej wody. Pamiętam z dzieciństwa gronostaje, które zadomowiły się w



stercie słomy na polu Tąkla. A moja przygoda z wilkiem brzmi teraz zgoła nieprawdopodobnie. Ela, gdy jej opowiadałem o niej, orzekła, że to bujda, którą nawijam dla żartu.

A było tak, że gdy wczesnym rankiem pędziłem krowy na pastwisko w Terebeli, przed rowem płynącym spod Zaberbecza, który sowieckie czołgi zryły gąsienicami, jadąc do Jagodnicy, gdyż mostek był drewniany i nie udźwignąłby takiego ciężaru, drogę przeszły nam dwa duże wilki. Nazywało się ich „koniuchami”. Uciekały z łąk dworskich w stronę lasu „Kuranowo”. Koś strzelał do nich. Krowy instynktownie zwietrzyły zagrożenie i rzuciły się pędem do ucieczki, podniósłszy w górę ogony, a ja ze strachu wlażłem na przydrożną wierzbę. Lecz wilki, złężnione równie jak my, pobiegły do przodu nie zwracając na nas uwagi.

- Antek, może pamiętasz - zwrócił się do mnie Janek - którejś wiosny przytaskał w czapce kilkanaście jajek dzikich kaczek, by usmażyć jajecznicę. Nie pachniały tak dobrze, jak kurze, smakowały byle jak, a do tego mówiło się, że mogą być trujące. Kręcąc głowami i mla-skając, jedliśmy tę jajecznicę bez apetytu, bo głód zwyciężał wszystko. Nikogo z nas brzuch jednak nie bolał i dlatego także innym razem przyszło nam opędząć głód kaczymi jajami.

Na bagiennych łąkach gnieździło się wtedy bardzo wiele dzikich kaczek. Co któraś kępa sitowia zajęta była przez kaczki. Wystarczyło trochę pobrodzić po wodzie, by uzbierać potrzebne jajka.

- Jajek nie podbieraliśmy ani dla żartów, ani dla draki czy też zabawy, ale tylko z autentycznego głodu - spointował Janek.

Nocą często śnię o tym, co było na tej ulubionej części mego Podlasia, a czego już nie ma i nie będzie. Piękno ówczesne utracone zostało na zawsze. Żałuję, że nie utrzymałem go na fotografii.

Zniknęły grzęzawiska i mokradła, podobne do tych, które znamionowały Polesie. Zabrakło bagien i moczarów. Zdziczałych łąk i szuwarów. Tam, gdzie w moim dzieciństwie wieczorami błyskały robaczki świętojańskie i migały ogniki gazu, wydobywającego się z głębi bagna i gnijących pni wierzb - posądzane o diabelskie pochodzenie - powstały pola orne, obsiewane owsem i zbożem.

Już nie cieszą oczu bujne łożowiska. Kwitnące żółto nieprzebrane łany kaczeńców, gnane wiatrem białe puszkki wełnianki. Niebieściutkie



Nieudana melioracja łąk w dolinie Klukówki, połączona ze złą ich eksploatacją, sprawiła, iż bagna zamieniły się w dużej części w nieużytki porastające krzakami i dziką trawą oraz trzciną czy też pokrzywą, albo przeistoczyły się w pola uprawne. Nawet udane partie łąk i pastwisk - w skutek ubytku bydła, koni i owiec - są źle wykorzystywane. Czyż nie lepiej było pozostawić bagna, aby teraz czerpać z nich niemałe korzyści, chociażby w formie agroturystyki, uwzględniając nieodparte uroki tej okolicy?

niezapominajki i liliowe wrzosówki. Zatraciły się lilie wodne i pachnące tataraki. Poginęły migocące na niebie ławice czajek, tak samo jak zanikł uwodzicielski śpiew bąków, derkaczów i bekasów. Jak zniknęły liczone w setkach bocianie sejmiki łąkowe. Jak zabrakło widoku siadających na „Wyżarach” stad dzikich gęsi. Nie widzę jaszczurek o bystrych małych oczkach, wygrzewających się w słońcu, obsiadające polne kamienie. Ponad miedzami nie brzęczą trzmielce. Brakuje odorujących zapachem dzikich kwiatów i ziół.

Ulubioną Klukówkę melioranci zamienili w cuchnący rów, porastający krzakami i zielskiem. Gdzie podziały się rybki baraszkuje w rzutkim nurcie rzeki? Połyskujące złotymi łuskami kiełbie? Kartografowie tej rzeki nawet już nie nanoszą na mapy. Znaleźć ją można wyłącznie na dawnych mapach!

Zubożyła się ta cudowna przyroda. Znika bezcenny skarb. Chłopaków nawet już nic nie ciągnie nad rzekę. Zabrakło kąpielisk. A myśmy, będąc chłopakami, w letnie wieczory biegliśmy tam bez opamiętania, kołysząc się na ruchomej runi łąk. Skacząc po kępach dzikich traw i sitowia, pędziliśmy żeby jak najprędzej - jeden przed drugim - zanurzyć się w orzeźwiającej wodzie Klukówki. Chłopaki zrzucali po drodze spodnie, majtki, zupełnie nadzy dobiegali do brzegu rzeki, byle szybciej być u celu...

Od Jagodnicy Klukówkę dzieli kilometr z okładem. Blisko. Mieliśmy kilka wypróbowanych kąpielisk. Gdzie były zakola i woda głębsza, ale nie za głęboka, brzeg suchy, a dno rzeki piaszczyste. Najbardziej ulubione kąpielisko, ostatnie, znajdowało się „obok dworu”. To jest za przypałacowym parkiem, gdzie nad wodą rosła rozczapierzona stara wierzba. Chłopcy wchodzili na jej konary, zwisające nad wodą, aby stamtąd skakać i nurkować. Wracaliśmy znad rzeki wtedy, gdy nad łąkami ścieliła się już biała mgła i zapadała noc. Wyprawa nad rzekę stanowiła atrakcję i dobrą zabawę, od której stroniły jednak dziewczęta.

Przyroda źle traktowana bierze na człowieka srogi odwet, kpiąc z jego ingerencji i tupetu, wytykając mu wielką nieodpowiedzialność i brak kompetencji. Wydrążone z trudem i kosztowne rowy zamuliły się i porosły sitowiem, krzakami, pokrzywami i turzycą. Szlachetne odmiany traw ustąpiły miejsca dzikim. Łąki, po-

zbawione racjonalnych zabiegów, stały się nieużytkami. Podmokłe lub nadmiernie osuszone - tracą na wartości. A na wałach zagnieżdżyły się piżmaki.

## *Niepokoił ją mój los*

Już nigdy zdrowie mamy nie powróciło do tego, jakim było zanim doszło do przesłuchań w gestapowskiej katowni. Następowały co prawda krótkotrwałe okresy względnie lepsze, kiedy podejmowała się ona nawet drobnych robót, niemniej brakowało jej ciągle sił. Serce sła-  
bło, wzrastała duszność. Zawodziły odbite nerki.

Lekarze rozkładali bezradnie ręce. Mama była parokrotnie w białskim szpitalu przy ul. Janowskiej. Odwiedzając ją tam dostrzegaliśmy jak powoli gasła. Zamyślona i zrezygnowana, w oczach pozbawiona nadziei - ukrywała przed nami łzy. Jakby pogodziła się ze złym losem.

Gdyby były pieniądze, których nam dotkliwie brakowało, być może dałoby się poszukać ratunku w Lublinie czy Warszawie. A nas stać było wyłącznie na wizytę u znachora w Cełujkach. Zaprzęgalismy do wozu „Siwka”, układaliśmy mamę na grochowinach przykrytych płachtą - i Antek jechał do Cełujek. Wieś leży nieopodal Swór. Błagał tam cenionego znachora Józefa Melaniuka o pomoc, chociażby było to tylko podtrzymanie wątłego zdrowia mamy. Ten, podchodząc do wozu, zaglądał chorej do oczu, jej ręce brał w swoje dłonie, pytał o to czy tamto - i też niczego dobrego nie wróżył.

A jednak staraliśmy się nie dopuszczać do głowy najgorszych myśli. Żarliwie modliłem się do Boga, jak tylko potrafiłem, prosząc Go o łaskę zdrowia dla mamy. Uspokajałem się, że pomimo wszystko może być lepiej. Łudziłem się, że może kostucha, uwzględniając nasze położenie, zapomni na jakiś czas o nas i pojawi się później, by ustrzec mnie i moich braci przed sieroctwem. Nic z tego. Czuliśmy, że jest źle, gorzej niżby się mogło wydawać. Jak mogła i potrafiła, usiłowała podtrzymać nas na duchu.

Od tego czasu upłynęło bardzo wiele lat, a ja wciąż pamiętam jakby było to wczoraj. Ciągle mam mamę przed oczyma. Wspominam

ją niezmiennie, kochając w myślach i żałując bardzo, że tak wcześniej odeszła. Była przedtem kobietą silną i zdrową. Nad podziw odważną i zapobiegliwą, niezwykle pracowitą. A do tego pogodną i ładną. Zrozumiałem, co w jej sytuacji oznaczało to, że troszcząc się o nas, swoich synów, pól sierotach, zmuszona była dla ich dobra brać na siebie zadania nazbyt trudne. Bo tak chciał los, który wskutek wojny odwrócił się od niej. Tak wczesny jej brak w moim życiu wpłynął na mnie bardzo negatywnie. Na moje samopoczucie. Zabrakło mi oparcia wtedy, kiedy było ono mi najbardziej potrzebne. Gdy kształtował się mój charakter.

Choroba dawała krótkotrwałą ulgę. Mama wtedy trochę pracowała, udając się do ogrodu i na pole, karmiła inwentarz i prowadziła kuchnię. Starła się nie dopuścić, żeby ogród zarósł zielskiem. Lubiła kwiaty. Przy chałupie odkąd pamiętam od strony drogi rosły peonie, goździki, maciejka i kosańce oraz bratki. Na stole jeżeli było lato zawsze stał dzban pełen kwiatów.

Mama męczyła się szybko, ciężko oddychając. Brała z konieczności do ręki grabie, kiedy przyszło grabić siano i na noszach, to jest drążkach, wynosić je z podmokłej łąki na teren wyżej położony, dokąd zimą dawało się dojechać saniami, po lodzie i śniegu.

W gospodarstwie, odkąd pamiętam, było dużo takich zajęć, z którymi mogły sobie poradzić wyłącznie kobiece ręce. Kiedy było jeszcze jako tako, a tym bardziej wcześniej, mama zajmowała się nimi. Na niej spoczywała obróbka lnu. Siała go, wiedząc, w którym miejscu wyda dobry plon. Sama dbała też o całą resztę. Pomagałem jej wywracać ręcznie len, a przedtem plewić, wiązać w garście i garście ustawiać w kuczki, aby wysechł. Należało go wymłócić, żeby odzyskać nasiona, z których Muzyka w Witulinie tłoczył olej. Wiązki lnu, nie było go bowiem za wiele, mama obijała praczem; nie tyle na klepisku w stodole, co na płachcie rozpostartej na podwórku.

Lnianą słomę należało wymoczyć w wodzie zaś potem wyrosić na rżysku lub łące. Najlepiej w rzece, choć dawało się to robić w rowie, jeżeli było pod dostatkiem wody. Po wymoczeniu łatwiej było oddzielić włókno.

Chodziłem z mamą nad rzekę i rów. Pomagałem jej w robocie, co tylko było w moich możliwościach. Udzielałem się w suszeniu wymo-

czonego lnu. Potem należało słomę ze lnu odpaździerzyć, zmiędlić, a uzyskane w ten sposób włókno przeczesać na specjalnym urządzeniu i ułożyć w wałki. Zrobić następnie z niego na kołowrotku nicie. Próbowalem, owszem, prząść len, ale nie za bardzo mi to wychodziło.

Przez całą jesień mama przędła len, ja zaś chętnie zwiјаłem nicie w kłębki na specjalnym motowidle. Następnie ona przez zimę przemieniała na krosnach nicie w tkaniny, z których szyła - także ręcznie - koszule i ubranka, pościel, ręczniki i ścierki. Darła stare płótno, z pościeli, płacht czy zużytych ubrań, aby wyrabiać na krosnach ze strzępów pasiaki i chodniki. Bardzo dużo trudnych i żmudnych zajęć dzięki którym rodzina miała się w co ubrać i na czym spać.

Wyrastałem we lnie. Od pieluch po ubranka. Wszystko, dosłownie, co zakładałem na siebie, w czym spałem i czym się wycierałem - wyrabiane było z lnu. Lniane włókno, czego wtedy nie wiedziałem, było zdrowe i świeże. Na noc wkładałem rubaszną koszulinę, długą do kostek, z początku szorstką. Nie chcąc siusiać do kubła, bez względu na pogodę, nauczyliśmy się wyskakiwać nocą w koszulach za płot, by zaspokoić swoje potrzeby fizjologiczne. Lecz zimą zaledwie na próg chałupy, siusiając stąd możliwie najdalej.

- Oj, wy moje sikuny, sikuny... - uskarżała się mama dobrotliwie. - Znowu narobiliście w śniegu żółtych dziur. Muszę wstydzic się za was, moi chłopcy!

Kiedyś, idąc do szkoły błotnistą drogą, napotkałem księdza, który - jak się wówczas mówiło - zdązał z Panem Bogiem do chorego. Na sobie miałem nowiutkie spodenki, jakie uszyła mi mama. Wiedziałem, że muszę zadbać, żeby służyły mi jak najdłużej. Idącego księdza poprzedzał ministrant z dzwonkiem. Gdyśmy się spotkali, zadzwonił co oznaczało, iż powinienem przeżegnać się i uklęknąć na oba kolana.

Już miałem to uczynić, kiedy przypomniałem sobie, iż kłękając utyłtam w blocku nowo uszyte porcięta. Zdjąłem więc czapkę, skinałem głową, żegnając się pospiesznie, i zachowałem się bardzo dziwnie, gdyż ni to ukląknęm, ni to przykucnąłem, chcąc uchronić spodenki. Ksiądz minął mnie bez słowa, a we mnie zrodziły się skrupuły i wyrzuty sumienia. Podzieliłem się nimi z mamą po powrocie ze szkoły.

- Bóg, synu, jest bardziej wyrozumiały niż ludzie - pocieszyła mnie spokojnie, toteż poczułem się usprawiedliwiony.



Mama konsekwentnie unikała wynurzeń z aresztu i przesłuchań w gestapowskiej katowni. Zapewne chciała bolesne doznania zachować wyłącznie dla siebie; by nie wracać do nich i zaoszczędzić nam trwogi. Nas niepokoiło natomiast to, co stać się może z nami, kiedy jej zabraknie. Lecz tego tematu mama również unikała. Jednak trudno było jej ukryć kłębiące się myśli i potęgujący się żal.

Dała odczuć, że obawia się najbardziej o mnie. Byłem chłopcem drobnym i wątłym, dobrodusznym i wstydlivym, wrażliwym, skorym do rozczuleń. Uznała, że z taką postawą trudno mi przebijać się samodzielnie przez życie. Z uwagi na to hartowała mnie już wcześniej, co pojąłem dopiero po upływie wielu lat, kiedy przypominałem sobie poszczególne zdarzenia.

Sądziłem, iż moje przywiązanie do mamy, kurczowe i zaborcze, mogło okazywać się dla niej uciążliwe i denerwujące. Nieraz, jak pamiętam, mama usiłowała uwolnić się ode mnie, ja jednakże wciąż trzymałem się kurczowo jej fartucha.

Odnaczała się dużym ciepłem i dobrym sercem. W pewną niedzielę mama wybrała się furmanką w odwiedzinach do krewnych Kroszków w Zakanalu koło Konstanytonowa. Zdecydowała, żebyśmy pozostali w domu, gdyż chciała być sama. Ja oczywiście uparłem się twardo, żeby zabrała mnie ze sobą, zaś ona chciała wykazać się stanowczością. Pobiegłem za furmanką, płacząc głośno, a mama poganiała konia batem, żebym pozostał w tyle jak najdalej. Gdy zmęczone się na dobre - sądziła - zrezygnuję z wyprawy i wrócę do domu.

Płacząc i zawodząc, goniłem uporczywie oddalającą się furmankę. Przekonany, iż pomimo wszystko mama spogląda na mnie ukradkiem i wcześniej czy też później zmięknie jej dobre serce. Gdy odjechała już, poza Witulin, mijając wiatrak Denisiuka, a potem kiedy przekroczyła tory kolejki wąskotorowej, zbliżając się do wsi Korczyńska, mając na horyzoncie widok Komarna, było już bardzo daleko od naszego domu. Cztery, a może nawet pięć kilometrów. Z uporem biegłem nadal, wciąż zawodząc żałośnie.

I ku memu zadowoleniu mama zatrzymała „Siwka”. Oblanego potem i łzami, mama posadziła mnie na swoich kolanach, tuląc mocno do siebie.

Bardzo kochała swoich synów. Nie obnosiła się wprawdzie ze

swoimi uczuciami, zachowując chłopską wstrzemięźliwość, ale czy da się to ukryć? Nawet, kiedy była z jakiegoś powodu zła na któregoś z nas, jej chłopaków, nie była w stanie i nie potrafiła wytworzyć w sobie tyle chłodu i złości, aby zniknęły matczyne troski i ulotniła się jej miłość. Często, chociaż, upłynęło tak wiele czasu, wspominam ją z rozrzewnieniem i wielkim sentymentem.

Jeżeli w moim życiu, trwającym przecież długo, brakowało kogoś naprawdę kogoś bliskiego i wyrozumiałego, to właśnie jej. Jak tylko mogła, zawsze dbała o nas i całą rodzinę. Gdy jej zabrakło, nie miałem nikogo, takiego jak ona, z kim mógłbym podzielić się swoimi troskami, rozterkami i radościami. Wobec którego mógłbym ujawniać swoje zmartwienia i na-



*Byliśmy dziećmi, kiedy po śmierci ojca w 1941 r. zostaliśmy półsierotami, a po śmierci mamy w 1950 r. staliśmy się pełnymi sierotami. Wskutek tego wielu skazało nas na zgubę i porażkę. A jednak, dzięki Bogu, stało się inaczej. Każdy z nas trzech dobrze radził sobie w życiu, odnosząc sukcesy. Na zdjęciu: bracia Maziejukowie w sile wieku. Od lewej: Henryk, Jan i Antoni.*

dzieje.

Była mądra i wyrozumiała. Pogodna. Pilnowała, gdyśmy ledwie odrośli od ziemi, byśmy każdego wieczora klękali na podłodze przed krzyżem zawieszonym nad drzwiami i na głos odmawiali pacierz. Sama modliła się ostatnia, zmęczona i zasepiona, lecz rano - gdy zdrowie na to pozwalało - pierwsza wstawała z łóżka i brała się za robotę. Zdarzało się i tak, że ze zmęczenia padaliśmy z nóg, niezdolni nawet do zmówienia pacierza, a wtedy mama wyjątkowo pozawalała jedynie przeżegnać się i wchodzić do łóżka.

Najbardziej spokojna była o Antka. Pewna, że on da sobie radę, bo jest silny i odporny, wyrosnięty i przebojowy. Martwiła go natomiast narastająca jego nerwowość. A Janek? Od początku wykazywał dużą śmiałość i odwagę, samodzielność, a także zaradność. Jąkanie, powstałe w wyniku tyfusu, mijało powoli i wszystko wskazywało, że pozostanie bez śladu. Każdy z nas trzech - z czego mama doskonale zdawała sobie sprawę - był zupełnie inny i tak już pozostało. Naszą wspólną cechą okazała się pracowitość i rzetelność.

- Pastwili się nad tobą? - dopytywałem się mamy, głaszcząc jej czarne grube włosy, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o jej pobycie w areszcie. Unikała tego tematu, gdyż przywoływał niemiłe wspomnienia.

- Niemcy to ludzie pozbawieni litości - przemogła się na chwilę.  
- Potwory, diabły! W myślach prosiłam pana Boga, żebym wytrzymała maltretowanie, zniosła bicie, bo chciałam tak bardzo wrócić do was i jeszcze przed swoją śmiercią trochę was podchowąć...

Zgryzotę i żal dławiła w sobie. Odzywające się ciągle lęki. Ścierałem z jej policzków łzy i płakałem razem z nią, zdając sobie sprawę z tego, co zapowiada los.

## *Zmagania z insektami*

Im mama czuła się gorzej, tym bardziej w skutkach dotykało to nas. Nie było komu ani ugotować posiłków, ani uprać bielizny i pościeli, a także - co wcale nie skłania do śmiechu - podjąć walkę z panoszącymi się insektami. Zwłaszcza latem.

Pchły cięły niczym komary. A namnożyło się ich tak wiele, że sami nie byliśmy w stanie uporać się z nimi. Z braku skutecznego sposobu zwalczania ich, czuliśmy się całkowicie bezradni. Podobnie z pluskwami i wszami. Ledwie człowiek, zazwyczaj mocno zmęczony, znalazł się w łóżku, plugastwa te już przystępowały do ataku, wyłaząc z różnych zakamarków. Ze szczelin w podłodze i z sienników. Z kątów i dziur w meblach. A nad ranem natrętne okazywały się muchy, brzęcząc i wiskając się gdzie się da.

W zakamarki wlewaliśmy denaturat i naftę, wrzątek, jednak dawało to zaledwie chwilową ulgę. Na podłogę i posłanie, także wprost na ciała, wykładaliśmy świeżo zerwane łądygi piołunu, smrodliwego, rosnącego obficie na podwórku i dróżce. I to zdawało się nie na wiele. Na krótko zapach piołunu odstraszał insekty, które potem z tym większą zjadłością atakowały. Sen w końcu - pomimo wszystko brał górę - zaś następnego dnia widniały na skórze ślady ukąszeń i zadrapań. Czyż nie jest więc prawdą, że bezradni i biedni muszą dzielić się nawet władną krwią ze swoimi wrogami?

Wszy, zatem także gnidy, gnieździły się we włosach, gdzie by one nie rosły. Stosowanie gęstego grzebienia niewiele pomagało. To na głowie, a gdzie indziej? Gdy dopiekały mi zanadto i byłem akurat w polu, siadałem na miedzy, spuszczałem spodnie, gdyż slipek wtedy się nie nosiło, a potem również koszule, urządzając ręczne polowanie na wszy. Które gnieździły się chętnie w wewnętrznym klinie spodni i splocie podpachwinowym koszuli. Czyli tam, gdzie ciepło i gdzie jest łatwy dostęp do miękkiej skóry, będącej dla nich żerowiskiem. Wszy rozgniałem ze wstrętem i mściwością w paznokciach lub wyrzucałem na ziemię.

Plugastwa te upatrzyły sobie krocze, gdzie już wówczas pojawiło się u mnie puszyste owłosienie. A jednak, także tutaj, ręczna interwencja dawała krótkotrwałą ulgę. Należało więc ją powtarzać.

Z polem kojarzy mi się jednak przede wszystkim wyczerpująca i żmudna praca. Taką okazywała się zwłaszcza orka. Byłem zbyt niski, żeby cepigi pługa podtrzymywać od góry, dlatego chwytałem je rękami od dołu, co utrudniało sterowanie pługiem. W przypadku posługiwania się ręczną kosą było łatwiej o tyle, iż kosy były także małe, dostosowane do wieku i wzrostu, jak chociażby „piątki”. Za to pługi

były jednakowe dla wszystkich.

Jeżeli koń ciągnął nierówno, szarpał lub nagle spowalniał, chcąc sobie ulżyć, podnosiłem mimowolnie cepigi do góry i wtedy lemiesz wdierał się w glebę zbyt głęboko, wyrzucając poprzez odkładnię żółty piasek, bądź pług wypadał z bruzdy czy też skręcał w bok.

W takiej sytuacji - nie mając sił, by zrobić natychmiast korektę - musiałem zatrzymać konia i skłaniać go do cofania się do miejsca, w którym popełniłem błąd, co nie przychodziło łatwo. Szarpiąc nerwy i tracąc czas, byłem okropnie zły na konia, który pozostawał bez winy, bo ta leżała po mojej stronie. Urażałem mu jak stary szewc. Odbierając pewność, doprowadzałem go do tego, że współpraca nasza - moja i konia - nie mogła układać się należycie.

Widząc moją nieporadność, potęgowaną złośliwością, koń lekceważył mnie najwyraźniej i stawał się narowisty. A ponieważ nie byłem w stanie osiągnąć go batem, aby go ukarać, zaś słowa nie robimy na nim żadnego wrażenia, ciskałem weń grudami ziemi i drobnymi kamieniami; nie chcąc wszelako wyrządzić mu krzywdy. Gdyby ktoś obserwował te moje popisy, miałby darmowy teatr nieudolności i żalostnego zmagania się dziecka z koniem. Później, wspominając tamte wydarzenia, miałem do siebie pretensję, bo żal mi było konia, który odegrał w moim życiu istotną rolę i którego tak naprawdę lubiłem.

Wrzeszcząc i szarpiąc wędzidłem, nadaremnie przywoływałem konia do porządku co go tym bardziej denerwowało, a przy tym dezorientowało. Ja zaś słabłem. Zdarzało się czasem - aż wstyd przyznać się do tego - że „Siwek”, wlokąc za sobą brony czy pług, uciekał ku memu przerażeniu z pola na podwórko, by szukać tam uspokojenia. Nie tyle wstydziłem się tego, ile bałem, ponieważ podskakujące urządzenia rolnicze mogłyby konia okaleczyć.

Musiałem po swojemu rozwiązać problem wkładania ciężkich narzędzi na wóz, kiedy przyszło wracać do domu. Antek nie mógł pojąć, jak mogę z tym czymś nie poradzić sobie, co jemu nie sprawia żadnych kłopotów. Najgorzej było z pługiem. Za mało miałem sił, by wziąć go w ręce i położyć na wozie. Wprowadzałem dlatego wóz z koniem do rowu, aby następnie opierając grądzel pługa o drabinę czy też rozwórkę, podnieść go resztkami sił do góry i wrzucić bezładnie na deskę między drabinami, łamiąc nierzadko przy tym szczeble. Prakty-

ka taka była jednak mało bezpieczna, bo pług mógł spaść na nogi.

Tak więc, mówiąc szczerze, męczyłem się z koniem, a koń ze mną. Gdy byłem studentem, dużo później, pracowałem chętnie na polu, bo to sprawiało mi satysfakcję. Z ochotą pomagałem bratu w robocie. Lubilem nawet roztrzasać obornik, zwłaszcza koński, który zalatywał amoniakiem. Łatwo dawałem sobie radę z koszeniem zboża. Trudniejsze było koszenie trawy. Z młócką na dwa cepy też radziłem sobie całkiem nieźle. Wtedy miałem dość sił, żeby podołać zadaniom i dorównać Antkowi.

Uświadomiłem sobie od początku, że nie mógłbym być dobrym rolnikiem. Z tej przyczyny, iż nie byłbym w stanie uśmiercać zwierząt. W moim wnętrzu tkwi sprzeciw wobec zabijania. Lubię zwierzęta, całą przyrodę, łatwo przyzwyczajam się do nich, toteż zapewniałbym im schronienie aż do śmierci. Ale wiem też doskonale, iż z taką mentalnością nie da się prowadzić gospodarstwa.

Będąc kiedyś w Jagodnicy, zauważyłem brak „Siwka”. Był sędziwy, owszem, ale zawsze stał w stajni i był symbolem tego gospodarstwa. Spytałem brata, co się z nim stało?

- Sprzedałem. Już do niczego się nie nadawał - powiedział Antek.

- Jeżeli nie był w stanie pracować, to komu był potrzebny taki koń? - dociskałem go pytaniami.

- Trafił na farmę lisów do pożarcia - wyznał szczerze.

- I nie żał było ci w taki sposób rozstać się z nim? Przecież do roboty miałeś już „Wojtkę”... Na pewno dostałeś za niego jakieś śmieszne pieniądze? Gdybym wiedział, że on tak właśnie skończy swój żywot, płaciłbym ci - bo ustaliłem to już z Halką - emeryturę za jego utrzymanie...

Antek zrozumiał, co przyznał sam, iż popełnił błąd. - Nie byłoby - powiedział - żadnego uszczerbku na kasie, gdybym „Siwkowi” sam zapewnił dożywocie, na które on zasłużył.

Sprawdzany byłem wielokrotnie na wsi - podczas swoich reporterskich wędrówkach po Polsce - na ile znam się na rolnictwie i potrafię wykonywać gospodarskie zajęcia. Zaskakiwałem rolników swoimi umiejętnościami. Wzbudzało to ich uznanie i sympatię. Tłumaczyłem, że wiedzę i doświadczenia uzyskałem w dzieciństwie i młodości,



z konieczności przyuczając się rolnictwa.

Te moje umiejętności straciły potem sens i znaczenie. Bo konia zastąpiły traktory. Cepy i kosy przemieniły się w maszyny omłotowe i kombajny; a jeszcze przedtem w kosiarki, żniwiarki i snopowiązałki. Zastąpiły tak skutecznie, że w gospodarstwach chłopskich nie da się już nawet uświadczyc dawnych narzędzi i maszyn.

### *Piechotą na odpust*

Leśna Podlaska, mająca charakter osady, stanowiła w okresie mego dzieciństwa najbliższe dostępne mi centrum, które uznawałem za atrakcyjne i bogate. Poza kościołem i jego otoczeniem, a więc klasztorem, fosą i murem obronnym, zabudowaniami gospodarczymi, duże wrażenie robiły na mnie stare budynki mieszkalne. Pozostałości młyna i gospodarstwa rolnego mniszek.

Wspomnienia i tym razem wiążą się z mamą. To z nią właśnie wybierałem się do kościoła na msze i odpusty. Z uwagi na czczony powszechnie cudowny obraz Matki Boskiej Leśniańskiej osada ta ściągała ku sobie licznie nie tylko parafian, także pielgrzymów często przybywających z daleka.

W dniach odpustu, jak też w przeddzień, od wczesnego rana zdążali tutaj tłumnie ludzie drogami i łąkami, by ukłęknać pokłonić się Kamiennej Madonnie i postarać się wyjednać u niej łaski. Bo też była - i jest - Matka Boska Leśniańska Opiekunką Podlasia. Orędowniczką wiernych. Powiernicą strapionych, wątpiących i chorych. Słynącą z łask. Poza pieszymi, docierały także furmanki konne, rzadko samochody, wypełnione wiernymi.

My chodziliśmy tam pieszo. Była to wyprawa całodniowa. Na którą czekaliśmy - jak wszyscy - z utęsknieniem. Mama zabierała w drogę grubą kraciatą chustę, służącą zarówno do wyściełania siedziska na czas odpoczynku i posiłku, jak też do ocieplania przed chłodem i ochrony przed deszczem. Zabierała węzełek, wkładając doń kilka kromek razowego chleba i parę gotowanych jajek. Czasem plaster słoniny czy też boczku, jabłka, gruszki albo pomidory.

Szliśmy boszo, łąkową ścieżką poza witulinińskimi ogrodami, z

butami przerzuconymi przez ramiona. Droga bita, wyłożona wtedy granitową kostką, drobną i nierówną, kłuła w stopy i dlatego nie za bardzo nadawała się do pieszych wędrówek. Ludzie wyszukiwali więc przejść łąkowych i śródpolnych, krótszych i lżejszych dla nóg. Ścieżka, która wiodła poza Witulinem, była uczęszczana masowo i łączyła się z brukiem dopiero na krańcu wsi. Przed mokradłem rosły wierzby. Dalej szło się kostką brukową aż do celu. Droga, jak teraz, kręta i wąska prowadziła przez uroczy lasek, będący obecnie rezerwatem.

Wkładanie butów na nogi odbywało się tuż przed leśniańskimi zabudowaniami. Wchodziło się do strumyka, wypływającego z bagicennych łąk, aby umyć w jego wodzie ubrudzone nogi i ręce oraz odświeżyć twarz. Skarpety zastępowało się wtedy onucami, szczególnie kiedy buty były na wyrost. A że były drogie, należało je oszczędzać. Kupowano buty większe, niżby trzeba było, które by pasowały i dla nóg mniejszych, i dla większych. Miałem buty wspólne z Antkiem. Jeżeli on szedł do kościoła, ja zostawałem w domu, zakładałem je dopiero po jego powrocie, albo odwrotnie.

Wtapialiśmy się w tłum, pozostając blisko przy sobie, który kłębił się i przelewał z miejsca na miejsce. Wzdłuż przykościelnych uliczek, obok studni, na rozległym placu, który kiedyś był targowiskiem, a potem został parkiem. Stały tam liczne stragany z zabawkami i świecidełkami. Z pamiątkami odpustowymi i dewocjonaliami. Popularnością cieszyły się joja na gumce, barwne wiatraczki, gwizdki i korkowce, fajareczki, grzebyki, lustreczka i zapinki, koziki. Kolorowe chusteczki, wstążki, straszydła - i tak dalej. Tandeta. Ciesząca się jednakże uznaniem i wzięciem.

Obok znajdowały się stoiska z bułeczkami i ciastkami, cukierkami i lodami, także z owocami. Wzięcie miały ogórki małosolne, sprzedawane na sztuki wprost z beczki. I były też stoiska fotograficzne, gdzie można było uzyskać - w zależności od potrzeb - zdjęcia „na pamiątkę”. A więc swoją podobiznę na tle leśniańskiego kościoła. Ten zaś, kto chciał popisać się przed dziewczyną czy też zaimponować kumplom, wkładał głowę w otwór umieszczony na płótnie dekoracyjnym z dowcipnymi malunkami i napisami. W tej formie mógł przesłać pozdrowienia, udając groźnego wojaka, marynarza z dalekiego portu, podróżnika, myśliwego, czarownika czy też pogromcę dzikich zwierząt.

Ci zaś, którzy gotowi byli popisywać się swoimi umiejętnościami, sokolim wzrokiem, zręcznością, siłą lub wprawną ręką albo sprytem - też znajdowali coś dla siebie. Ciskali piłeczkami do pustych puszek ustawionych na stole. Strzelali z wiatrówek do celu, dźwigali ciężary, narzucali kółeczka na szyjki butelek, czy też celowali do zabawek.

Na wiele sposobów można było się popisywać, licząc na oklaski i zdobycze. Na przykład wyciskaniem, jak najwyżej, metalowej dźwigni lub wspinaniem się na wierzchołek okorowanego na świeżo drzewa, wbitego w grunt. Ten, kto się tam wdrapał, a nie było to łatwe, miał prawo zdjąć stamtąd i zatrzymać dla siebie butelkę alkoholu lub pęto kiełbasy. A inaczej określając - była to wesoła i dowcipna zabawa dla odpustowiczów. Pozwalająca zarobić organizatorom atrakcji, ściągających w każdym przypadku wielu gapiów. Sam należałem do nich.

Im bliżej kościoła, tym więcej było odpustowych dziadów i żebraków, później przepędzanych siłą przez milicję i ORMO. Wnętrze świątyni wypełniali szczerze pielgrzymi na długo przed rozpoczęciem nabożeństw. Nabita była nimi również Kaplica Zjawienia Matki Boskiej Leśniańskiej, stojąca obok świątyni; stara i ze studzienką po środku, z której czerpana woda uznawana za leczniczą.

Przykościelny dziedziniec wypełniał się aż do ścisku pątnikami. Oblegana była sędziwa studnia kamienna, znajdująca się na zewnątrz klasztornych murów. Tej studni nie ma już od dawna. Ludzie nalewali wodę z drewnianego wiadra, zawsze zimną, do butelek i rozmaitych naczyń, albo pili na miejscu. Po kilku godzinach na dnie wiadra zbierał się piasek, lecz pątnicy i tak nie odstępowali od studni, gasząc pragnienie „piaszczystym żurem”.

Teren okalający klasztor przedstawiał się wtedy zupełnie inaczej. Zaraz za fosą, obfitującą wówczas w wodę, gdzie obecnie jest trawnik, a w głębi ołtarz polowy, stała - stara, drewniana, kryta gontem - obszerna stodoła. I były też inne zabudowania gospodarskie, bo paulini byli dla siebie wystarczającym zakonem i zajmowali się rolnictwem.

Ulica prowadząca w stronę Bordziłówki, jednej z najstarszych wiosek w okolicy, była zabudowana obustronnie. Między rzeką Klukówką a ulicą prowadzącą do Witulina - i dalej do Białej Podlaskiej - stały sędziwe, jak tamte, głównie murowane parterowe i piętrowe budynki. Teren był zabudowany gęsto. Poza ogrodami były już tyl-

ko bagna. Tam, gdzie stała wspomniana studnia i były zabudowania, znajduje się obecnie utwardzony parking.

Kiedy jestem w leśniańskiej świątyni, co zdarza się często, idę uklęknąć z powagą przed słynącą łaskami Leśniańską Madonną, by podziękować Bogu i Jej za wsparcie, pomoc i miłosierdzie. Lubię skupiać się w ciszy i samotności. Wtedy odradzają się we mnie wspomnienia z lat dawnych i wcześniejszych, wciąż bliskie memu sercu. Miłe i pogodne tylko we fragmentach, najczęściej bowiem przykre i smutne. Lecz mimo to takie, które ukształtowały moją osobę i postawę.

Przypomina mi się odsłonięcie pomnika Jezusa Chrystusa na przykościelnym placu od strony liceum, mające miejsce w 1948 roku. Panował wtedy upał i był duży ścisk. Uroczystość odbyła się po zakończeniu głównej mszy. Zajęliśmy miejsce wcześniej, żeby więcej widzieć. Mama rozpostarła na murawie grubą chustę, tę w kraty, na której potem usiedliśmy, żeby posilić się i odpocząć. Usnąłem na matowych kolanach.

Chociaż pora była późna, mama nie budziła mnie, pragnąc, bym wypoczął. Wracając do Jagodnicy zaszliśmy na cmentarz parafialny, aby - jak zawsze - pomodlić się nad grobami tych, którzy spoczęli tam snem wiecznym. Najdłużej staliśmy przy mogile mego ojca Franciszka. Mama chętnie opowiadała, gdy zapytywałem ją o szczegóły związane z nim. Uwzględniając jej stan zdrowia, każda taka wyprawa była dla niej trudna i uciążliwa.

Zmówiliśmy pacierz także na mogile babci Zofii i dziadka Andrzeja. Spoczęli osobno, lecz blisko siebie, a przy nich znalazł się skrawek ziemi dla mojej siostry Łodzi, która umarła będąc dzieckiem. I tam mama znajdowała czas na opowieści rodzinne.

Tego samego 1948 roku, też jesienią, powstała na tym cmentarzu, w innym miejscu, bo blisko ogrodzenia, mogiła wujka Stanisława Misiejuka. Ludzie mówili ukradkiem, że on nie umarł śmiercią w pełni naturalną, a jakoby pod przymusem kogoś z domowników. Nikt tego w rodzinie jednak nie potwierdzał, jak też nie wracał do tematu.

W pamięci mojej utrwaliły się dwie inne ważne uroczystości kościelne, w których uczestniczyłem. Jedną było odsłonięcie nowych organów. Zapamiętałem wielki ścisk wewnątrz świątyni, falujący lud,

zwisające z sufitu długie szarfy maryjne i o barwach narodowych. I potężne, jakby wibrujące ciągle brzmienie organowych piszczałek, które z takim natężeniem nie były już później używane, gdyż zagrażałoby to stabilizacji starych murów, wzniesionych na dębowych palach wbitych w mokry grunt.

Stałem z mamą w pobliżu murowanego filaru, od strony nawy roboczej, skąd mama widziała ołtarz. Wskutek niedostatku powietrza zemdlałem. Mama zareagowała z przestraszaniem. Ludzie, którzy cisnęli się dotąd na potęgę, by doświadczyć niecodziennego wydarzenia, nagle odsunęli się na bok, robiąc wąskie przejście, którym przeniesiono mnie do drzwi - znajdujących się w tym samym filarze - prowadzących na ambonę. Zostałem tam wepchnięty. Mama posadziła mnie na schodach, a że był tam świeży chłód idący od grubych murów, wkrótce doszedłem do siebie. Pozostałem tam na dłużej, ona zaś wyszła na zewnątrz, by dalej obserwować uroczystość.

Rzeźkie powietrze dobrze na mnie działało, siedziałem jednak na schodach, wysłuchując docierającego z trudem śpiewu i gry organowej. Pozbawiony widoku, traciłem bardzo wiele, tym bardziej, iż liturgia słowa odbywała się po łacinie. Zastanawiałem się nawet czy nie podejść w górę, aż do samej ambony, by stamtąd zobaczyć cokolwiek. Jednak uznałem to za niestosowne, lub też, po prostu, zabrakło mi odwagi. I dobrze, bo wkrótce wszedł tam ojciec paulin, prześlizgując się obok mnie. Słyszałem dokładnie jego kazanie, które on wygłosił z ambony. Tam przesiedziałem do końca uroczystości.

Byłem też na odsłonięciu ambony. I tym razem uroczystość była podniosła i tłumna. Stałem blisko, oglądałem więc wnikliwie i z podziwem, wtedy po raz pierwszy w życiu, dwie średniej wielkości drewniane płaskorzeźby apostołów, Piotra i Pawła, pod wezwaniem których pozostaje leśmiańska świątynia. Jeszcze teraz, gdy znajduję się w tym kościele, spoglądam na nie i przypomina mi się tamta, sprzed bardzo wielu lat, uroczystość. I na tym tle widzę oczami wyobraźni postać Antka, mego brata, którego ostatni raz właśnie dostrzegłem, kiedy stał on w ławce, wyższy od innych, w pobliżu ambony i tychże płaskorzeźb. Odnoszę czasem złudne wrażenie, że on ciągle tam stoi...

## Śmierć ją zabrała

Czerwiec 1950 roku był wyjątkowo piękny. Po zakończeniu roku szkolnego wracałem do domu ze świadectwem ukończenia siedmiu klas - wtedy końcowych - Szkoły Powszechnej w Witulinie. Figurowały na nim wyłącznie czwórki i piątki. Byłem z siebie zadowolony. Zadowolenie mieszało się jednak ze zwątpieniem i niepokojem dotyczącym jutra. Zdawałem sobie sprawę, że tak oto kończy się ważny etap w moim życiu i wkrótce rozpocznie - następny. Jaki on będzie? Dokąd mnie zaprowadzi? Czy podołam trudnościom, jakie - co do tego nie miałem najmniejszych wątpliwości - mnie spotkają?

W głowie kłębiły się niepokojące myśli. Szedłem, jak często, nie drogą poprzez wioskę, a na skrót, łąkami, któredy bardzo lubiłem chodzić. Zamartwiałem się chorobą mamy. Prosiłem Boga, by pozwolił jej dłużej żyć. Nie mogłem wyobrazić sobie, jak obędę się bez niej, gdy jej zabraknie?

Dostrzegłem mamę z daleka. Pielili ogród na kolonach. Jej widok ucieszył mnie i zmylił zarazem. Sądziłem, że praca ta może być oznaką poprawy jej zdrowia. Podałem mamie do rąk świadectwo. Przeczytała uważnie stopnie i orzekła z powagą, że jest ze mnie dumna.

- Może ci się uda wyjść na kogoś lepszego... - powiedziała z przekonaniem.

A kiedy podałem jej też książkę, jaką otrzymałem w nagrodę, a była to „Placówka” Bolesława Prusa, dodała:

- Bardzo chciałabym, synku, żebyś zdążył mi ją przeczytać. Tak lubię słuchać, kiedy czytasz...

W słowach tych, co uświadomiłem sobie potem, nadzieja przemiaszała się ze smutkiem.

Usiedliśmy na dróżce. Za plecami ścieliła się łąka, a za nią - w odali - stała ściana witułińskiego parku dworskiego. Wtedy, jak pamiętam, mama odbyła ze mną tak zwaną „rozmowę zasadniczą”. Spytała, delikatnie jak zwykle, bez cienia natarczywości:

- Kim, synku, chciałbyś zostać? Co mogę ci poradzić?

Zaskoczony pytaniem i nie wiedząc, co mam powiedzieć, wzruszyłem ramionami. Bo też, tak naprawdę, czegoż ja mogłem wówczas oczekiwać? Na co liczyć? Byłem zbyt naiwny i młody, żebym mógł



zastanawiać się świadomie nad swoją przyszłością.

Ciszę przerwała mama.

- A może poszedłbyś na księdza? - zareagowała, widząc moją bezradność. Zapewne uważała, że taki wybór powinien być dla mnie dobry. Dotychczas nigdy nie mówiliśmy jednak o takiej ewentualności.

- Jesteś - dodała po chwili - słaby i delikatny, wrażliwy. Gdybyś został księdzem, miałbyś lekką i spokojną pracę, z którą na pewno dałbyś sobie radę, a dla ludzi byłbyś dobry i sprawiedliwy, wyrozumiały...

Zawód ten cieszył się na wsi uznaniem i poważaniem. Zapewniał rodzinie splendor i pieniądze, jak też poważanie. Nie wątpiłem, że mama chciała dla mnie jak najlepiej, troszcząc się o moją przyszłość, lecz ja wybór ten zdecydowanie odrzucałem.

- Ja, mamó, nie chcę zostać księdzem! - zareagowałem wyraziście, może nawet - jak na mnie - zbyt obcesowo. - Nie nadaję się na księdza! - dodałem z naciskiem.



*Poprzez Witulin - łącząc Białą Podlaskę z Konstantynowem - kursowała wąskotorówka, z której usług nieraz korzystałem*

Odmowę mama przyjęła bez odrobiny gniewu. Wobec mego stanowiska nie wyrażała najmniejszego sprzeciwu. Nigdy zresztą do niczego mnie nie przymuszała, wiedząc zapewne, iż potrafię w razie czego uprzeć się i zamknąć w sobie, niczym ślimak w skorupie, byle nie ustąpić.

- To może zostałbyś nauczycielem? - powiedziała po chwili głosem pojednawczym, mając na uwadze istniejące w Leśnej Podlaskiej Państwowe Liceum Pedagogiczne.

- Chętnie - zareagowałem zdecydowanie. - Tam właśnie spróbuję poszukać szczęścia.

O tej szkole myślałem już wcześniej, jak wielu zresztą w mojej okolicy. Tam uczyło się kilka osób z Jagodnicy i Witulina, moich znajomych, toteż czułbym się lepiej. Przeciwwskazaniem mogłaby się okazać - zdawałem sobie z tego sprawę - moja wrodzona nieśmiałość. Której tak czy inaczej - rodziło się we mnie takie przekonanie - trzeba będzie się wyzbyć.

Wiedziałem, że szkoła ma piękną tradycję i jest mocno osadzona w realiach regionu. Ponadto, co ważne, położona blisko domu rodzinnego, wobec czego można będzie docierać do niej piechotą czy też rowerem. Można by też kolejką wąskotorową z Witulina, lecz byłoby to niezbyt poręczne.

Ta postawa mamę ucieszyła. Pozostanie nauczycielem byłoby nie mniejszym awansem niż, księdzem. Tę akceptację dla mego wyboru zawodu, co wyczułem w jej głosie, przyjęła z więc mama z satysfakcją.

Spadł mi ciężar z serca. Poczułem się błogo i sennie. W cieniu konopi, które tego roku wyrosły nad podziw urodziwe, ułożyłem się do snu.

- Chłopcze, tylko nie tam! - mama zareagowała ostro. - Zapamiętaj raz na zawsze, że konopie, szczególnie podczas kwitnienia, mogą łatwo uśpić tak, że już się nie obudzisz...

Nikt nie uważał wtedy konopi za narkotyki. Wątpię zresztą, aby słowo to było na wsi znane. Ludzie wiedzieli jednakże o uśmiercających właściwościach tej rośliny. Zapamiętałem dotąd tę przestrożę.

Mama słabła coraz bardziej. Narastał w nas niepokój, by nie powiedzieć przerażenie. Ze mnie ulatywała chęć do życia. A tu, co za los, wypadł akurat termin egzaminów do leśniańskiego liceum. Poszedłem na nie w złym stanie psychicznym, mając głowę zaprzątniętą zbliżającą się śmiercią mamy.

Ta właśnie okoliczność, a być może trema lub raczej niedostatek wiedzy, wyniesiony ze szkoły podstawowej, sprawiła, iż egzamin nie

wypadł dobrze. Zabrakło punktów. Dlatego nazwisko moje nie znalazło się na tablicy wśród osób, które zostały przyjęte do leśniańskiego liceum. Przeżyłem to wyjątkowo źle. Tak, jakbym stanął, zupełnie bezradny, przed bardzo wysoką ścianą nie dającą się nijak sforsować. Co tu ukrywać, załamałem się kompletnie.

Płakałem i złożyłem. Urągałem swemu losowi i swojej nieporadności. Niczym poraniony zwierz, ryczałem ze wściekłości. Cały we łzach wracałem piechotą ze szkoły. Nie wiedziałem, co mam począć ze sobą. Zdawało mi się, iż zawalił się świat. Ten, który dotąd jawił mi się - na przyszłość - jako warty zachodu i akceptacji. Budowałem go z trudem, ale też nadzieją, lecz on legł w gruzach.

Stanąłem na rozdrożu. Co będzie ze mną? Jaką drogą pójde teraz w życie? Co może mnie czekać?

Byłem tak bardzo załamany, że nie mogłem dostrzec dla siebie jakichkolwiek szans. Pogrążony w apatii i niewierze - nie byłem w stanie zdobyć się na rozsądny krok. To była, jestem tego pewien, największa moja porażka w dotychczasowym życiu. Pomimo, że - tak naprawdę - właściwa klęska miała dopiero nastąpić.

Zdawałem sobie sprawę, że zbliża się dzień, w którym zostanę pełnym sierotą. Odczułem dotkliwie los półsieroty, spowodowany śmiercią ojca, a teraz oto zabraknie mamy. Bałem się tego bardzo. I oto zabraknie mamy. I gnębiło mnie poczucie bezradności wobec tego, co musi nastąpić i czemu nie da się przeciwstawić. Wiedziałem, bo znałem takie przypadki, że nad sierotą nikt nie będzie się za bardzo rozczulał. Albo będąc sierotą okażę się na tyle silny i obrotny - jeśli będzie sprzyjał mi los i jakoś dam sobie radę - albo zginę marnie. Echa niedawnej wojny wciąż dawały o sobie znać, toteż nie brakowało wokół sierot i półsierot.

Choć każdy z braci czuł, co nam zagraża, unikaliśmy tego tematu. Lecz on i tak zaprzętał nas bez reszty. I choć wciąż, mali i biedni - byliśmy już na tyle dojrzały, żeby wiedzieć, iż nie ma żadnego cudownego sposobu, aby odwrócić zły los.

Na kilka dni przed śmiercią, choroba mamy trochę poluzowała, gdyż poczuła się ona lepiej. To stanowiło dla nas jakąś wątłą nadzieję. Żłudną niestety. Mama postanowiła pojechać z Antkiem na targ do miasta, żeby kupić parkę prosiąt. Uznała, że jego doświadczenia

nie są na tyle wystarczające, izby znał się na świniach i mógł dokonać dobrego wyboru. Na targu każdy, kto sprzedaje, zachwala swój towar. Mama znała się na świniach i miała dobrą rękę do ich wyboru i chowu. A wiedziała, że jeśli będą prosięta, to wcześniej albo później wyrosną one na duże świnie, które nadawać się będą do zabicia i uniknie się dlatego głodu.

Ciągle nie mogłem pogodzić się z klęską egzaminacyjną, która jak zadra wbiła się w moją psychikę. By nie zadręczać się kłopotami, zająłem się domem i porządkami. Pracą w polu, obrządkiem inwentarza. Wytrącało to mnie chwilowo z odrętwienia.

Przed śmiercią mama poszła ukopać koszyk kartofli. W przeddzień była ulewa i gleba stała się mokra. Wieczorem mama usnęła normalnie. Kolację podałem jej do łóżka.

Antek wybrał się wczesnym rankiem zaorywać ściernisko. Zostałem w domu z Jankiem. Gdy słońce znalazło się wysoko na niebie, a mama - jak mi się wydawało, gdyż zaglądałem do niej co jakiś czas - wciąż spała, coś mnie tchnęło, by obudzić ją na śniadanie. Uznałem, iż sen trwa zbyt długo i ona może być głodna.

Lekko poruszyłem ją za ramię. Nie zareagowała, leżała bez ruchu na boku, z głową zwróconą w stronę ściany. Dłonią, delikatnie, dotknąłem jej czoła. Było zimne i blade. Twarz miała spokojną i bez wyrazu bólu. Zrozumiałem, mocno zalekziony, że mama jest martwa. Było to 19 sierpnia 1950 r.

Przez krótki czas nie wiedziałem, ani co mam począć, ani dokąd się udać. Oblał mnie zimny pot. Przeżegnałem się - i wyskoczyłem na dwór, szlochając mocno. Płakał również Janek, mój młodszy brat. Dlaczego - zastanawiałem się naiwnie - nie pożegnała się ona z nami?

Odeszła samotnie i w ciszy. Gdyśmy spali w tym samym pokoju, wcale nie zdając sobie z tego sprawy. Tak jak wtedy, kiedy umierał ojciec. Lecz wówczas byliśmy z mamą, która pozostała na przyszłość naszą nadzieją. Byliśmy wtenczas powaleni tyfusem, pozbawieni świadomości. Czy umierając mama myślała o nas, swoich synach, zdając sobie sprawę, że pozostawia nas sierotami?

W tej ostatniej chwili kończącego się życia musiało być jej bardzo ciężko. Miała zaledwie 41 lat! Była jednakże mocno wyniszczona i słaba. Lecz, tak to wtedy sobie wyobrażałem, nawet w takim stanie

mogła jeszcze żyć. Na szczęście umierała godnie i w swoim łóżku. Czy pogodzona ze swoim kiepskim losem?

Pobiegłem pędem, zlany łzami, do cioci Pauliny, by powiadomić ją o tym, co się stało. Wiedziała dobrze, jakim nieszczęściem pozostaje dla nas ta śmierć.

Zajęła się pogrzebem mamy. Z pomocą krewnych z Terebeli, Swór i jagodnickich sąsiadów. Trzeba było się spieszyć, ponieważ panował upał. Pochówek musiał się odbyć następnego dnia. Korzystając z dobrych stosunków z ojcami paulinami, ciocia, wierząca gorąco, wybrała mamie na mogiłę najlepsze z możliwych miejsce. Przylegało do głównej alejki cmentarza.

Zapamiętałem niewiele z tego pogrzebu. Nie godząc się ze śmiercią mamy, uznałem ją za wielce niesprawiedliwą i dlatego przeklinałem - tak, to prawda! - siarczyście swój los. Pojąłem, iż jestem zbyt młody, aby bez mamy dać sobie radę. Absolutnie bezradny i zagubiony.

Zbliżałem się do 15 lat, ale byłem wciąż dzieckiem, na które spadło to okropne nieszczęście. Jako nieszczęśnik byłem też traktowany przez krewnych i znajomych, którzy nie byli w stanie niczego dobrego wróżyć nam trzem. Patrzyli na mnie jako tego, który utracił szansę i będzie odtąd przegrywał. Bo sieroctwo, to przecież, symbol niepowodzenia oraz zatracenia. Czułem na sobie to piętno.

Łzy nie wysychały z twarzy. Z otępieniem i zagubieniem patrzyłem na wszystko, co działo się wokół mnie, nie wyłączając pogrzebu. Z ceremonii tej zapamiętałem bardzo niewiele. Dzień był ciepły, słoneczny. Zapamiętałem żółciutki piasek, wydobyty z dołu, w jakim potem spoczęła trumna.

Na prośbę części krewnych, nad mogiłą otwarta została trumna ze zwłokami mamy. Ubrana była w granatową sukienkę w groszki, przepasana żółtym paskiem. Na nogach miała świąteczne pantofle. Spodziewając się bliskiej śmierci, jeszcze za życia, chcąc uniknąć naszego zakłopotania, zadbała o ten trumienny strój. Z kącików ust wydostawała się już piana, co - w swej naiwności - uznałem za początek procesu „obracania się ciała w proch”. W mej pamięci nie utkwiły ani słowa zakonnika, który celebrował pogrzeb, gdyż były one poza mną, ani nic z tego, co mówili krewni. Zapamiętałem tylko głuche dudnienie piasku spadającego na wieko trumny. Uznałem tę chwilę, płacząc

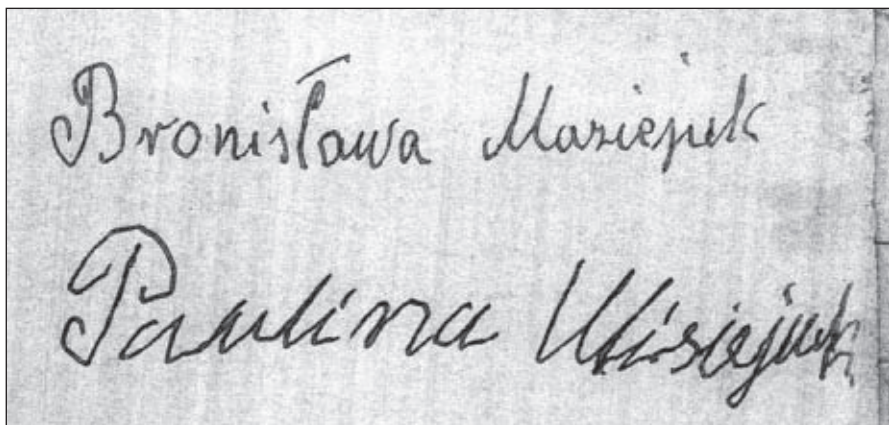
spazmatycznie, za ostateczne rozstanie się z ukochaną mamą.

Pomyślałem, że nie byłoby wcale źle, gdybym sam wpadł nagle w ten dół, powalony śmiercią. Obawiając się skutków matczynej śmierci, chciałem w samobójczy sposób skończyć ze sobą. Utraciłem wtedy całkowicie chęć do dalszego życia, bo nie mogłem wyobrazić sobie, że może ono dalej upływać bez osoby, którą ceniłem najbardziej ze wszystkich.

Jeżeli były jakieś słowa pocieszenia, a zapewne były, kierowane pod naszym sierocym adresem, ze strony krewnych, to i tak nie utkwiły one w mojej pamięci. Ani też gesty współczucia, czy solidarności. Swoje sieroctwo, tak jak Antka i Janka, uznałem za nad wyraz niesprawiedliwe. I całkowicie bezsensowne. Bo czymże miałbym zasłużyć na taki los?

Przystalbyśmy bardzo chętnie na jeszcze cięższą harówkę w gospodarstwie i pracę na rzecz mamy, tak w dzień, jak i nocą, byle tylko ona była z nami!

Odnalazłem na kartoflisku przy chałupie - odcisnięty na mokrym gruncie - ostatni ślad bosej stopy mamy. Długo chroniłem go, nie chcąc aby zniknął. Z dziecięcą naiwnością uważałem, że to jakaś szczególna pamiątka. Zatarł ją skutecznie kolejny deszcz.



Jedyne zachowane dotąd, dla mnie wciąż cenne, autografy z 1933 roku mojej mamy Bronisławy i cioci Pauliny, złożone na urzędowym dokumencie. Niezmiennie przypominają mi tę, którą najbardziej kochałem.



Śmierć ta dotknęła mnie wyjątkowo boleśnie. Jak żadna inna, ani wcześniejsza, ani późniejsza. Kiedy nie wiedziałem, co mam ze sobą począć, gdy było mi źle, gdzie szukać wsparcia i odpowiedzi na trudne pytania, przed jakimi nagle stanąłem - czułem się zagubiony i bezradny. Traciłem sens życia. Prosiłem wtenczas, szczerze jak umiałem, dobrego Pana Boga, by ulitował się nade mną i zsyłając na mnie śmierć - zabrał mnie do mojej mamy.



*Antoniego zabrała przedwcześnie śmierć. Już tylko we dwóch, Janek (z prawej) i ja stanęliśmy latem 2005 r. przy grobie rodziców na leśnianim cmentarzu.*

We snach często wracała do mnie. Najbardziej wyrazisty sen, który zapamiętałem, był taki, że widziałem mamę tkwiącą wysoko w chmurach, skąd patrzyła i pocieszała mnie. Była taka sama jak wtedy, kiedy żyła. Wyciągała do mnie ręce, ja usiłowałem wdrapać się do niej po chmurach, które przedstawiały się jak olbrzymi spadzisty kopiec. Wspiąłem się i ciągle spałem i spadałem na dół...

Jakże to już odległe lata? Które - pomimo to - bardzo często w takiej czy innej formie powracają w mej pamięci. Były trudne, nawet bardzo trudne, takimi też je zapamiętałem. Jednakże bliskie memu

sercu i nie całkiem - co do tego jestem absolutnie przekonany - zmarnowane. Zaś te, które potem nastąpiły, niewspółmiernie lepsze od tamtych, wynagrodziły mi łzy i pot. I myślę sobie, chociaż zabrzmić może to sztucznie, że ta nasza biedna i kochana matula, troszcząca się nieustannie o swoich synów, których osierociła wbrew swej woli, wyjednała dla nas łaski u dobrego Boga.

Czyżby rzeczywiście było to naiwne? Być może, lecz ja wierzę serio, że czyjaś troskliwa ręka z ukrycia czuwała nad nami. I dlatego wydaje mi się to autentyczne. Po upływie wielu lat, w których zdarzyło się tak wiele dobrego, choć też złego - dziękuję Panu Bogu za czas przeżyty i zdobyte doświadczenia. Proszę Go jednocześnie, by pozwolił mi, jak też moim najbliższym, dłużej rozkoszować się tym, co przynosi ze sobą niełatwe życie.

*/Koniec tomu I/*



# SPIS TREŚCI

ZAMIAST WSTĘPU	7
I. ODLEGŁE LATA	9
Pod znakiem skorpiona	9
Jeden z trzech	19
Z rodziny unitów	24
Nawróceni	32
Za krowim ogonem	35
Pożegnanie z ojcowizną	38
Skąd nasz ród?	40
Ciągle jesteście	45
Hen, nad Wołgę	52
II. ZATARTE ŚLADY WOJNY	57
Zapach chleba	57
Niczym pies łańcuchowy	61
Podróż sentymentalna	64
W rękach oprawców	75
Śmierć wzięta z pola	86
Był najlepszy	99
Przerażające widoki	102
Sam na sam z chorobą	111
Spalony palec	118
	191

Zwierzaki tam, gdzie mieszkali ludzie	124
Sroga zemsta	128
Nigdy im nie wybaczę	132
III. TRWOGA I NADZIEJA	140
Wolność dotarła w niedzielę	140
Zdani na siebie	153
Niepokoił ją mój los	167
Zmagania z insektami	172
Piechotę na odpust	176
Śmierć ją zabrała	181





